ROBERT BURTON
ANATOMIA MELANCHOLII

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ MICHAŁ TABACZYŃSKI

KORPORACJA HA!ART —— KRAKÓW 2020

Robert Burton

Anatomia melancholii

Antologia

Przekład, wybór,
wstęp i komentarze
Michał Tabaczyński

Korporacja Ha!art
Kraków 2020

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp: *Melancholia tej osobliwej anatomii*

1. Potwór słów i księga ksiąg: Robert Burton obnażony
2. Ta nużąca rozprawa: *Anatomia* jako księga niedbała?
3. To pisał Nikt: maska Demokryta
4. Nieuleczalna przypadłość i renesans medycyny
5. Pacjent zero: to świat jest chory
6. I tak dalej: wyrozumiały czytelnik w morzu Babel

Kilka usprawiedliwień, wyjaśnień, wymówek (od tłumacza)

Robert Burton,
Anatomia melancholii

Dwa wiersze

Opisanie ryciny z frontyspisu

Krótka odautorska charakterystyka melancholii

Część pierwsza: *Wielka anatomia świata*

Część druga: *Skrupulatna sekcja depresji*

Część trzecia: *Utopia na całe zło*

Część czwarta: *Odzyskane zachody miłości*

Lokalizacja fragmentów

Przypisy

Robert Burton, *Anatomia melancholii*, Kraków 2020

Copyright © for this edition by Korporacja Ha!art, 2020
Copyright © for the Polish translation by Michał Tabaczyński, 2020
Copyright © for the Preface by Michał Tabaczyński, 2020

Redaktor prowadzący *Piotr Marecki*
Redakcja *Paweł Schreiber*
Korekta i redakcja *Filip Fierek*
Projekt okładki *Michalina Mosurek*
Projekt typograficzny *Marcin Hernas*

Zrealizowano dzięki wsparciu finansowemu Miasta Bydgoszczy.

Wydanie I
ISBN 978-83-66571-29-7

Korporacja Ha!art
ul. Konarskiego 35/8, 30-049 Kraków
tel. 698 656 756
korporacja@ha.art.pl
www.ha.art.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Wstęp

Melancholia tej osobliwej anatomii

Łaskawa Czytelniczko, wyrozumiały Czytelniku, mimo że da się czytać Burtona bez żadnego komentarza i nic on na tym nie traci (może nawet zyskiwać: nie umiem tego rozstrzygnąć), zdecydowałem się napisać to wprowadzenie. Obszerne, może nawet zbyt obszerne – szczególnie jeśli przyjąć, że jednak niekonieczne.

Brak *Anatomii melancholii* w polszczyźnie (zarówno gdy idzie o dotychczasowe przekłady – nie dość, że nieliczne, niewielkie, to jeszcze wybiórcze – jak i nieobecność w czytelniczej świadomości czy recepcji krytycznej) sprawił, że nie mamy również opracowań jej dotyczących. Wyjątki są właściwie dwa: rozdział *Atramentu melancholii* Jeana Starobinskiego dostępny po polsku oraz książka polskiej badaczki Liliany Barczyk-Barakońskiej, która – niestety – została napisana po angielsku. Dlatego też to wprowadzenie nie wykracza poza problematykę *Anatomii* w najściślejszym sensie, pomijając konteksty filozoficzne, teologiczne, literackie itd. Jedyną właściwie literaturą, jaką tu wykorzystuję, jest ta poświęcona samemu Burtonowi. Refleksja krytyczna jego dotycząca przeżywa zresztą ostatnio renesans: widać to dobrze po luce, jaka występuje w datach wydań napisanych na jego temat monografii – pierwsze, pionierskie i już dzisiaj klasyczne opracowania są wydawane od końca lat pięćdziesiątych do połowy dziewiątej dekady (na każde dziesięciolecie przypada jedna naprawdę ważna monografia: tu korzystam z czterech – po jednej z każdej dekady), natomiast kolejne były wydane już w XXI wieku (tylko w tym wstępie wykorzystuję aż pięć takich książek, wydanych właściwie na przestrzeni kilku lat).

Powstrzymałem się więc – chociaż, przyznaję, nie przyszło mi to łatwo – przed komentarzami filozoficznymi czy społecznymi. Ale

najtrudniej, co chyba oczywiste, było z literaturą. Od Sterne'a i jego *Tristrama Shandy'ego* (w którym Burtona cytuje on i parafrazuje intensywnie), przez Kierkegaarda (którego z Burtonem łączy tak wiele, że właściwie niemal wszystko: od użycia pseudonimu-maski, przez tematy: melancholię, refleksję społeczną i polityczną, o religijnej nie mówiąc, po samą nawet interpunkcję!), aż do współczesności, w której mamy za dużo wręcz materiału do dyspozycji (Georges'a Pereca na przykład można i warto by przeczytać równolegle z Burtonem i przez niego).

Wprowadzenie – nawet mimo swojej uciążliwej długości – nie obejmuje wszystkich problemów *Anatomii*. Ta wycieczka po księdze ksiąg odbywa się według mapy, którą sam sobie wyrysowałem. Prezentuję tu *Anatomię melancholii* tak, jak sam ją czytam – i bezczelnie uważam, że to sposób najlepszy, że tak książka jest najciekawsza. Ale nie tylko własnym odczytaniem się tu kierowałem. Chciałem, po pierwsze, żeby ten przewodnik tłumaczył wybór fragmentów, którego dokonałem, pozwalał je odczytać w kontekście całości i wypełniał tego wyboru luki. A po drugie, starałem się, żeby to wprowadzenie pokazywało Burtona jako autora aktualnego (tego właśnie dowieść ma taka, a nie inna selekcja fragmentów), który mówi nam o naszym życiu, cywilizacji, szaleństwie naszych czasów – zwycięstwie politycznego cynizmu, tryumfie głupoty, upadku humanistyki, powszechnej cywilizacyjnej depresji – rzeczy, których może byśmy woleli nie słuchać, ale które pozostają niezmiennie prawdziwe od 400 lat.

Ale – jak mówiłem – kto ten wstęp pominie, nie musi nic stracić. Zawsze można powtórzyć za Burtonem: „Gdy holenderski podróżny zawita do niemieckiego zajazdu i nie odpowiada mu jedzenie, pokój itd., usłyszy: *Aliud tibi quaeras diversorium*, jeśli ci się nie podoba, poszukaj sobie noclegu gdzie indziej; moja rada: jeśli ci się moje pisanie nie podoba, weź i poczytaj coś innego". Możesz, czcigodna Czytelniczko i drogi Czytelniku, poczytać od razu Burtona. Zaryzykowałbym, że nawet musisz!

1. Potwór słów i księga ksiąg: Robert Burton obnażony

1.1

„Wyrozumiały Czytelniku" – zaczyna swoją księgę Robert Burton, ale mógłby właściwie zacząć inaczej: Czytelniku wytrwały, gorliwy Straceńcze, Szaleńcze, Maniaku, który odważasz się rzucić w tę otchłań słów, lekkomyślny Śmiałku, któryś zdecydował się zanurzyć w ten ocean liter. Byłby to może początek stylistycznie bardziej ryzykowny, ale przecież nie takie ryzyko Burton co i rusz podejmuje; na dodatek – otwarcie takie byłoby i prawdziwe, i uczciwe. *Anatomia melancholii*, opowiadając przecież o szaleństwie świata i ludzi, wymaga także szalonego czytelnika.

Najbardziej widocznym znakiem szaleństwa tej książki jest oczywiście jej rozmiar; do niego dokładają się inne cechy: mania cytowania, obłęd systematyzacji, otchłań meandrujących zdań. Rozmiar i skomplikowanie tej księgi jest, bo być musi, znakiem strawionego na jej pisanie życia: *Anatomia melancholii* jest właściwym tego życia zapisem, jego najwierniejszym obrazem. Burton, ten potwór słów, daje w niej swój portret: czytelnika, pisarza, kompilatora. Jak dowcipnie pisał o nim jeden z badaczy literatury tego czasu:

> Odbył podróż z Brasenose, miejsca swoich studiów, do oddalonego o rzut kamieniem Christ Church; jego całe królestwo stanowił pokój. Kościelne beneficjum albo i dwa, których bywał raczej nieobecnym administratorem, rzadkie wizyty w okolicznych wsiach – a reszta to już Oksford i Bodlejańska Biblioteka[1].

Pokój, mnisia cela, biblioteka – w tej ograniczonej przestrzeni trudno o spektakularną biografię. Wiemy więc mało (choć ktoś mógłby

zauważyć: zupełnie wiele jak na życie, w którym tak niewiele się działo), ale coś jednak wiemy[2].

Najwięcej szczegółowych informacji – co ciekawe, ale właściwie zrozumiałe – mamy na temat dzieciństwa Burtona. Urodził się 8 lutego 1577 roku. Znamy nawet dokładną godzinę: 8.44 rano. Co jeszcze ciekawsze, a i dużo zabawniejsze, znamy też dokładną datę jego poczęcia. Nie, nie przekazał nam jej ojciec pisarza, chociaż prowadził on rodzinną kronikę na pustych stronach posiadanego średniowiecznego kodeksu, matka również nie była na tyle wylewna – moment ten wyznaczył sam Burton, a że parał się astrologią, nie mamy innego wyjścia, niż ją przyjąć (jako zabawny rys jego osobowości, rzecz jasna, a nie autentyczną i niebudzącą wątpliwości datę). Do tego zdarzenia miało dojść 25 maja roku 1576 o godzinie 9.00 wieczorem. Pod względem medycznym są to zresztą obliczenia zupełnie wiarygodne.

Jego rodzice, Ralph i Dorothy (z domu Faunt) Burtonowie, pobrali się pięć lat wcześniej i przed Robertem doczekali się trójki dzieci: dwóch córek (Elizabeth i Anne) oraz syna Williama. Ten ostatni może nas zainteresować o tyle, że był geografem rodzinnych stron i autorem książki *Description of Leicestershire* (wydanej rok po ukazaniu się pierwszej edycji dzieła swojego brata), która jest źródłem informacji zarówno o ich rodzinnym domu i majątku, jak i niektórych członkach rodziny. Później na świat przyszła jeszcze szóstka rodzeństwa. Rodzina wiodła życie ziemian we wsi Lindley w hrabstwie Leicestershire (we wschodniej części English Midlands, mniej więcej w połowie drogi między miastami Leicester i Birmingham).

Uznaje się, że to rodzina jego matki jest ważniejsza, gdy chodzi o ślady, jakie w jego życiu i pisaniu można znaleźć – jest, krótko mówiąc, bardziej przydatna w kontekście krytyki biograficznej. I tak źródło jego medycznych zainteresowań przypisuje się lekarskim zdolnościom jego matki – praktykowała bowiem tradycyjną medycynę, co skłoniło nawet Burtona do pochwały jej kompetencji w *Anatomii*:

„odznaczała się zdolnościami w chirurgii, leczyła chore oczy, zaradzała bólom itd., tworzyła swoje słynne i pomocne specyfiki, które ulżyły wielu biedakom, którzy bez nich pozbawieni byliby ratunku, o czym może zaświadczyć cała okolica, w której mieszkała" [III, 250][3]. W tym samym miejscu zresztą syn drwi z niektórych ludowych i zabobonnych jej praktyk; ową „chirurgię" trzeba bowiem rozumieć w zgodzie z greckim źródłosłowem tego terminu, jako medycynę „praktykowaną za pomocą rąk", a matka przejawiała po prostu kwalifikacje, które były przypisane kobiecie o jej pozycji społecznej – dziedziczce, właścicielce ziemskiej, pani domu. Tak czy inaczej, wychowanie przez nią dziesięciorga dzieci, z których tylko ostatnia córka zmarła w dzieciństwie, zdaje się w jakimś stopniu potwierdzać jej umiejętności.

Ważniejszy jest jednak brat (lub kuzyn) matki – Arthur Faunt, który opuścił rodzinny dom w wieku 14 lat, by wstąpić do jezuickiego kolegium w Louvain. Po latach został rektorem takiego samego kolegium w (uwaga: polonicum!) Poznaniu, co Burton odnotowuje na posiadanym w bibliotece egzemplarzu książki swojego krewnego jezuity. Burton, w końcu anglikański duchowny, nie miał do tego zakonu szczególnego sentymentu, by rzecz ująć najdelikatniej, ale z tego przodka – i kolegi po piórze, bo autora co najmniej jedenastu książek – był dumny. Krewni jednak nigdy się nie spotkali: Arthur po pobycie w Poznaniu przeniósł się na Litwę, gdzie w 1595 roku zmarł, a Burton przez całe życie nie opuszczał Anglii.

Jeszcze ważniejszy jest inny rodzinny fakt – dziedziczona po przodkach ze strony matki melancholia. Największy melancholijny autor w historii literatury był w końcu wielkim praktykiem melancholii, człowiekiem saturniańskim. Sam w *Anatomii melancholii* pisze o dziedzicznej, wrodzonej depresji, więc i ten trop może być ważny; nawet nie jako przyczynek do krytyki biograficznej (która akurat w przypadku tego autora i tego dzieła zachowuje nawet jakąś szczątkową przydatność), ale jako incydent, który w tym

autobiograficznym dziele stanowi jeden z dowodów na taką, a nie inną teorię melancholii. Otóż brat matki Anthony Faunt, który został mianowany dowódcą wojsk angielskich (najpewniej chodziło o dowództwo wojsk hrabstw Środkowej Anglii) w czasie walk z hiszpańską armadą, po tym jak hrabia odmówił mu objęcia tego stanowiska, popadł w melancholię, która przyczyniła się do jego śmierci w wieku 36 lat.

1.2

O wczesnej edukacji Burtona informacje mamy nie do końca pewne. Wiadomo, że został wpisany do rejestrów dwóch szkół: w Nuneaton i w Sutton Coldfield, wątpliwości budzi jednak fakt, że – według tych wpisów – musiałby uczęszczać do tych szkół równocześnie. Bezpiecznie więc przyjmuje się, że był uczniem obu – w kolejności, w jakiej je tu wymieniłem.

Democritus Junior.

Historia jego późniejszej edukacji to właściwie ciąg dat spisanych z ksiąg uniwersytetów. W 1593 roku wstępuje do Brasenose College w Oksfordzie, a w 1599 zostaje studentem Christ Church (z którym to miejscem będzie już związany do końca życia). W roku 1602 uzyskuje stopień bakałarza sztuk wyzwolonych, a w 1605 roku – magistra. W 1614 roku zdobędzie tytuł bakałarza teologii.

O samym życiu studenta niewiele wiadomo, chociaż uważa się, że uwagi o wychowaniu i edukacji oparł Burton na własnych doświadczeniach. Jeśli tak jest (co może potwierdzać poniższy fragment), to lata nauki musiały być dla Burtona pasmem cierpień:

> Okrutni, gwałtowni i tępi nauczyciele, *aridi magistri* [oschli mistrzowie], jak nazywa ich Fabiusz, *Ajaces flagelliferi* [stosujący chłostę dręczyciele], nie są w tym przypadku lepsi od katów, którzy dzieci przychodzące po naukę poddają katuszom, także za sprawą nędznej diety, gdy te mieszkają w bursie, jak i surowości oraz złego traktowania, czym wypaczają temperaturę ich ciała i umysłu: poprzez nieustanne besztanie, wyrzuty, uwagi, bicie, przygany, ciągły dozór dzieci są często *fracti animis*, zmartwione i pozbawione radości życia, *nimia severitate deficiunt et desperant* [za sprawą surowego traktowania stają się otępiałe i przygnębione] i nabierają przekonania (jak ja w swoim czasie), że nie ma na świecie zniewolenia większego niż szkoła [I, 333].

Edukacja – a później jeszcze tryb życia studenta i uczonego – jest według niego jedną z głównych przyczyn melancholii. Jakość nauczania ma na tę kondycję wpływ znikomy, skoro Burton swoje uniwersytety określał jako najświetniejsze w całej Europie.

Burton uzyskuje magisterium stosunkowo późno – ma wtedy 28 lat; późno też (szczególnie jak na tamte czasy) rozpoczyna naukę w Christ Church. Uważa się, że przyczyną tego opóźnienia mógł być atak melancholii. Znaleziono nawet w dokumentach poszlakę, która taką tezę wspiera. W ewidencji pacjentów Simona Formana, astrologa i lekarza, z roku 1597 znaleźć można wpis o kilku wizytach pewnego dwudziestolatka, Roberta Burtona; zgadza się imię, nazwisko i wiek – do całkowitej pewności brakuje jeszcze miejsca pochodzenia lub

zamieszkania. Chory skarżył się na ociężałość, senność i dolegliwości żołądkowe, a Forman, zdiagnozowawszy melancholię, zalecił przyjmowanie leków i przeczyszczenie. Chory wracał jeszcze kilka razy (wizyty trwały od 18 czerwca do 11 października), pojawiały się też nowe objawy: bóle głowy, nosa, gorączka, pieczenie odczuwane w dłoniach i kolanach. Wzmianek o kolejnych konsultacjach brak.

Z czasów uniwersyteckich mamy jeszcze jedną anegdotę. Za to smakowitą. Burton oprócz *Anatomii* stworzył kilkanaście wierszy i dwie łacińskie sztuki: *Alba* oraz *Philosophaster* [Fałszywy filozof]. Pierwsza z nich nie zachowała się, a została stworzona, by swoim wystawieniem uświetnić wizytę króla Jakuba na Uniwersytecie Oksfordzkim. Nie do końca się to udało, a właściwie – nie udało się zupełnie. Więcej: wystawienie okazało się katastrofą. Królowa oraz jej damy dworu były zdegustowane nagością na scenie, a króla przedstawienie nudziło tak bardzo, że tylko błagania uniwersyteckich kanclerzy powstrzymały go przed opuszczeniem widowni w trakcie pierwszej połowy spektaklu. Nie znamy reakcji Burtona na tę klęskę, ale można zakładać, że go zabolała: strach przed publicznymi wystąpieniami oraz wstyd uznawał za znaczące przyczyny depresji.

1.3

Dalsze koleje losu Burtona znaczą głównie kolejne wydania *Anatomii*, która za jego życia ukazała się pięć razy: w latach 1621, 1624, 1628, 1632 i 1638 – za każdym razem poszerzana i uzupełniana. Ostatnie wydanie, nad którym pracował do śmierci, wyszło w roku 1651. Za nieszczególnie istotne należy uznać kościelne nominacje: w 1616 zostaje wikarym w kościele św. Tomasza Męczennika w Oksfordzie, w 1624 proboszczem w Walesby, a w 1632 roku (choć podaje się i inne daty: 1630 lub 1636, najbardziej prawdopodobny – ze względu na przypadającą na ten czas śmierć poprzedniego proboszcza – pozostaje jednak rok 1632) obejmuje probostwo w Seagrave. Burton swoje obowiązki wykonywał raczej niechętnie, a i o samych księżach, ich umysłowym poziomie

i aktywnościach wypowiada się w *Anatomii* z lekceważeniem i wzgardą. Owszem, niektóre fragmenty księgi przyjmują kształt kazań, ale nic nie wskazuje na to, by były one kiedykolwiek przez niego wygłaszane: wykształcony teolog wykorzystywał najpewniej ich konstrukcyjne i retoryczne wzorce w swoim pisaniu.

Burton przyjmuje też inne dziwne funkcje: w roku 1615 zostaje na przykład urzędnikiem nadzorującym oksfordzki targ (w utopii z *Anatomii melancholii* znać ślady i tych doświadczeń), do którego zadań należała kontrola jakości towarów. Trudno go sobie wyobrazić, jak biega po straganach kupców, by kontrolować wagę porcji mięsa albo smak serów czy świeżość ryb, więc przyjmuje się, że wykonywał raczej obowiązki administracyjne – czyli był skrybą, protokolantem, autorem raportów lub pism urzędowych.

Jedyne znaczące stanowisko (znaczące nie w sensie hierarchii, ale w związku z jego dziełem życia) to objęcie w połowie trzeciej dekady XVII wieku (dokładnie w roku 1626) funkcji bibliotekarza Christ Church.

Większość z tych zatrudnień trudno uznać za stopnie kariery, której Burton zresztą nie zrobił, ale raczej za funkcje i beneficja zapewniające utrzymanie – księga ksiąg odciągała go skutecznie od kariery, życia rodzinnego (nigdy się nie ożenił) i bogactwa. On liczył tymczasem, że to właśnie ona mu je przyniesie, stąd usilne poszukiwania patronów wsparte odpowiednimi dedykacjami. Właściwie jedyne dobra materialne, jakie po sobie zostawił, to książki z ogromnej prywatnej biblioteki. Liczyła około 1000 woluminów, co nawet dziś robi wrażenie. W tamtych czasach Biblioteka Bodlejańska na początku dysponowała 2000 tomów, których liczba dzięki donacjom w ciągu trzech lat wzrosła do 6000, by w roku 1620 powiększyć swój księgozbiór do 16000. A mówimy tu przecież o jednej z najwspanialszych bibliotek tamtych czasów, którą Burton porównywał do Biblioteki Watykańskiej.

25 stycznia 1640 roku, dwa tygodnie przed swoimi 63. urodzinami, Robert Burton umiera. Dwa dni później odbywa się pogrzeb – zostaje pochowany w katedrze Christ Church. Niecałe pół roku wcześniej spisuje testament. Zaznacza w nim – najpewniej zupełnie konwencjonalnie – że czyni to, pozostając w doskonałym zdrowiu na ciele i umyśle. Jednak ta wzmianka jest jedną z przesłanek powstałych z czasem podejrzeń, że śmierć Burtona nie nastąpiła z przyczyn naturalnych, ale była skutkiem samobójczego aktu melancholika.

Powodów, by tak sądzić, badacze jego życia i twórczości mają zresztą więcej. Burton, który parał się astrologią, podobno przewidział dokładnie datę swojej śmierci. Wniosek jest jasny: zmęczony życiem sam sprawił, by jego kalkulacje się sprawdziły. W przeciwnym razie musielibyśmy albo uwierzyć w astrologię, albo uznać zaistnienie niesamowitego przypadku. Ziarno wątpliwości zasiewa też sporządzone przez Burtona własne epitafium, które rzeczywiście znalazło się na jego nagrobnym medalionie:

Paucis notus, paucioribus ignotus,
Hic jacet
Democritus Junior,
Cui vitam dedit et mortem
Melancholia.

Tłumaczy się je tak: „Niektórym znany [pod imieniem Burton], nieznany liczniejszym [jako Demokryt Junior], tu spoczywa Democritus Junior, któremu życie i śmierć dała Melancholia". „Melancholia, która przyniosła mu śmierć" – to musiało wzbudzić podejrzenia. Ale łatwo daje się wytłumaczyć: „Melancholia Burtona" miała być potocznie używanym określeniem jego książki, stąd epitafium odnosi się do *Anatomii melancholii*, a nie życia jej autora naznaczonego opisywaną tak ekstensywnie przypadłością depresyjną. Nie wszystkich to jednak przekonywało i plotki krążyły: w połowie XVII wieku John Aubrey pisał, że mieszka w pokoju, w którym Burton „dokonał żywota, wieszając się",

a Wood przytaczał opinie niektórych szkolarzy, jakoby Burton „posłał swoją duszę do nieba za sprawą stryczka zaciśniętego na szyi”[4]. Tezie o samobójczej śmierci najdobitniej przeczy jednak miejsce pochówku – popiersie Burtona do dziś zdobi jedną z kolumn północnej nawy katedry. Samobójca raczej nie mógłby liczyć na tak godny pochówek. Ale pewności nie ma.

2. Ta nużąca rozprawa: *Anatomia* jako księga niedbała?

2.1

Tedious discourse (nużąca rozprawa, męczliwy dyskurs) – to dość powszechne (i wcale nie tak ocenne, jak można by sądzić, raczej: opisowe) zdanie o *Anatomii melancholii*. W pierwszym rzędzie wyjątkowość zapewnia jej oczywiście rozmiar – zależy to co prawda wydania, ale żadne nie schodzi poniżej 1300 stron. Dużo, imponująco dużo, tyle że istnieją przecież książki większe, podczas gdy zebrane dzieła wielu pisarzy liczą sobie wielokrotnie (kilka, kilkanaście, a w skrajnych wypadkach pewnie i kilkadziesiąt razy) więcej – a *Anatomię* należy uznać za „dzieła zebrane" Burtona właśnie.

To dwa elementy sprawiają, że *Anatomia* jest księgą bezprzykładnie wielką: jej zakładana monotematyczność i wewnętrzne skomplikowanie. Piszę „zakładana", bo choć jej osią jest melancholia, dyskurs rozpełza się po wszystkich tematach przyległych (a wedle tezy autora do melancholii przylega w istocie każdy inny problem); tak czy inaczej każdy jej element, każdy temat odnosi się do tytułowego stanu i z niego bierze swój początek, stąd usprawiedliwione jest twierdzenie o jej tematycznej jednorodności. Nawet najściślej może bliźniacze dzieło tej epoki, za które należy uznać *Próby*, nie ma jednej spajającej osnowy oprócz osoby twórcy, choć objętość jest podobna. Natomiast wewnętrzne skomplikowanie, nieprzejrzystość struktury i doprowadzona do skrajności próba obłędnej systematyzacji jego części (paradoksalnie: zwiększa ona nie tylko stopień skomplikowania, co byłoby oczywiste, ale i – już na tym etapie to zasugeruję – nieprzejrzystość struktury), cyceroniański styl i nadmiar dygresji rozrzuconych po całości książki i prowadzących ze sobą ciągły dialog – to wszystko daje wrażenie otchłanności tekstu.

Anatomia melancholii składa się z trzech głównych ksiąg, a te dzielą się na kolejne części, rozdziały i paragrafy. Wszystkie nazwy kolejnych składowych wyraźnie odnoszą się do terminologii anatomicznej. Wyliczając je od najbardziej ogólnych do najbardziej szczegółowych: *partition* („sekcja", ale też: „rozdzielenie", „podział"), *section* („część", ale i: „cięcie"), *member* („człon", „element", jak również: „kończyna", „członki" – słowo *dismember* tłumaczy się jako „rozczłonkować", „ćwiartować"), *subsection* („podpunkt", ale znów mamy tu odniesienie do anatomicznej sekcji).

Każda z części różni się od pozostałych strukturą i treścią (pierwsza i druga partycja stanowią co prawda swoje odbicie, ale i one znacznie się różnią – choćby obszernością dygresji: mam tu na myśli nie rozwinięcia bądź uzupełnienia rozdziałów czy wtrącenia, ale samodzielne części):

1. Pierwsza księga składa się z trzech części: otwierających całość wierszy (dwóch angielskich i jednego łacińskiego, który jest także opatrzony autorskim przekładem na język angielski), obszernej, stustronicowej przedmowy *Democritus Junior to the Reader* oraz pierwszej partycji zawierającej spis przyczyn melancholii.
2. Druga część, czyli druga partycja, to opis metod leczenia depresji.
3. Trzecia partycja dzieli się na dwie główne części opisujące kolejno melancholię miłosną i religijną.

Każda z części różni się od pozostałych również długością – w popularnym wydaniu Everyman's Library mają kolejno: 520 (przy czym – co w tym kontekście jest raczej istotne – wiersze i przedmowa liczą sobie 120 stron, a pozostałe 380 to właściwa pierwsza partycja), 310 i 500 stron.

2.2

Burton, który do końca życia pracował nad tekstem (nie mamy żadnych informacji, które by mogły wskazać datę początkową pracy, a rękopis się nie zachował), przygotował sześć jego wersji: pięć ukazało się za życia, szósta – której poświęcił ostatnie dwa lub trzy lata swojej aktywności pisarskiej – wyszła dekadę po jego śmierci. Z każdym wydaniem księga się rozrastała: pierwsze liczyło około 300 tysięcy słów, ostatnie – prawie pół miliona.

Z każdym wydaniem księga się rozrastała, ale oczywiście nierównomiernie: niektóre części rozrastały się znacznie (dotyczy to głównie trzeciej partycji), a innym objętości przybywało niewiele; bywało też – chociaż to niezwykle rzadkie przypadki – że Burton tu i ówdzie wykreślił jakieś słowo, zdanie czy nawet akapit. Najbardziej może znamiennym usunięciem jest wykreślenie *Konkluzji autora do czytelnika*, która pojawiła się wyłącznie w pierwszym wydaniu: po pierwsze, to jedyny fragment, który został usunięty w całości, by nigdy już się nie pojawić w kolejnych edycjach; po drugie, to właśnie tam Burton zrzucał maskę Demokryta Juniora i przedstawiał się własnym imieniem. Chwila słabości, można by powiedzieć – i to podwójnej: ani nie miał Burton szczególnych skłonności do pomniejszania i redukcji dzieła, ani też nie chciał ujawniać swojego autorstwa (nie żeby było ono trudne do rozszyfrowania i nieznane czytelnikom – robił to z powodów literackich).

Jedno natomiast jest pewne: wszystkie wysiłki Burtona, które podejmował w celu ulepszenia dzieła od chwili publikacji pierwszej edycji, czyli przez dwadzieścia lat, zmierzały wyłącznie do udoskonalenia jego struktury. Jego praca odtwarza zresztą pracę medyka dokonującego sekcji zwłok. Rozcina powłokę, przedziera się przez warstwy tkanki tłuszczowej, mięśni, by dojść do tkanek miękkich, zbadać poszczególne organy, a potem podążyć jeszcze dalej – do naczyń, nerwów, wszystkich najmniejszych struktur i ich niejasnych przebiegów i funkcji. Ten chaos ciała próbuje okiełznać wysiłkiem

szaleńczej systematyzacji, która nie ma końca i – paradoksalnie – wraca do nieporządku, od którego wyszła.

2.3

W swoim pisaniu jest stale tym medykiem amatorem, który dzięki swojej anatomicznej z ducha metodzie „osiąga ową elastyczność [struktury] całego dzieła, jego najoczywistszą cechę, która jest odpowiedzią na pytanie o charakter tego tekstu”[5]. Elastyczność struktury oznacza tu w istocie, że tekst może pomieścić maksymalnie dużo elementów, które są na dodatek bardzo heterogeniczne i przez to niezwykle trudno nad nimi zapanować – z tego wynikną wszystkie inne problemy. Ruth A. Fox, która właściwie całą swoją monografię poświęciła strukturze księgi, pisała:

> Należy postrzegać *Anatomię* jako całość, jako dzieło, które zbiera różne treści w jedną formę. Najważniejszą cechą strukturalną tej książki jest jej potencjał obejmowania skrajnie różnorodnych zagadnień. Od farmakopei medycznej kuracji do pocieszenia, jakie niesie filozofia; od satyrycznych potępień ludzkiej głupoty do kazań o miłosierdziu i rozpaczy; od analiz ludzkiej fizjologii do opisów kosmosu czy wpływu dobrych i złych duchów; *Anatomia* jest wszechstronnym dziełem zamierzonym w ogromnej skali[6].

Po takiej charakterystyce można już orzec z łatwością, co jest najważniejszym problemem *Anatomii*: to tocząca się na ogromnym obszarze walka. Pomiędzy pragnieniem całości i niemożnością jej osiągnięcia. Pomiędzy chaosem a ścisłą systematyzacją. Pomiędzy tematyczną jednorodnością a wielością i różnorodnością materiału. To nie wszystkie interpretacyjne fronty, które księga ta otwiera – resztą zajmę się później.

Nieustające ani na chwilę (bo w istocie obejmujące wszystkie struktury i poziomy tekstu) napięcie pomiędzy chaosem i formą jest dla *Anatomii* cechą definiującą. Wydaje się wręcz, że każdy element i każdy

chwyt z tej walki wynika. Najważniejszym może powodem tego zamieszania, z którym Burton musiał sobie radzić (sam sobie, rzecz jasna, narobił kłopotu), było otwarcie tego tekstu na pozamedyczne treści, ta wielka inkluzja świata – całego świata. Lawrence Babb posłużył się metaforą „budowy domu": „Był [Burton] jak ktoś, kto buduje dom i wybudowawszy go, nie przestaje nad nim pracować, gdzieniegdzie go wzmacniając, gdzieniegdzie dodając jakiś ornament – nie do końca zadowolony ze swojej pracy czy ogólnego planu, ale niechętny rozpoczynaniu dzieła od nowa"[7]. Metafora Babba jest o tyle nietrafna, że dom jest strukturą statyczną, zbyt statyczną, żeby dać dobry obraz tego, co w księdze się dzieje. Już szybciej meblowanie albo nieustanna zmiana aranżacji wnętrza – tu wyburzenie ściany, tu postawienie ścianki działowej. Jednak dwa przynajmniej elementy są w tej metaforze istotne i prawdziwe: plan budowy i praca. To praca nad strukturą, która wynika z ciągłego niezadowolenia jej projektem.

Niezadowolenie jest tu nieprzemijającą motywacją: „Nieustanny wysiłek Burtona w *Anatomii* polega na rozróżnieniu i definicji elementów zawiłej postaci rzeczy, szczególnie wtedy, gdy najbardziej opiera się ona definicji" [Fox, 18]. Im więcej przybywa elementów, tym bardziej struktura osłabia się pod ich ciężarem – gdyby wrócić do Babba: meble i sprzęty domowe (szczególnie dotyczy to półek z książkami, oczywiście) w nadmiarze sprawiają, że stropy i sufity trzeba stale wzmacniać. Ale metafora Fox jest bardziej efektowna i trafniejsza: splątany, poskręcany łańcuch. W tym zaplątanym łańcuchu obecne są dwie struktury: jedna liniowa, która prowadzi przez kolejne części, sekcje, człony itd., próbując systematycznie opowiedzieć o melancholii; druga natomiast, która nie unieważnia pierwszej, stara się odtworzyć tendencję ludzkiego umysłu do łączenia ze sobą różnych zagadnień i tematów, predylekcję do dygresji, skłonność do niuansowania i wtrąceń [Fox, 41]. Zawikłany i trudny do rozplątania węzeł łańcucha (każdy, kto nosił kiedykolwiek łańcuszek na szyi, zna to

uczucie bezradności) jest bardziej dynamiczny: można część tego węzła rozplątać, ale po chwili znów tworzą się nowe supły.

Najbardziej oczywisty opis tej struktury zostawiam na koniec: labirynt. Sam Burton wspomina o nim wiele razy: „labirynt zawikłanych spraw" [I, 111], „labirynt trosk" [I, 259], „świat jest labiryntem pomyłek" [I, 274]. Skoro jego temat (świat, troski, pomyłki) jest labiryntowy, taka też może okazać się – pod jego naciskiem – forma. „Oto gra, do której Burton zaprasza i w swoim labiryntowym tekście daje czytelnikowi tylko taki wybór"[8]: albo do niego wejdzie, albo nie. W tym pedantycznie stworzonym labiryncie znać ów paradoks: Burton zaprojektował i zbudował finezyjną strukturę, która tylko z góry, z punktu widzenia budowniczego, ukazuje swoją elegancję i prostotę; natomiast tekst, który ją wypełnia, zamienia jasną ścieżkę w gąszcz, z którego trudno się wydobyć.

Na jakąkolwiek metaforę się nie zdecydować, przybliża ona – bardziej lub mniej dokładnie – podstawowy problem. Wysiłki, które podejmował, były sprzeczne: cyzelowanie ramy (Fox woli mówić o egzoszkielecie) tekstu, a jednocześnie jego ciągłe rozszerzanie, za sprawą którego autor mógł wciąż testować jej wytrzymałość. „Nie żeby *Anatomia* była chaotyczna; w tym pozornym zamęcie rozpoznajemy pewien porządek. Jednak bardziej nam imponuje obszerność i inkluzywność książki niż jej logika" [O'Connell, 49]. W tej walce chaosu (treści) i porządku (struktury) nie ma zwycięzcy – to może najważniejsze rozpoznanie trybu, w jakim ta walka się toczy, i efektu, który przynosi: na przestrzeni całego dzieła nie przynosi ona bowiem żadnego rozwiązania, powtarza się tylko nieustannie w nieco innych dekoracjach, w innych okolicznościach. Burton buduje mozolnie rusztowanie, które się nieustannie rozpada, więc wznosi je od nowa – i tak bez końca. Trafnie opisał to Stanley Fish:

> Istnieje w *Anatomii* tyle wzorów owej struktury, ile jest poszczególnych sekcji. W każdej kolejnej nadzieja na „wprowadzenie jakiegoś porządku" zostaje przywrócona, bo każdy z tych aktów specyfikacji jest też aktem delimitacji; jednak

> zawężająca i możliwa do zrozumienia perspektywa zdań wprowadzenia ledwo może przetrwać do końca strony, by rozszerzyć się w celu ogarnięcia wszystkiego i każdego, tak że nadzieja przygasa, a czytelnik jest pozostawiony z tym sam na sam – bez jakiejkolwiek recepty[9].

Pozostają ruiny. Żeby reanimować jakoś tę metaforę Babba (okazuje się ona – być może przez swoją bardzo dyskusyjną trafność – wyjątkowo użyteczna, jak widać): każda próba systematyzacji i ukonkretnienia oznacza budowę tego domu, który za chwilę się rozpada w gruzy. I z kolejnym rozdziałem Burton podejmuje próbę odbudowy. Ale katastrofa jest tylko kwestią czasu (potrzebnego na doczytanie strony, jak to precyzuje Fish). Nieprzerwana odbudowa ruiny – to może być metafora najwłaściwsza (może dlatego, że i ona jest wybudowana na ruinie innej metafory?).

2.4

Anatomia melancholii jest odbudowaną z rumowiska konstrukcją, która sama się co chwilę obraca w ruinę. Nie tylko w tym ścisłym znaczeniu struktury tekstu. Jest także dziełem, które korzysta ze szczątków dawnych, zburzonych już budowli:

> Materiał budowlany, jaki ma do dyspozycji Burton, to cytaty, które gromadzi, zestawia i łączy w jedną całość swojego dzieła składającego się z tego, co fragmentaryczne, pokruszone i obrócone w perzynę. [...] Za sprawą rozpadu, przemijalności i nieuchronnego upływu czasu ruiny stają się znakiem – lub raczej: sygnaturą – melancholii. Według diagnozy Burtona cały zredukowany do ruin świat ujawnia swoją melancholijność[10].

Anatomia pisana przeciwko melancholii wykonuje w ten sposób paradoksalną, ale może jedyną dostępną operację na ruinach świata: zbiera je, spaja, odbudowuje jakieś znaczenie – inne od pierwotnego, to jasne, ale w końcu chodzi tu o nadanie sensu, a nie jego rekonstrukcję.

Przy czym jako że sama realizuje wzór mowy depresji (czyli: mowy ruin), to burzy ten zbiór fragmentów sklejony melancholijną zaprawą.

Liliana Barczyk-Barakońska, która zwróciła tu uwagę na mowę ruin, ma w zanadrzu jeszcze jeden uzupełniający obraz: trawienia, wydalania, pożywiania się odpadkami. Wprowadza nas to w problem manii cytowania. „Cytaty są traktowane w kategoriach pożywienia, które trzeba przetrawić, żeby można było pisać. Aby autor mógł coś napisać, najpierw musi być czytelnikiem" [Barczyk-Barakońska, 172]. Ale ta fizjologiczna metafora nie jest wystarczająca i trzeba ją rozszerzyć. Gnojowisko czy dół kloaczny to nie jest jej wymysł, ale jedna z fizjologicznych metafor samego Burtona, który pisał: „rapsodia poskładana z resztek zebranych z kilku kloacznych dołów z ekskrementami innych autorów" [I, 26] lub „grzebią w odchodach Enniusza albo, jak ja sam, w Demokrytowych nieczystościach" [I, 23]. To z kolei prowadzi do odczytania pisarskiego gestu w kategoriach skatologicznych: „Uczta Burtona parodiuje dawne okazałe biesiady: jest ucztą na odpadkach przeszłości. Jego skatologiczna wizja wyklucza jej idealizację: autor pożywia się ekskrementami" [Barczyk-Barakońska, 172].

Ruiny, z których tworzy się nowe rumowiska. Odchody, które po spożyciu wydala się ponownie z myślą o kolejnych autorach. „Ta wada jest udziałem każdego pisarza, teraz ją znajduję w sobie" – pisze o sobie i kolegach po piórze Burton. „Tu nie daję nic nowego, wszystko jest kradzione" [I, 22]. I jeszcze: „wszyscy oni złodzieje; podkradają coś stale dawnym autorom" [I, 23]. Złodziejstwo jako określenie pisania trzeba dodać do tego katalogu. Stanley Fish dopowiada: „W tym stwierdzeniu oskarżyciel i oskarżony, ofiara kradzieży i złodziej zamieniają się stale miejscami z oszałamiającą gwałtownością. Wszystko podlega ciągłej zmianie, nic nie jest stałe, a już najmniej owo «ja», które składnia przyporządkowuje jednocześnie do krytykującego i krytykowanego" [Fish, 310]. Bowiem na tym niskim poziomie organizacji także wszystko natychmiast obraca się w gruzy.

Ruiny, odchody, kradzież. W tym wszystkim nurza się Burton – jak się wydaje – z wielką przyjemnością. I w żadnym momencie swojej księgi nie przestaje tego robić. A niektóre cytaty osiągają spore rozmiary: tłumaczenie (nadzwyczaj wierne, jak twierdzi Burton) listu Hipokratesa do Damagetosa zajmuje kilka stron. Ekstensywne, nadmierne cytowanie jest zresztą tą cechą *Anatomii*, która chyba najsilniej zaistniała w krytycznym dyskursie i czytelniczej świadomości. Burton – wielki kompilator. Oczywistość. Rzecz w tym, że interpretacyjne konsekwencje tej oczywistości są poważne. Weźmy choćby problem gatunkowości. Esej? Oczywiście. Wyżej cytowałem Burtona, który mówi: rapsodia. Może być. Ale mówi też: centon. Burton i w tym bywa porównywany do Montaigne'a, że obaj „opisywali swoje literackie przedsięwzięcie w skromnych kategoriach zbieraniny albo centonu, a nie monumentalnego *opus* stworzonego przez geniusza, twierdząc przy tym, że nie są warci czytania" [Lund, 142]. Skromność to jedna strona tej zabawy w centon. Ale jest też zupełnie inna, przeciwna:

> Centonista tworzy coś zupełnie nowego – niekiedy w geście uświęcającym, niekiedy z zamysłem profanacji – wykorzystując „kości" czcigodnych ojców. Jako że toczy się tu gra ze szczątkami zmarłych, to centon zawsze balansuje na granicy wykroczenia. Dokonuje ekshumacji, nawet jeżeli zachowuje zwłoki jedynie we fragmentach. Sztuka centonisty jest zakorzeniona w zdolności przemieszczenia: możności zmiany dotychczas istniejącego w pamięci sensu tekstu źródłowego [Shirilan].

Sztuka centonu jest w jakimś stopniu działalnością grabieżczą – wiadomo: „wszyscy oni złodzieje" – ale też przemocową. To przywłaszczenie, które nie służy cytowanemu, ale cytującemu. Cytowanemu służy (chociaż też można mieć wątpliwości) praca antologisty. Te dwa zatrudnienia bardzo się jednak od siebie różnią: „gdy antologista wyłuskuje i zbiera, centonista tka, zbliżając się do tradycji opowiadania jako materiału czy tkaniny, a nie narracji w znaczeniu zapisu czy «świadectwa»" [Shirilan].

U Burtona ten gest jest tym bardziej osobliwy, że cytuje w nadmiarze, owszem, ale na dodatek swój angielski tekst inkrustuje łaciną. Angielska tradycja piśmiennictwa medycznego – w przeciwieństwie do kontynentalnej – miała być przystępna dla laików, stąd częste użycie angielszczyzny, języka wernakularnego, lokalnego. Burton te dwie tradycje łączy, tworząc – jak sam pisze – jego własny *Maceronicon* [Lund, 79]. Jakkolwiek cytaty łacińskie są zauważalne i niekiedy obszerne, to *Anatomia* jest dziełem języka angielskiego: łacina, oprócz tego, że gra z tradycją literatury medycznej, to jeszcze stanowi narzędzie osobliwej zabawy. Burton bowiem niekiedy sam te łacińskie cytaty tłumaczy – nie przerywa przy tym toku swojej wypowiedzi, więc „dokleja" swoje tłumaczenie do łacińskiego przytoczenia i tym samym nie nadpisuje go, ale powiela, zwielokrotnia. „Jego przekłady powstają raczej dla samej zabawy, przyjemności poruszania się w tę i z powrotem pomiędzy językami, a nie z prostackiej konieczności upewnienia czytelnika w jego rozumieniu tekstu" [O'Connell, 81], tym bardziej że Burton bywa oszczędnie wierny w swoich przekładach. I w tym jeszcze raz widać te gesty: odbudowywania ruin, których elementy zaprawa wiąże w innej zupełnie konfiguracji, przetwarzając nie do poznania; bezczelnej grabieży, której przedmiot (tu akurat: łacińskie cytaty) musi się poddać opresyjnej sile złodzieja i jego stylu; trawienia już raz przetrawionych resztek, które śladowo już tylko zachowują swój pierwotny charakter i wcześniejsze znaczenie.

2.5

Dzisiejsza lektura tekstu *Anatomii melancholii* daje wrażenie stylistycznej różnicy między tekstem angielskim a łacińskimi inkrustacjami. Na tle czcigodnej staruszki, którą obecnie właściwie nikt – poza specjalistami, rzecz oczywista – sprawnie się nie posługuje, język Burtona wydaje się tym bardziej kolokwialny. Michael O'Connell przekonuje, że to błąd perspektywy:

> Łacina staje się tłem, na którym język narodowy może osiągnąć swoją skuteczność, albo też lingwistycznym Obcym o tak zdecydowanie odmiennym charakterze, że sama jego obecność daje angielszczyźnie osobliwą wolność. Nie chcę przez to powiedzieć, że łacina jest językiem pisanym, podczas gdy angielski istnieje w wersji mówionej. Jako że praktycznie żaden współczesny czytelnik, nawet jeśli potrafi po łacinie czytać, nie potrafi ani w tym języku mówić, ani też nie jest w stanie zrozumieć więcej niż kilka usłyszanych słów, przybrała ona z konieczności niemal wyłącznie formę pisanego kodu. W siedemnastym wieku tak nie było; Burton ze swoimi kolegami uniwersyteckimi rozmawiał po łacinie i z łatwością rozumieli oni wypowiadane cytaty w tym języku [O'Connell, 80].

Nawet jeżeli dla nas łacina w *Anatomii* stanowi różnicujące tło dla angielszczyzny (w ramach tej dystynkcji: pisane – mówione), to nie wpływa to na odbiór stylu tej ostatniej. Angielski Burtona – niezależnie od obcości cytatów – jest konwersacyjny, potoczny, mówiony.

Nieformalność, bezpośredniość czy swoboda tego stylu [Babb, 5] zazwyczaj jest tłumaczona niechęcią samego Burtona do wygładzania materiału, szlifowania zdań. Rzucona przez niego tu i tam sugestia (barbaryzmy, improwizowany styl, kulejąca kompozycja) uwodzi niektórych badaczy: „nie mamy powodu mu nie wierzyć" [Babb, 26] – piszą, dodając, że jego wszystkie poprawki dokonywane w tekście kolejnych edycji – co zresztą jest prawdą – nie polegały na szlifowaniu stylu, ale dodawaniu kolejnych elementów, dzięki którym zwiększa się atrakcyjność tekstu. Nikt temu nie przeczy, co nie znaczy, że jego dzieło potoczność swojego stylu zawdzięcza niedbalstwu autora. „Kolokwialność Burtona jest w istocie najbardziej uderzającą i znaczącą cechą jego angielskiej dykcji; to właśnie Burtonowski język czytelnik zapamięta" [O'Connell, 83]. Bo ta predylekcja do „doryckiego dialektu" jest może najważniejszym z powodów, dla których *Anatomia* jest wciąż pamiętana: i nie tylko o sam styl tu chodzi, ale o jego doskonałość. Bo był Burton „koneserem kolokwializmów, kolekcjonerem slangu, który czerpał przyjemność z tego języka wyzwisk i plotek" [O'Connell, 84]. Koneser to jednak ktoś inny niż abnegat.

Nawet jeżeli cały tekst uznamy za skażony tą tendencją do kolokwialności (łącznie z łaciną, która z tego mówionego toku go nie wytrąca), to jednak istnieją też – na różnym poziomie organizacji tekstu – inne elementy stanowiące elementy różnicujące, kontrastowe tła, kontrapunkty. Składnia, słownictwo specjalistyczne, zmyślność (rozumiana jako chwyt znany z barokowej poezji metafizycznej: dowcip, *ingenium, wit*).

Mówiąc „składnia", mam na myśli właściwie konstrukcję zdań podrzędnych w ramach większych okresów zdaniowych. Zdania Burtona – jak to się często zdarzało w tamtym czasie u pisarzy wyszkolonych na prozie łacińskiej – bywają ogromne. Zdania składowe rozdzielane są przecinkami i średnikami w miejscach, gdzie dziś postawilibyśmy kropkę, stąd wydają się nam rozciągnięte do granic wytrzymałości (a niekiedy te granice przekraczają). To było w czasach Burtona praktyką dość powszechną, jednak na tle epoki i on tu się wyróżnia. Zazwyczaj „zdanie takie nie posiada żadnej wewnętrznej jedności; jest po prostu łańcuchem osobnych zdań rozdzielonych przecinkami czy dwukropkami"[11] – to akurat komentarz dotyczący wczesnych utworów prozatorskich Johna Donne'a, który można odnieść do wielu autorów. Żeby dać tu próbę, tak to mniej więcej wygląda:

> Obserwuję lekarza z taką samą uważnością, z jaką on bada chorobę; widzę jego lęk i lękam się razem z nim; prześcigam go, wyprzedzam w jego lęku; jestem od niego prędszy, bo jego krok jest wolny; lękam się tym więcej, że on skrywa swój lęk, bo dostrzegam to tym wyraźniej, im bardziej on go skrywa[12].

To nie jest przypadek Burtona. On bowiem, mówiąc w największym uproszczeniu, z dwóch modeli kształtowania prozy, czyli klasycznego i cyceroniańskiego, wybiera ten drugi. Nawet jeśli składowe tych monstrualnych okresów zdaniowych nie są ściśle ze sobą złączone spójnikami czy zaimkami, a wyłącznie znakami interpunkcyjnymi, to wiąże je ze sobą logika zdania: pointa lub dopełnienie zdania otwierającego wstawione na koniec po ciągu dygresji i wtrąceń. W tym

sensie Burton jest podobny do autorów późniejszych: Hobbesa czy Browne'a. Większość teorii poezji metafizycznej da się zastosować do Burtonowskiej prozy tylko na zasadzie mniejszego bądź większego przybliżenia, bliższej lub dalszej analogii: logika wiersza i prozy (szczególnie takiej prozy) jest zupełnie inna. Na dodatek koncepcji barokowego dowcipu w jego dawnym znaczeniu zmyślności, a nie żartu, jest wiele i każda podważa prawomocność innych. Ale najogólniej: to próba oddania dysharmonii świata za pomocą metaforycznych, skondensowanych figur wywodzących się z poetyki emblematu, a zestawiających ze sobą elementy krańcowo odległe. Na dodatek posługują się one „surowym i szorstkim wierszem" (zarówno w leksyce, jak i metryce)[13]. U Burtona można to zauważyć i w dużej skali (budowy całych rozdziałów), i w małej: na poziomie aforystycznego zdania, które posługuje się paradoksem wzmocnionym środkami poetyckimi (aliteracje, paralelizmy). Ten styl całej *Anatomii* zapowiadają zresztą otwierające angielskie wiersze, które można uznać za jej pierwsze streszczenie i opis chwytów – oba realizują ten metafizyczny model: pierwszy – będąc osobliwą (bo często niedokładną i wykraczającą poza obraz stanowiący podstawę opisu) ekfrazą, a drugi swoją paraleliczną i refreniczną strukturą opartą na silnym kontraście poszczególnych części:

I zda mi się, że znam ją, że słyszę
Melodię, która umila ciszę,
Widzę blask miast, pałacowej wieży
Wzniosłość; cały świat do mnie należy,
Wyjątkowa krasa, uroda dam,
Wszystko na wyciągnięcie ręki mam.
Nic takiej rozkoszy nie wyzwoli
Skuteczniej od czaru melancholii.
I zda mi się, że widzę, że znam ją,
Tę zgraję demonów, które mamią
Mi zmysły, szpetne te kreatury,

Bezgłowe bestie, orszak ponury,
Który przez swe potępieńcze wycie
Lęk sieje w duszy, zatruwa życie.
Nic takiej udręki nie wyzwoli
Skuteczniej od wściekłej melancholii [I, 11–12].

Wszystko to sprawia, że proza Burtona jest ciemna – nie w znaczeniu przygnębiającej aury i depresyjnego nastroju (chociaż i to prawda), ale też w sensie przyswajalności i możliwości zrozumienia. Burton – podobnie jak metafizycy – jest nieustannie sceptyczny wobec własnych i cudzych konstatacji, stale koryguje wnioski, zestawia ze sobą sprzeczne zupełnie poglądy. Nie jest to znów efekt niedbałości, ale środek celowy i znaczący. Burton jest „może najmniej analitycznym spośród pisarzy" i „nie może być uznany za naukowca nawet w dość łaskawych kategoriach siedemnastego wieku" [O'Connell, 37]. Dzieje się tak dlatego, że „jego logiką nie rządzi matematyka, ale sztuka" [Fox, 129].

Jest po prostu pisarzem. Poddanym prawodawstwu sztuki, a nie logiki. Jasność nie stanowi dla niego szczególnej wartości, bo jak pisał Donne, „Jasność nas przygnębia [*depresseth us*], a pustka wypełnia"[14]. Donne miał na myśli w pierwszym rzędzie światło słoneczne, ale ta metafora jest szersza.

Burton, jak pisze Liliana Barczyk-Barakońska, należał do gatunku *ambidexter* – tych, którzy piszą obiema rękami. Był więc kimś podejrzanym, niejednoznacznym, podważającym nieustannie prawdę jako pewną stałą, podważającym samą możliwość istnienia prawdy: „pisze jedną ręką, żeby drugą w tym samym czasie zmazywać to, co napisał; oba te gesty jednakowo są prawomocne, oba też są konstytutywne dla jego pisarskiego procesu" [Barczyk-Barakońska, 45].

Na koniec – a jakżeby inaczej – zostawiam problem konkluzywności *Anatomii* czy też jej domknięcia. A dokładniej: ich dojmującego braku. I to na dwóch przynajmniej poziomach: znaczenia i struktury.

Burton żongluje sobie wszystkimi dostępnymi a wzajemnie sprzecznymi teoriami, nie decydując się na wskazanie jego zdaniem właściwej, jako że „*Anatomia* pokazuje, iż te same opisowo dostępne techniki służące zupełnie odmiennym przeświadczeniom mogą wprowadzać odmienne znaczenia i że tylko analiza w toku wszechogarniającego doświadczenia czytelniczego może zapobiec przedwczesnym i łatwym konkluzjom" [Fish, 352]. Dodałbym: o ile jakieś konkluzje się w ogóle mogą pojawić, bo celem Burtona zdaje się być trwanie tego „czytelniczego doświadczenia", nieustanny powrót, choćby i realizowany w nieciągłej, tmetycznej lekturze.

W *Anatomii* walczą ze sobą dwa odmienne gesty: pragnienie pełni i wykluczenie. Oba są związane z książką (jako przedmiotem o cechach, w które wyposażyła go ówczesna technologia) i biblioteką (jako symboliczną przestrzenią Burtonowskiego pisania). Zmieścić całą bibliotekę w jednej książce – co wydaje się pomysłem Burtona – można oczywiście, podejmując wciąż na nowo trud uzupełniania (tego, co się wcześniej wykluczyło). Żeby było ono skuteczne, książka musi przyjąć formę encyklopedii: zgodnie ze źródłosłowem to „krąg wiedzy". Odtwarza ona strukturę biblioteki, która jest przecież domkniętym (choć gotowym na aktualizacje i przybór nowych książek) systemem wzajemnych odniesień. Najlepiej tę próbę odtworzenia widać po streszczeniach czy też spisach treści, które Burton w książce umieścił, a które naśladują biblioteczny katalog. I znów: nie służą one w żadnym razie polepszeniu orientacji czytelnika, ale rzecz jeszcze – jakby nie była ona jeszcze dość zawiła – zaciemniają.

The SYNOPSIS of the FIRST PARTITION.

In diſeaſes conſider *Sect.* 1. *Memb.* 1.

- Their Cauſes. *Subſ.* 1.
  - Impulſive; { ſin, concupiſcence, &c.
  - Inſtrumental; { intemperance, all ſecond cauſes, &c.
- Or
- Definition, Member, Diviſion. *Subſect.* 2.
  - Of the body 300. which are
    - Epidemical; as Plague, Plica, &c.
    - Or
    - Particular; as Gout, Dropſie, &c.
  - Or
    - In diſpoſition; as all perturbations, evil affection, &c.
  - Of the head or mind. *Subſ.* 3.
    - Or
    - Habits, as *Subſ.* 4.
      - Dotage.
      - Phrenſie.
      - Madneſs.
      - Ecſtaſie.
      - Lycanthropia.
      - Chorus ſancti Viti.
      - Hydrophobia.
      - Poſſeſſion or obſeſſion of Devils.
      - Melancholy. See V

Melancholy: in which conſider

- Its Æquivocations, in Diſpoſition, Improper, &c. *Subſect.* 5.
- *Memb.* 2. To its explication, a digreſſion of anatomy, in which obſerve parts of *Subſ.* 1.
  - Body hath parts *Subſ.* 1.
    - contained as
      - Humours, Blood, Phlegm, Choler, Melancholy.
      - Spirits; Vital, Natural, Animal.
    - Or
    - containing
      - Similar; ſpermatical, or fleſh, bones, nerves, &c.
      - Diſſimilar; brain, heart, liver, &c. *Subſ.* 4.
  - Or
  - Soul and his faculties, as
    - Vegetal. *Subſ.* 5.
    - Senſible. *Subſ.* 6, 7, 8.
    - Rational. *Subſ.* 9, 10, 11.
- *Memb.* 3.
  Its definition, name, difference, *Sub.* 1.
  The part and parties affected, affection, &c. *Subſ.* 2.
  The matter of melancholy, natural, unnatural, &c. *Subſ.* 4.
- Species, or kinds, which are
  - Proper to parts, as
    - Of the head alone, Hypocondriacal, or windy melancholy.
    - Of the whole Body
    - with their ſeveral cauſes, ſymptoms, prognoſticks, cures.
  - Or
  - Indefinite; as Love-melancholy, the ſubject of the third partition.
- Its Cauſes in general. *Sect.* 2. A.
  Its Symptoms or ſigns. *Sect.* 3. B.
  Its Prognoſticks or indications. *Sect.* 4. 4.
  Its Cures; the ſubject of the ſecond Partition.

I te streszczenia łamane przez spisy treści prowadzą nas do ostatniej już (obiecuję!) metafory, która opisuje strukturę księgi. Burton pisał: „Nigdym nie odbywał podróży innych niż palcem po mapach, które moim nieograniczonym niczym myślom pozwalały na swobodne dywagacje, jak to szczególnie bywało, gdy z zachwytem studiowałem kosmografię" [I, 18]. Albo: „Nie ma większej przyjemności niż czytanie, spacery, oglądanie map [...]" [II, 86]. Bo wspomniane spisy treści naśladują nie tylko katalog książek, ale właśnie mapę. W tamtym czasie gatunek mikrokosmografii, oparty właśnie na idei mapy, nie był wcale zjawiskiem wyjątkowym. Burton w *Anatomii* podejmuje podróż w nieznane – tekst go prowadzi tam, gdzie on sam nie przypuszczał, że dojdzie [Fox, 69]. Mapa – najlepiej w formie globusa – jest wzorem strukturalnym jego rozprawy. Kulista i nieskończona, a na dodatek stale wówczas uzupełniana wraz z podróżami i odkryciami geograficznymi. Mapa to oczywiście nie tylko wyimaginowana przestrzeń podróży, jaką podejmuje, ale także gest wzięcia w posiadanie. Ten, kto ma mapę, ten rządzi terytorium; kto włada jakąś ziemią, sporządza jej mapę. Mapa pozwala Burtonowi podjąć się opisu świata w skali, ale też poddać go kontroli: „wziąć świat w posiadanie znaczy ogarnąć go w sposób wymierny i czytelny. Wymóg wymierności i czytelności poprzedza każde spotkanie ze światem, które jest z konieczności zapośredniczone" [Barczyk-Barakońska, 132].

3. To pisał Nikt: maska Demokryta

3.1

Pod koniec swojej wielkiej przedmowy *Demokryt Junior do czytelnika* Burton pisze: „Ja to napisałem, ja to wydałem. *Houtis helegen* [powiedział to nikt], czyli *neminis nihil* [to nic powiedziane przez nikogo]" [I, 122]. To ostateczny gest wycofania – tak bardzo autor skrywa się za maską Demokryta, że znika zupełnie. Kto to mówi? Nikt.

Burton przybiera imię starożytnego melancholika na samym początku – nie tylko od pierwszego wydania (w którym – jak już wspominałem – ujawniał swoją prawdziwą tożsamość, co później zarzucił), ale i od pierwszej strony. I każdy kolejny tekst następujący po stronie tytułowej (z wyłączeniem jednego wiersza) zaczyna się od tego skradzionego imienia. Tytuł pierwszego wiersza to *Demokryt Junior do swej księgi*; w kolejnym wierszu, *Opisanie ryciny na frontyspisie*, występuje w pierwszym wersie pierwszej zwrotki:

> Tu mamy postać starego Demokryta:
> Na kamieniu, z księgą, pod platanem skryta [I, 7].

Tytuł przedmowy przytoczyłem już na początku. I w jej pierwszym zdaniu pojawia się to kluczowe słowo: maska. Jestem błaznem – wyznaje Burton – który przywdział tę maskę.

Maska, owszem, ale i coś więcej: wcielenie. Widać to już na tej słynnej grawiurze umieszczonej na frontyspisie *Anatomii* – występują tam obaj, stary Demokryt i Demokryt Junior:

> Demokryt z Abdery, poprzednik Burtona w anatomicznym rozbiorze melancholii, siedzi w swoim ogrodzie, dokonując sekcji zwierząt, których zwłoki, będące przedmiotem jego studiów, leżą dokoła w nieładzie. Ale Demokryt Junior – autor tego dzieła, które w kolejnych częściach, rozdziałach, sekcjach i podrozdziałach

> analizuje przyczyny, symptomy, rokowania i leki – trzyma w dłoniach swoją księgę. Dzięki sztuce rytownika opracował strukturę, która daje mu skończony obraz świata melancholii: podczas gdy Demokryt rozczłonkowuje ciała, Demokryt Junior łączy je za pomocą ich przedstawienia [Fox, 39].

Dwie księgi na rzeczonej rycinie są bardzo istotne: jedna spoczywa na kolanach Demokryta, drugą trzyma w dłoniach Demokryt Junior. To nie jest ta sama książka. Powiedziałbym: prawie ta sama, ale jednak inna. Rozprawa Demokryta nigdy nie powstała albo zaginęła. Książka Burtona jest więc jej odtworzeniem czy – tak naprawdę – odtworzeniem, napisaniem na nowo, jak sam opisywał swój cel: „wskrzesić ją i przeprowadzić tę pracę do końca w tym traktacie" [I, 17]. *Anatomia melancholii* jest więc napisana niejako w zastępstwie Demokryta – gest przywdziania maski jest (w tej perspektywie) oddaniem sprawiedliwości prawdziwemu autorowi i jego dziełu, którego nieobecność jest skutkiem przypadku, złego losu, pecha.

3.2

Ale nie można zapominać, że Burton jest centonistą: jego autorski gest waha się między skromnością a przemocą. I ta dychotomia też tutaj występuje. Jest jednak o wiele ciekawsza i bardziej skomplikowana.

Mamy tu do czynienia z aktem przysposobienia albo adopcji. Wymuszonym, bo przecież podmiot tej operacji od dawna nie żyje. Liliana Barczyk-Barakońska mówi o próbie zadzierzgnięcia rodzinnych więzi pomiędzy Burtonem a Demokrytem. Jako że proces adopcji jest jednokierunkowy (rodzic adoptuje dziecko, a nie na odwrót), to w istocie Burton adoptuje Demokryta – a dokładniej: jego dzieło, które chce przecież „wskrzesić", przywrócić do życia po dwóch tysiącach lat. Jeśli uznamy, że Demokryt i jego dzieło są jednym i tym samym, to stają się oni owym dzieckiem, które Burton adoptuje: „Jest ono tym samym dzieckiem, które Burton wybrał na przybranego rodzica swojej księgi" [Barczyk-Barakońska, 49]. Przedziwna i paradoksalna to sytuacja,

w której Burton i Demokryt zamieniają się rolami – ale przecież ta niestabilność jest w kontekście *Anatomii* zupełnie normalna, skoro w całym dziele niewiele jest stałych, a cała struktura i wszystkie znaczenia pozostają bez przerwy w stanie gorączkowego rozedrgania. Relacja pomiędzy oryginałem i substytutem jest rozchwiana. Po pierwsze, Burton „czyta" nieistniejący oryginał, żeby móc napisać własny zamiennik, co jest procedurą ściśle melancholijną (można sobie wyobrazić bardziej depresyjny schemat niż „czytanie utraty"?). Po drugie, pisze swoją księgę jako uzupełnienie, rozszerzenie czy dopełnienie dzieła (które co prawda nie istnieje, ale nie zmienia to natury tego gestu), a mówiąc wprost: powtarza je, czym wpisuje się w ekonomię nadmiaru, naddatku, nadwyżki, która – kolejny paradoks – zatraca się w nieistnieniu, jako że „utrata unieważnia, zamazuje i wywłaszcza każde pisanie zgłaszające pretensje do jej ujęcia" [Barczyk-Barakońska, 50].

Burton wybiera sobie więc maskę Demokryta nie dlatego (nie tylko dlatego), żeby wziąć sobie za patrona największego melancholika wszystkich czasów. Może nawet bardziej niż Demokryta wybiera sobie jego księgę, a jej nieistnienie, brak, poczucie fundamentalnej utraty, które stara się jakoś ukoić, wprowadza go w sam środek melancholijnego tematu.

3.3

Ale są i inne powody, dla których Burton chowa się za Demokrytem. Niektóre bardziej oczywiste, inne subtelniejsze.

Tym najoczywistszym jest śmiech. Demokrytowy śmiech, śmiech z ludzkiej głupoty i z szaleństwa świata. Burton z początku sugeruje, że nie o śmiech mu chodzi, a o oddanie czci. Ale już na końcu przedmowy ujawnia swoje prawdziwe powody, zrzucając na Demokryta całą odpowiedzialność: „to nie ja rzekłem, ale Demokryt, *Democritus dixit*: trzeba ci oddzielić to, co mówi się w swoim imieniu, od tego, co twierdzi się pod przyjętym imieniem, pod przywdzianą maską" [I, 121].

To jest właśnie ten paradoksalny gest uzurpacji wobec nieistniejącego dzieła: to nie ja, to on powiedział – i to na dodatek w książce, której nie ma i może nigdy nie było!

Ten śmiech bywa często szyderczy. Burton używa sobie w przedmowie, jak tylko potrafi – literacko, retorycznie jest ona zresztą najlepszym fragmentem *Anatomii*, prawdziwym szczytem jego możliwości. To skłoniło niektórych badaczy do twierdzenia, że *Demokryt Junior do czytelnika* stanowi część, która powstała na samym końcu. Pomijając jej artystyczne mistrzostwo, trzeba przyznać, że pełni w książce bardzo ważną rolę: ustawia jej lekturę i jest – nieoczywistym, ale jednak – streszczeniem całości, zapowiedzią wszystkich jej części. To ustawienie lektury jest tym ważniejsze, że przedmowa tak bardzo odbiega od reszty dzieła. Uważa się, że taka też była intencja Burtona: unieważnić albo wyraziście zmienić obraz całości. Po to mu był Demokryt i jego śmiech, żeby zatrzeć naukowość *Anatomii*, obalić *post factum* jej prawomocność jako książki medycznej. Jeśli napisał ją rzeczywiście na końcu, to dokonał w tym momencie zwrotu od nauki do literatury.

Burton używa Demokryta i jego śmiechu także z innych, nie aż tak fundamentalnych powodów. Zyskanie dystansu jest najbardziej oczywistym i do tego katalogu musi trafić. Ale też wykorzystuje ów śmiech, przekształcając go w lekarstwo na melancholię: „używa postaci Demokryta – pisze badaczka – jako pewnego rodzaju remedium, które może oddziaływać tak na czytelnika, jak i na samego autora. Pogląd o terapeutycznym wpływie śmiechu jest w tym okresie już solidnie ugruntowany" [Lund, 157]. Najsubtelniejszą może interpretacją tego demokrytejskiego motywu jest ta, która wskazuje na przeprowadzoną za jego pomocą obronę humanistyki. Stanley Fish żartował sobie, że Burton, przedstawiając postać Demokryta, nie może się zdecydować na jakąś spójną charakterystykę, dlatego też czytelnik dostaje wielu Demokrytów, których na końcu – w geście autorskiej bezradności – zagarnia w jednoczące ich wszystkich pojęcie *omnifariam doctus*,

wszechstronnego szkolarza [Fish, 307]. W jego opinii to dobry żart z czytelnika, który mógł się spodziewać jakiegoś nieudziwnionego szkicu biograficznego, a dostał – jak wiele razy – chór sprzecznych głosów, chaos. Może i jest to bezradna próba okiełzania chaosu, ale chyba nie najgorsza, bo wprowadza na scenę Demokryta humanistę: „identyfikacja z ironicznie drwiącą figurą Demokryta była ściśle klasycznym gestem odgrodzenia duszy filozofa od zepsucia otoczenia”[15]. Przez tekst *Anatomii* kilka razy przebija frustracja Burtona, który z upadkiem rozumu (a to jedna z przyczyn melancholii przecież) nie może się pogodzić – także dlatego, że cierpi na tym i jego pozycja jako naukowca, człowieka akademii:

> Związek pomiędzy wzorem protestanckiego narodu i ideologią humanistyczną poprzedniego stulecia stawał się wręcz niemożliwy do podtrzymania w środowisku, gdzie długotrwałe polityczne skutki reformacji prowadziły do renegocjacji tradycyjnych dominant władzy i podległości i gdzie towarzyszące jej religijne spory rozdzierały wspólnotę uniwersytetu. *Anatomia* poświadcza, że jedną z konsekwencji była destabilizacja pozycji humanisty, co Burton uznawał za pogwałcenie nauki przez melancholię świata [Gowland].

4. Nieuleczalna przypadłość i renesans medycyny

4.1

Niezależnie od wszystkich wolt Burtona, niezależnie od jego zaprzeczeń i unieważnień naukowego charakteru *Anatomia* jest – przynajmniej w jakiejś części – traktatem medycznym: „W stopniu, w jakim jego celem było ukazanie wiedzy naukowej mogącej praktycznie przysłużyć się jej czytelnikom, należy postrzegać *Anatomię* jako encyklopedyczne kompendium klasycznej, średniowiecznej i wczesnonowożytnej medycyny, i w tym sensie książka była niedoścignionym wprost dokonaniem" [Gowland]. I rzeczywiście, Burton ogarniał w swoich lekturach obszar rozleglejszy niż inni – mniej lub bardziej – współcześni pisarze: sir Thomas Elyot w jego *The Castle of Health* (1539), Thomas Cogan w *The Haven of Health* (1584) czy Timothy Bright w *Treatise of Melancholy* (1586). Miał Burton nad nimi przewagę kilku dekad, ale także tę wynikającą z wykorzystywania książek w językach narodowych; dotyczy to głównie angielszczyzny. Na dodatek ta powyższa opinia Gowlanda zostaje jeszcze poddana autorskiej korekcie: nie była to encyklopedia dążąca do podsumowania istniejącej medycznej nauki, ale „analiza wiedzy medycznej, która mogła stanowić przewodnik po całym korpusie tej dyscypliny" [Gowland]. Czyli bardziej nawet leksykon niż encyklopedia.

Trzeba to widzieć na tle medycznych książek tamtego okresu: „przyjmowały one wiele różnorodnych form, ale najbardziej popularną kategorią tekstów drukowanych – i taką, która ma związek z dziełem Burtona – był objaśniający podręcznik i poradnik" [Lund, 87]. Jeśli *Anatomię* uważać za dzieło medyczne, to rzeczywiście realizuje ona obie te formy. Medycyna tamtego czasu była w znacznej mierze oparta na tekstach, a nie doświadczeniu (trzeba przy tym pamiętać, że sekcja ludzkich zwłok została dopuszczona przez Kościół dopiero pod koniec

XV wieku i w czasach Burtona nie byłą praktyką częstą – Leonardo da Vinci podobno chwalił się przeprowadzeniem sekcji dziesięciu ludzkich ciał)[16]. W tym sensie Burton nie jest wyjątkiem. Jego eksploracja obejmuje dzieła od starożytności (od Arystotelesa, Hipokratesa i – głównie – Galena po Faventinusa), przez autorów perskich czy arabskich (Awicenna, Al-Abbas, Al-Razi), aż do autorów wczesnej nowożytności: włoskich (Gabriele Falloppio), francuskich (Charles Le Pois, André du Laurens), holenderskich (Jan van Heurne) czy niemieckich (Reiner Solenander). Jest ich mnóstwo i większość z nich znana jest pewnie dzisiaj tylko historykom medycyny o dość wąskiej specjalizacji.

W *Anatomii* każdemu jest udzielony głos, chociaż często prezentują poglądy krańcowo różne albo wprost sprzeczne. Stare rozpoznania mieszają się z nowymi, autorzy nowożytni sąsiadują ze średniowiecznymi poprzednikami. Ale to nie powinno dziwić: „Z perspektywy humanistycznej duża część wczesnonowożytnej nauki obecnej na stronach *Anatomii* była osobliwie zakorzeniona w scholastycznym dziedzictwie. W przeciwieństwie do etyki czy polityki w medycynie nie zaistniało świadome zerwanie z przeszłością" [Gowland]. Dlatego też u Burtona sposoby leczenia, które i dziś da się uznać za rzeczywiste remedia, jak zioła, oczyszczanie, dieta, mieszają się nie tylko z terapią, którą dziś zajmuje się – w pewnym przybliżeniu – psychologia, ale też z astrologią, wiarą w szkodliwość wpływu złych duchów i tym podobne. To przemieszanie wynika ze specyficznego usadowienia Burtona w historii: można powiedzieć, że przypadło mu miejsce na granicy epok, siedział okrakiem na tej barykadzie między starą a nową nauką (gdyby jeszcze jakaś wyraźna barykada istniała!), był świadkiem przełomowych odkryć (to wtedy William Harvey przebadał i po raz pierwszy w zachodnim świecie opisał krążenie płucne). Było jeszcze dużo za wcześnie, żeby mógł – szczególnie jako amator – negować tradycję.

Najwyrazistszym jej śladem w książce poświęconej melancholii jest teoria humoralna. Pochodząca jeszcze od Hipokratesa, a przynajmniej zaliczona do jego nauk i włączona do korpusu dzieł jego autorstwa, jest pewnie najbardziej trwałą z obecnych wówczas w medycynie teorii protofizjologicznych. Wedle tej teorii zdrowie organizmu zapewniała równowaga czterech płynów – dziś powiedzielibyśmy: ustrojowych – które wypełniały ciało: krwi, flegmy (inaczej: śluzu), żółci oraz czarnej żółci. Ta ostatnia jest oczywiście w tym kontekście najważniejsza, bo to jej nadmiar powoduje melancholię, która swoją nazwę bierze zresztą od greckiej nazwy czarnej żółci: *melaina chole*. Burton teorię humoralną przyjmuje i wykorzystuje do opisu choroby. Niektórzy badacze zwracają co prawda uwagę, że „rozpoznaje ograniczenia interpretacji humoralnej i wykazuje nieśmiały sceptycyzm względem tradycyjnej medycyny. Ujawnia się to wyraźniej, gdy traktując ją jako nieistotną, odrzuca klasyfikację rodzajów melancholii opartą na teorii humorów i drwi, że na jej podstawie nie da się ich w praktyce rozróżnić”[17]. Trzeba przyznać, że to naprawdę nieśmiały sceptycyzm, tym bardziej że Burton – jak to on – zasłania się w tej kwestii kilkoma anegdotami o bezradnych medykach, którzy nie potrafili rozpoznać typu choroby; już nawet bardziej śmiały był, kiedy negował wpływ wstawiennictwa świętych na dobrostan melancholika. Jednak najpoważniejszym aktem podważania przywoływanych przez Burtona teorii i tak pozostaje styl: zarówno satyryczne harce przedmowy, jak i zaciemnianie znaczeń pozostałych części [Radden, 13; Gowland].

4.2

Mimo że wiek XVII był czasem zwrotu w naukach medycznych dokonanego przez krytyków teorii Galena, to jednak dla Burtona pozostaje on największym autorytetem: „mistrz dla wszystkich [medyków], z którego źródła czerpią wodę” [II, 103]. To przywiązanie powinno skazywać *Anatomię* na zapomnienie, a jednak także wśród lekarzy, psychologów i specjalistów od nauk pomocniczych medycyny

pozostaje lekturą ważną i inspirującą. Wydaje się, że głównie dlatego, że na Burtona silnie wpłynęła tradycja renesansowego negowania „osiągnięć" medycznych – Bacon twierdził, że sztuka lekarska zamiast ewolucyjnego rozwoju zatacza koło. Burton, chociaż deklaratywnie darzył czcią Galena, w swoim dziele uległ tym wpływom. Nie takie przecież sprzeczności w nim godził.

Jennifer Radden podjęła próbę przekładu Burtonowskich terminów i rozpoznań na język i kategorie współczesnej neuronauki, psychiatrii i psychologii. Dla czytelnika *Anatomii melancholii* przynajmniej kilka z nich może się okazać ciekawych. Jednym z najbardziej dla nas dzisiaj oczywistych jest współistnienie depresji i lęku w pewnych formach zaburzeń afektywnych. Także dziedziczenie melancholii jest śmiałą – i chyba wciąż nie do końca rozstrzygniętą – tezą Burtona: „zaburzenie umysłu, które ma swoje źródło w nasieniu rodziców, a wywołuje dziedziczną chorobę" [I, 210]. U Burtona – w zgodzie z obecną praktyką psychoterapeutyczną – mowa jest jednocześnie medium, za pomocą którego stawia się diagnozę i podejmuje leczenie:

> Burton sugeruje, by cierpiący podjął znaczący wysiłek w celu powstrzymania albo kontrolowania własnej rozpaczy za pomocą rozumu czy stłumienia (by użyć tego współczesnego pojęcia). Opowiada się przeciwko gnuśności i samotności, co dobitnie podkreśli w zakończeniu książki: „Nie bądźcie bezczynni, nie bądźcie samotni" [III, 432]. Jeżeli jednak chory nie jest w stanie kontrolować swojego lęku, żalu i nękających go wyobrażeń, wówczas „zamiast je dusić we własnej piersi, najlepiej je ukoić, dzieląc się nieszczęściem z przyjacielem". Zaleca, by zwierzyć się w poszukiwaniu porady „jakiemuś dyskretnemu, zaufanemu i oddanemu przyjacielowi" [II, 107]. Chory znajdzie „ulgę w skardze", a jego troski rozwieją „szczere słowa" i „czuła mowa" porady przyjaciela[18].

U Burtona jednym z centralnych pojęć jest „pasja" albo też „afekt"; afekty mogą oddziaływać na ciało i odzwierciedlać jego stany, a jednocześnie pośredniczyć pomiędzy tym, co rozumowe i cielesne. To właśnie te emocje, pasje, afekty – Radden przywołuje Antonia Damasia – nakładając się kaskadowo na siebie i wzajemnie się wywołując, tworzą

polifonię uczuć, które uwydatniają bądź tłumią myśli oraz zachowania [Radden, 41]. Związek tych afektów z ciałem jest silny, a wpływ dwukierunkowy i nie do końca poddany kontroli rozumu czy – lepiej powiedzieć – myśli, których powstawanie jest w jakimś stopniu zależne od emocji. Burton to przeczucie najlepiej wyraża, opisując funkcję umysłu, którą nazywa „imaginacją" (można też powiedzieć: fantazja, wyobrażenie, przedstawienie).

Chyba to właśnie imaginacja jest kategorią najciekawszą. Imaginacja to – według Burtona – pewien rodzaj zmysłu czy też dyspozycji umysłu, która może przedstawić zarówno rzeczy istniejące, jak i nieistniejące (te, które – jak doprecyzowuje – dopiero się zdarzą, ale także minione i już nieobecne). Elementy tej definicji „wykazują podobieństwo do dzisiejszych poglądów dotyczących wyobrażeń w rozumieniu zwykłych funkcji kognitywnych umysłu" [Radden, 58].

Ma ona kilka cech i funkcji, które dają się przełożyć na dzisiejsze rozpoznania. Po pierwsze, jako obraz rzeczy zapamiętanych funkcjonuje imaginacja na prawach podobnych do tego, co nazywamy zwykle pamięcią – dzisiejsza psychologia rozróżnia te dwa stany, wykazując jednak podobieństwo ich składowych czy kognitywnego budulca, a jednocześnie podkreślając różnice operacyjne w ich wykorzystaniu: podobieństwo wspomnienia i imaginacji, jakie sugeruje Burton, zachowuje wciąż prawomocność. Po drugie, imaginacja nie zawsze bywa elementem bezpośrednio wpływającym na nasze zachowanie czy uczynki – zachowuje swój bezproduktywny, autonomiczny i bezcelowy charakter (marzenia, gry wyobraźni, lektura fikcji literackiej są tu dobrymi przykładami). Po trzecie, umysłowe aktywności związane z imaginacją są skierowane „do wewnątrz" podmiotu i nie dotyczą świata zewnętrznego – inaczej dzieje się w trakcie procesów myślowych, które nakierowane są na realizacje jakiegoś celu. Po czwarte, imaginowanie jest czynnością *sui generis* – rozumie się przez to jej niezależność od systemu naszych przekonań i wierzeń. Po kolejne, Burtonowska teoria związku pomiędzy

imaginacją i afektem zachowuje swoją aktualność po dziś dzień: wyobrażenia uruchamiają emocje, które z kolei wywołują reakcję w postaci własnej replikacji i – w pętli sprzężenia zwrotnego – prowadzą do mentalnej zmiany [Radden, 56–66].W melancholii imaginacja jest siłą zdradliwą i niszczącą – do tego stopnia, że Burton stwierdza: „Niekiedy bowiem przyczyną śmierci jest siła imaginacji" [I, 256]. Inny historyk medycyny opisuje w podobnych kategoriach sedno teorii imaginacji u Burtona – prawie trzy dekady przed publikacją książki Jennifer Radden, co potwierdza umocowanie tych tez we współczesnej psychologii, mimo (tym bardziej?) że używa on innego języka:

> Jego zdaniem imaginacja jest zdolnością umysłową, która w przypadku melancholijnej choroby jest szczególnie zaburzona, co stwierdza, dokładnie badając, czy jej przypadki są spowodowane imaginacją, czy też [innymi] właściwościami umysłu. Ostatecznie stawia na imaginację, stwierdzając, że myślenie zostaje dotknięte zaburzeniem w drugiej kolejności, „gdy choroba jest silnie zakorzeniona lub mniej czy bardziej trwała" [I, 172]. Określając imaginację jako zdeprawowaną, naruszoną, spaczoną, wynaturzoną lub uszkodzoną, twierdzi, że ona z kolei prowadzi do kłopotliwych afektów i perturbacji dotykających duszę, a tym samym wywołuje kolejne symptomy melancholii [Jackson, 171].

4.3

Melancholia (człowieka i świata) jest w istocie stanem nieuleczalnym. I owszem, od tego kategorycznego stwierdzenia Burton czasem czyni wyjątki – wpisuje się to w realizowany przez niego konsekwentnie model pisania: sprzeczność różnych cytowanych fragmentów, nieustanne wahania, ciągła zmiana perspektyw. Ale dominuje i wybrzmiewa najdonośniej ten dramatyczny wniosek: nie ma na nią skutecznego lekarstwa.

Jedyne, co Burton może zaproponować, to tekst – pisanie, czytanie, jego wielkie, monstrualne, gargantuiczne dzieło. Najskuteczniejsze oczywiście dla niego samego: „Piszę o melancholii, żeby przed

melancholią uciec w to zajęcie" [I, 20]. Już wspominałem, że za sprawą przedmowy, konstrukcji i stylu Burton podważa porządek medyczny: „*Anatomia* apeluje o reorientację i obniżenie znaczenia wartości celów, jakie konwencjonalnie przypisywano medycynie", a skupienie się na filozoficznych aspektach melancholii ma wpływ na „stworzenie przez Burtona własnej wersji «Demokrytejskiej» medycyny" [Gowland]. Jest więc Burton (to kolejna barykada, na której usiadł okrakiem) przykładem „medyka" melancholii, który dokonuje w swojej encyklopedii zwrotu analogicznego do tego, jaki miał miejsce w XX wieku, tj. przejścia od psychiatrii biologicznej do humanistycznej. Nie żeby był pionierem; jest raczej dzieckiem swojej epoki, w której to zmieszanie właśnie dobiegało kresu, by mogła rozpocząć się epoka unaukowienia medycyny.

W tym kontekście jest *Anatomia melancholii* osobliwą „księgą wielu tysięcy dni i nocy", której istnienie jest tautologiczne (istnieje, bo powstaje, powstaje, więc istnieje, nie może przestać powstawać), samowystarczalne (jej terapeutyczne funkcje ograniczają się wyłącznie do jej istnienia: pomaga autorowi, bo powstaje, a także pomaga czytelnikowi, bo istnieje). Zdaje się, że Burton, ta Szeherezada melancholii, żyć będzie tylko dopóty, dopóki będzie pisać. *Anatomia* neguje swoją własną użyteczność jako dzieła encyklopedycznego czy poradnikowego: te tysiące cytatów nie mają wcale przynosić żadnego praktycznego przewodnika po metodach leczenia, bo to same te cytaty są lekarstwem (można zaryzykować: niezależnie od ich treści). „Burton rzadko namawia czytelnika, by odłożył książkę i poszukał doświadczeń poza jej tekstem, chociaż przecież zaleca różnego rodzaju aktywności, książki i leki. Zamiast tego używa tekstu, żeby «oddziaływać» na umysł czytelnika, dla którego akt lektury ma być sam w sobie lekarstwem. Nie jest to jednak bezpośrednia kuracja. Jeśli *Anatomia* jest pigułką, to wyjątkowo trudną do przełknięcia" [Lund, 135]. Ta trudność odnosi się, żeby nie było wątpliwości, do jej obszerności, skomplikowania, nadmiaru – nie jest to w żadnej mierze deprecjonująca krytyka tego tekstu.

Gest ten jest niezwykły, ale wcześniej już bywały podobne. O jednym Burton, przecież – co sam podkreśla wiele razy – teolog, musiał wiedzieć. Księga Hioba zawiera podobny chwyt. Następuje tam w pewnym momencie przemiana Hioba: z postaci udręczonej i pokrzywdzonej zamienia się on – aby swojej udręce uciec, a pokrzywdzenie odpowiednio wyartykułować – w tekst: „Wystawił [mówi o Bogu] mię zaiste na przypowieść ludziom" [Biblia Gdańska, Księga Hioba 17:6]; „Alem teraz pieśnią ich, i stałem się ich przypowieścią" [30:09]. Ale nie tylko w słowach ludzi – ich plotkach czy radach, jakich Hiobowi udzielają – następuje ta przemiana. Hiob mówi do Boga: „Pomarszczyłeś mię na świadectwo, a znaczne na mnie schudzenie moje na twarzy mojej jawnie świadczy przeciwko mnie" [16:8] oraz „piszesz przeciw mnie gorzkości" [13:26]. Kara boska jest bowiem zapisana na ciele Hioba, a zmarnienie jego ciała jest w istocie osobliwym pismem Boga. I, jak wiadomo, Hiob, który do tej pory tylko żalił się na swoje cierpienie, teraz zamierza się mu przeciwstawić. „Oby teraz napisane były słowa moje!" [19:23] – mówi Hiob, co trzeba czytać jako wyraz buntu przeciw bożej niesprawiedliwości: teraz to pokrzywdzony będzie z nią walczył za pomocą słów. Hiob przyodziewa się w swój tekst w obronnym geście. Jonathan Lamb[19], który tę metaforę (przyodziewania się w tekst) zaproponował, nawiązuje tu do noszonych przez religijnych żydów filakterii: pudełeczek z fragmentami Tory, które do rąk i głowy przymocowuje się za pomocą rzemyków, a które pełnią funkcję amuletów.

Podobnie interpretuje się *Anatomię melancholii*. Ma czytelnika zająć, schować go w swój otchłanny tekst. Chociaż Burton nie byłby sobą, gdyby nie wprowadził i tu zamieszania: owszem, mówi melancholikom, żeby stronili od książek i bibliotek, bo zbytnie oczytanie i zatrata w studiach szkodzi, a sama melancholia jest chorobą szkolarzy. Ale to tylko gra, którą uprawia przecież w całej książce. Jego najważniejszym lekarstwem pozostają litery – przyjmowane zresztą w nadmiarze, jakby jednak nie można ich było przedawkować:

> Określając swojego czytelnika jako gościa („Nasze pisma stanowią rozmaite dania, a czytelnicy są gośćmi na tej uczcie” [I, 27]), a anatomię redukując do samych podniebień („tyle jest gustów, ile podniebień” [I, 27]), Burton przekształca przestrzeń swojego dzieła we wnętrze gospody („jeśli ci się nie podoba, poszukaj sobie noclegu gdzie indziej; moja rada: jeśli ci się moje pisanie nie podoba, weź i poczytaj coś innego” [I, 28]. Tak książka zmienia się w tymczasowe schronienie: „W nich [księdze natury i księdze czasów] znajdują one [przedmioty barokowych rozmyślań] swoje cztery ściany i dach”[20]). Czytana książka staje się przestrzenią gościnną, która oczekuje czytelnika/gościa/podróżnego, którego trzeba przyjąć, żeby spełnić jego oczekiwania, które Burton sprowadza do „jedzenia, noclegu itd.” [Barczyk-Barakońska, 149].

No i nie można przecież zapominać, że sama księga jest też ciałem poddanym szczegółowej analizie w następstwie anatomicznej sekcji – stąd przecież to znaczące nazewnictwo części i rozdziałów. I w tym ciele, w jego skomplikowanym labiryncie, Burton umieszcza ową *apotheca librorum*: przemienia tekst w sieć odniesień, powiązań i aluzji – a te, jako że wywodzą się ze słowa *ludere* (brać udział w zabawie), wciągają czytelnika w przestrzeń dziwnej gry. Niebezpiecznej, ale ostatecznie – jak sugeruje Burton – dobroczynnej i leczniczej.

5. Pacjent zero: to świat jest chory

5.1

Ten wpływ humanistyki na nauki medyczne w czasach Burtona ma swoje konsekwencje w samej *Anatomii*. Wykraczają one znacznie poza proces, który nazwać można „humanizacją medycyny" – to byłoby tylko osłabieniem ścisłości dyskursu medycznego, jego podważaniem, uzupełnianiem i uatrakcyjnianiem. Burton robi coś znacznie więcej, dodatkowo – na ogromną skalę: zaczyna od rozsadzenia dyskursu medycznego od środka, żeby w końcu zmienić niemal zupełnie strukturę i znaczenie dzieła. W istocie, należy traktować medyczne i terapeutyczne elementy książki jako ramę czy wspomniany egzoszkielet. I to na nim opiera się inna narracja, która – jak trzeba sądzić – sprawiła, że z tej masy ówczesnych poradników medycznych *Anatomia* przetrwała do dzisiaj, nie tracąc swojej siły oddziaływania: to nie traktat psychiatryczny, ale raport o stanie melancholijnego świata, co czyni z niej dzieło uniwersalne i żywe, przynajmniej dopóki będzie trwać nasza cywilizacja.

To najoczywistsza cecha książki, powszechnie rozpoznawana, ale też najważniejsza. Zauważają to wszyscy badacze, choć brak powszechnej zgody odnośnie do szczegółów: w którym momencie ten zwrot się zaczyna (skoro niektórzy badacze twierdzą, że kluczowa dla rozumienia książki przedmowa została napisana jako pierwsza, a inni – że na samym końcu pracy nad pierwszą edycją), w jaki sposób wpływa na strukturę książki, a w jakim na jej retoryczne chwyty (i odwrotnie: jak one modelują znaczenie *Anatomii*). Mary Ann Lund, nie rozstrzygając o tym, czy i kiedy następowała ta ewolucja (tzn. czy dzieło było od początku pomyślane jako anatomia świata, a jeśli nie – to kiedy nastąpiła ta zmiana), pisze:

> Ograniczenia w interpretacji *Anatomii* jako zwyczajnego tekstu medycznego są oczywiste. Głównym sposobem Burtona na wyjście poza granice literatury medycznej jest poszerzone zainteresowanie innymi formami terapii. Chociaż autorzy traktatów medycznych także wskazywali na skuteczność terapii opartej na filozofii moralnej, to rzadko w książkach umieszczali samych siebie. […] Sugerowałam już, że medycyna, religia i filozofia nakładają się na siebie w tym wczesnonowożytnym okresie, a u Burtona dobrze widać to całkowite opuszczenie jednej dziedziny na rzecz innej, gdy cytaty i odniesienia z tej pierwszej znikają. […] Zauważam, że to przejście od medycznego do etycznego dyskursu w pewnych momentach jest całkowite [Lund, 94–95].

I dalej mówi o mechanizmie cytowania, które to rozpoznanie ma wspierać wyrażone powyżej tezy:

> Rozwodzę się na temat tego aspektu Burtonowskich przytoczeń, bo jest on istotny dla rozpoznania, jak wiele różnorodnych pól dyskursu przenika się wzajemnie w jego prozie. Stwierdzenie, że Burton po prostu miesza różne tryby pisania w procesie cytowania, jest nieprecyzyjne. Trzeba raczej powiedzieć, że określonym jego typom poświęcana jest uwaga, która następnie zanika, by zrobić miejsce innym formom [Lund, 95].

Niezależnie od tego mechanizmu następstwa tematów *Anatomia* jawi się jako wszystkożerna: „jej zakres stale się zwiększa, jakby Burton uznawał, że ubywa wciąż powodów, by zarzucić to dzieło celem napisania jakiegoś innego" [Babb, 15]. To właśnie ten wykorzystywany wciąż tryb inkluzji kolejnych tematów doprowadza do powstania dzieła o świecie. Burton przecież już na początku stwierdza: „Ty, czytelniku, jesteś tematem mojej rozprawy" [I, 16]. I tak mniej więcej wygląda droga rozważań: depresja – człowiek – świat.

Maska Demokryta, którą przybiera, pokazuje to najlepiej: Demokryt to melancholik, a jego depresyjny stan pozwala mu śmiać się z człowieka, przez uczynki którego widzi marność i głupotę świata. Na początku jest więc ludzkie życie: „*Anatomia* jest tak bogatą i skomplikowaną książką za sprawą sposobu, w jaki Burton przemienia swój temat. Zaczyna od znaczenia melancholii, która pod jego piórem

urasta do czegoś o wiele większego, by stać się w istocie analizą sensu każdego aspektu ludzkiego życia" [O'Connell, 53]. To „wnikliwa analiza ludzkości" [Fox, 43]; *dissection* – pisze tu Ruth A. Fox, co oznacza jednocześnie „anatomiczną preparację" i „wnikliwą analizę". Ta wnikliwa analiza ludzkiej natury odbija się w samej konstrukcji tej anatomii i wykorzystywanych w niej retorycznych chwytach: sprzeczności, zacieranie znaczeń, jedność w wielości, zmiany perspektywy (o tym wszystkim już wcześniej pisałem) są związane właśnie z tym obszarem zainteresowania autora, z dokonaną przez niego zmianą obszaru badania. Wspomniana mapa jako metafora struktury jest także modelem opisu ludzi i ich świata; anatomia jest jednocześnie szczególną „geografią" człowieka – nie bez powodu książki zbierające odwzorowania ludzkiego ciała i rzeźby terenu określa się tym samym słowem: atlas. To samo dotyczy labiryntu: świat jest labiryntem pomyłek człowieka, które „powodują naruszenie istoty społeczeństwa" [Fox, 79].

Jaki więc jest ten świat? Oczywiście: pomylony. *„Mundus furiosus*, szalony świat" [I, 59] – mówi Burton. Świat w stanie rozpadu.

> W Burtonowskim wszechświecie nic – żadna osoba, miejsce, obiekt, idea – nie wyróżnia się, bo też nic nie jest w stanie osiągnąć integralności w kontekście ogarniającego świat pomylenia. Także składnia i retoryka – zdania, paragrafy, rozdziały – tracą swoją stabilność, gdy zanurzają się w tym najsilniejszym ze wszystkich rozpuszczalników [Fish, 329].

Gdyby ktoś potrzebował (jeszcze jednego!) wyjaśnienia konstrukcji tej książki, to przy okazji dowie się, gdzie w *Anatomii melancholii* umieszczony został świat jako główny przedmiot zainteresowania autora. Gdzie? Wszędzie! Budowa *Anatomii* jest bowiem analogiem struktury świata: „chory, szalony, irracjonalnie rozwlekły – czyli melancholiczny – styl" [Fish, 330]. Ruth A. Fox chce widzieć w księdze dążenie do próby „przemodelowania porządku świata poprzez narzucenie mu porządku sztuki", która prowadzi do „odzyskania

porządku wśród chaosu" [Fox, 9]. To optymistyczna, ale wątpliwa teza. Jeśli jest to próba, to – chociaż heroiczna – zakończona klęską; nie jest to w żadnym razie klęska artystyczna – Burtonowska ostateczna kapitulacja przed światem i jego siłą tworzy dzieło genialne.

5.2

Ta przemoc świata uzyskuje w *Anatomii* szczególny wyraz: wojna, tortury, zaraza – to są tego świata metonimie. Zresztą wszystkie trzy zjawiska depresyjnej cywilizacji łączą się często ze sobą, towarzyszą sobie w enumeracjach: „niezadowolenie, powszechne skargi, żale, bieda, barbarzyństwo, żebractwo, zarazy, wojny, rebelie, podjudzanie, bunty, spory, próżniactwo, rozruchy, wystawność, ziemie leżące odłogiem – wyjałowione, bagienne, pustynne itd., miasta w rozkładzie, miasteczka upadłe i zubożałe, wsie wyludnione, w nich ludzie zaniedbani, szpetni i nieuprzejmi" [I, 79], albo też wzajem z siebie wynikają: „jaka plaga, jaka wściekłość sprawiła, że w ludzkim umyśle zakiełkowała tak diabelska, tak brutalna idea, jak wojna?" [I, 57].

Da się tu więc stworzyć kolejny ciąg przyczynowo-skutkowy: plaga – wojna – tortury. Jeszcze bardziej jest on znaczący, kiedy uświadomić sobie, że Burton uważał, iż „melancholia poprzez swoją ekspansywność osiąga punkt, w którym staje się «epidemiczną» chorobą" [Radden, 219], plagą, zarazą. I znów: melancholia jest morem, który doprowadza do szaleństwa, jakim jest wojna, a ta zsyła na ludzi tortury. U Burtona takie ciągi łatwo zmieniają się w błędne koło, bo znów: człowiek pognębiony cierpieniem w coraz większym stopniu ulega melancholii, która jest plagą itd.

Sprawę jeszcze bardziej komplikuje to, że wszystkie te pojęcia trzeba odnieść do dzieła, które jest anatomią ludzkiego ciała, dzieła, które jest tego ciała odwzorowaniem. Na dodatek mówimy tu o dziele literackim – czy też, uogólniając, o piśmie. Pisanie w barokowej wyobraźni wiele razy miesza się z ciałem i jego cierpieniem – symboliczny jest przecież ten moment spisania umowy z diabłem przez Fausta u Marlowe'a:

> Patrz, Mephistophilisie, to z miłości
> Do ciebie kłuję się w ramię i własną
> Krwią zapisuję swą duszę wielkiemu
> Lucyferowi, najwyższemu panu
> I władcy nieustannej nocy. [...]
> Lecz, Mephistophilu,
> Krew mi zakrzepła, nie mogę już pisać[21].

Pomiędzy językiem a cierpieniem występuje zresztą dwukierunkowa relacja:

> Niebezpieczeństwo zniekształcenia znaczeń języka jest nieodłącznym elementem interpretacji, szczególnie gdy pobrzmiewa w nim jakiś polityczny ton i owa interpretacja ma służyć legitymizacji władzy i/lub przemocy. Kiedy prawo, mimo że samo stanowi wprost przeciwnie, jest poddane kontroli narzędzi kształtowania, zawłaszczania i podporządkowania jego odczytań, nie pozostaje już nic, żaden język, którym można by stwierdzić nielegalność przemocy. [...] Aby móc pisać, czytać i interpretować, człowiek baroku torturuje język. Sytuacja odwrotna jest jednak równie prawdopodobna, skoro język także bywa wykorzystywany jako narzędzie tortur [Barczyk-Barakońska, 100–101].

To, co powszechnie uznaje się za sztuczny i wynaturzony styl literatury baroku, ma ścisły związek z owym stanem opresji (melancholijnej, wojennej, przemocowej), a podkreśla go wspólny źródłosłów: z łacińskiego *torquere*, które oznacza „skręcać", bierze się średniowieczne łacińskie *contorquere*: „skręcać", „zwijać", ale też „dręczyć". W angielskim pochodzą od niego i *torture* (torturować, dręczyć), i *distort* (zniekształcać, deformować).

Nie sądzę, żeby fakt tego powinowactwa kłócił się z Burtonowskim planem stworzenia z tekstu azylu dla siebie i czytelnika; raczej oznacza to, że Burton decyduje się grać odważnie w tę grę na zasadach melancholijnego świata. Stwierdzenie, że u Burtona brak wyraźnych śladów niepokojów społeczno-politycznych jego czasów [O'Connell, 38],

jest prawdziwe tylko w wąskim rozumieniu takiego odzwierciedlenia; w istocie bowiem ślad tego zamętu nosi każde jego zdanie.

5.3

Jeżeli ktoś w takim języku, tym językiem, próbuje pisać utopię, albo musi się liczyć z nieuchronną porażką, albo też daleki jest w tym zamierzeniu od powagi. Burton swoją wizję umieszcza w satyrycznej przedmowie Demokryta Juniora, co mogłoby jednak świadczyć o tym drugim, jednak na tle całej przedmowy styl i rejestr opisu jest dość poważny. Może oprócz frywolnego wstępu: „Ja natomiast, żeby siebie tylko zadowolić, stworzę sobie własną Utopię, nową Atlantydę, osobistą, wyimaginowaną republikę, której będę udzielnym władcą, lokującym miasta, ustanawiającym prawa, wznoszącym pomniki wedle własnego uznania. Czemu miałbym sobie tego odmówić?" [I, 97]. Ale znów usytuowanie w tekście przeczy jakiejkolwiek powadze – utopijny fragment pojawia się nagle, niespodziewany i niezapowiadany. Na dodatek kończy się tak samo – jakby Burton już się znudził: „Opisanie reszty spraw zajęłoby cały tom. *Manum de tabella* [trzeba mi się zatrzymać], bo chyba już dawno wyczerpałem ten temat; chętnie bym kontynuował, ale narzucone ograniczenia na to nie pozwalają" [I, 107]. No to w końcu wyczerpał temat czy mógłby jeszcze napisać cały tom? Jakie niby sobie narzucił ograniczenia autor dzieła na pół miliona słów?

Fish przytacza zdanie J. Maxa Patricka, który narzekał, że czytelnicy mogliby nawet nie zauważyć utopii ukrytej w tej przedmowie; ale komentuje je tak: „Łatwo to wytłumaczyć, bo tam po prostu żadnej utopii nie ma, a przynajmniej nie ma takiej, która byłaby na tyle ugruntowana, by miała szansę się ostać" [Fish, 329]. Oczywiście Stanley Fish zmienia tu perspektywę i od problemu strukturalnej nieprzejrzystości przechodzi gładko do braku wiarygodności utopijnego gestu pisarskiego. Co ciekawe, nawet potwierdzenie przez badaczy stabilności tej wizji zostaje podważone w kolejnym zdaniu, jak to się dzieje u Starobinskiego:

> Do owego sprawiedliwego świata, nad którym czas zdaje się nie mieć kontroli, szaleństwo i melancholia nie miałyby wstępu. Czy sposób, w jaki utopijny kraj wymyka się czasowi, nie jest wymarzonym odzwierciedleniem (w skali społeczności idealnej) tego, jak Burton, pracowicie spędzając czas w swojej bibliotece, bronił się przed zawirowaniami i konfliktami ówczesnego społeczeństwa? Tak, być może przez chwilę i dla zabawy[22].

Utopią doskonałą byłaby pewnie ta biblioteka. Tym bardziej, że Burtonowskie państwo ma przedziwną konstrukcję: część jego wizji odpowiada mniej więcej temu, co dziś nazywamy państwem opiekuńczym, a część – przez nieprawdopodobny wręcz stopień społecznej kontroli, jaką projektuje autor – zbliża się do krajów totalitarnych. Ale i tak „Utopia jest jeszcze jedną fałszywą obietnicą, kolejną pozbawioną podstaw nadzieją na uzyskanie zdrowia i porządku, która – jak inne – wynurza się na chwilę z fal, nim przybój melancholii przykryje ją i zniweczy" [Fish, 329].

6. I tak dalej: wyrozumiały czytelnik w morzu Babel

I tak dalej, i tym podobne – to stały refren Burtona, owo „itd.", „itp." w tekście częstotliwością występowania dorównuje tylko cytatom. Nie jest znakiem bezradności czy – tym bardziej – lenistwa (bo kolejnym refrenem dzieła jest przecież: nie bądźcie leniwi, nie bądźcie gnuśni!). Jest znakiem nadmiaru.

„Chaos melancholii wywołał takie zamieszanie w jej symptomach, jakiego nie uczyniła nawet wieża Babel w językach" [I, 397] – pisze Burton. Czytelnik *Anatomii* topi się – wedle tej Fishowskiej metafory – w rozhukanym morzu Babel, którego kolejne fale co i rusz przykrywają śmiałka, wyrozumiałego czytelnika, czytelnika bezradnego, który się w nie nieroztropnie rzucił. Gargantuiczne, meandrujące zdania rozsadzane przez wplecione w nie dygresje; długie ciągi synonimów; niekończące się enumeracje; otchłanna objętość tekstu; szaleńcza liczba przytoczeń, nawiązań, przywoływanych nazwisk z wszystkich epok; a jeszcze to „itd." i „itp.", które są wentylami bezpieczeństwa, są pojawiającymi się tu i ówdzie szpuntami, które nie pozwalają temu nadmiarowi świata rozlać się po całym dziele.

Nadmiar ten ma oczywiście odpowiadać naturze melancholijnej choroby [Fox, 39] oraz melancholijnej naturze świata. A nawet więcej – stanowi bowiem odzwierciedlenie tradycyjnie uważanej za moralnie naganną dyspozycji umysłu: akrazji. To nieumiarkowanie oraz brak powściągliwości i opanowania (a tak się przejawia akrazja) jest widoczny w języku nadmiaru, jaki stworzył Burton dla swojego dzieła – może on dziwić u autora, który tyle razy wychwala opanowanie, rozsądek i umiarkowanie (znajduje dla nich przecież uzasadnienie i w klasycznej filozofii, i w chrześcijańskiej nauce). Ale dziwić nie powinien, tym bardziej że przestrzeń książki jest polem bitwy pomiędzy sprzecznymi postawami, poglądami, skłonnościami: pragnieniem pełni i dążeniem do porządku oraz powściągliwością

a „akratyczną melancholią” [Radden, 156]. Przeciwieństwem akrazji jest *enkrateia* – władza i kontrola (także, a może przede wszystkim: samokontrola, władza nad własnymi afektami i skłonnościami). Można powiedzieć, że Burton nie chce niewolić czytelnika, każąc mu dostosować się do autorskiego gestu ograniczenia, ale uwieść go niepohamowaniem.

To zachęta dla czytelnika, żeby poddał się immersji, zanurzył w te odmęty. I tym samym pozwolił sobie pomóc w opanowaniu depresji. Nie powinien on być zaskoczony, bo Burton wysyła wiele sygnałów, które zapowiadają konieczność zaangażowania w lekturę – jednym z nich jest obecność tych przedziwnych spisów treści, schematów czy tablic synoptycznych umożliwiających wgląd w całość (stanowi to co prawda pułapkę, ale czytelnik o tym nie wie i podąża za obietnicą): „czytelnik ma rozpoznać [w nich] zapowiedź intelektualnego ćwiczenia, którego wymaga książka, jeżeli chciałby zrozumieć i pojąć jej znaczenie, zamiast tylko po niej wędrować” [Fox, 27].

- **Neceſſary cauſes, as thoſe ſix non-natural things which are,** *Sect.* 2. *Memb.* 2.
  - Diet offending in *Sub.* 3.
    - Subſtance
      - Bread; courſe and black, &c.
      - Drink; thick, thin, ſowre, &c.
      - Water unclean, milk, oyl, vinegar, wine, ſpices, &c.
      - Fleſh
        - Parts; heads, feet, entrails, fat, bacon, blood, &c.
        - Kinds: Beef, Pork, Veniſon, Hares, Goats, Pigeons, Peacocks, Fen-fowl, &c.
      - Herbs, Fiſh, &c.
        - Of Fiſh; all Shell-fiſh, hard and ſlimy fiſh, &c.
        - Of Herbs; Pulſe, Cabbage, Mellons, Garlick, Onions, &c.
        - All Roots, raw Fruits, hard and windy Meats.
    - Quality, as in
      - Preparing, dreſſing, ſharp ſauces, ſalt meats, indurate, ſoweed, fryed, broyled, or made-diſhes, &c.
    - Quantity
      - Diſorder in eating, immoderate eating, or at unſeaſonable times, & *Subſec.* 2.
      - Cuſtom; delight, appetite, altered, &c. *Subſ.* 3.
  - Retention and evacuation, *Subſ.* 4.
    - Coſtiveneſs, hot baths, ſweating, iſſues ſtopped, *Venus* in exceſs, or in defect, phlebotomy, purging, &c.
  - Air; hot, cold, tempeſtuous, dark, thick, foggy, mooriſh, &c. *Subſ.* 5.
  - Exerciſe, *Sub.* 6.
    - Unſeaſonable, exceſſive or defective of body or mind, ſolitarineſs, idleneſs, a life out of action, &c.
  - Sleep and waking, unſeaſonable, inordinate, over-much, over-little, &c. *Subſ.* 7.
- *Memb.* 3. *Sect.* 2. Paſſions and perturbations of the mind, *Subſ.* 2. With a digreſſion of the force of imagination, *Su.* 2. and diviſion of paſſions into *Sub.* 3.
  - Iraſcible
    - Sorrow, cauſe and ſymptome, *Sub.* 4. Fear, cauſe and ſymptome, *Sub.* 5. Shame, repulſe, diſgrace, &c. *Sub.* 6. Envy and malice, *Sub.* 7. Emulation, hatred, faction, deſire of revenge, *Sub.* 8. Anger a cauſe, *Sub.* 9. Diſcontents, cares, miſeries, &c. *Sub.* 10.
  - Or
  - concupiſcible.
    - Vehement deſires, ambition, *Sub.* 11. Covetouſneſs, φιλαργυρία, *Sub.* 12. Love of pleaſures, gaming in exceſs, &c. *Sub.* 13.
    - Deſire of praiſe, pride, vain-glory, &c. *Sub.* 14. Love of learning, ſtudy in exceſs, with a digreſſion of the miſery of Scholars, and why the Muſes are melancholy, *Sub.* 15.

B. Symptoms of Melancholy are either, *Sect.* 3.

- General, as of *Memb.* 1.
  - Body, as ill digeſtion, crudity, wind, dry brains, hard belly, thick blood, much waking, heavineſs and palpitation of heart, leaping in many places, &c. *Sub.* 1.
  - or
  - Mind
    - Common to all or moſt,
      - Fear and ſorrow without a juſt cauſe, ſuſpicion, jealouſie, diſcontent, ſolitarineſs, irkſomneſs, continual cogitations, reſtleſs thoughts, vain imaginations, &c. *Subſ.* 2.
    - Or
    - Particular to private perſons, according to *Su.* 3, 4.
      - Celeſtial influences, as ♄ ♃ ♂, &c. parts of the body, heart, brain, liver, ſpleen, ſtomach, &c.
      - Or
      - Humours
        - Sanguine are merry ſtill, laughing, pleaſant, meditating on Playes, Women, Muſick, &c.
        - Phlegmatick, ſlothful, dull, heavy, &c.
        - Cholerick, furious, impatient, ſubject to hear and ſee ſtrange apparitions, &c.
        - Black, ſolitary, ſad, they think they are bewitcht, dead, &c.
      - Or mixt of theſe four humours aduſt, or not aduſt, infinitely varyed.
      - Their ſeveral cuſtoms, conditions, inclinations, diſcipline, &c.
        - Ambitious thinks himſelf a King, a Lord; covetous runs on his money, laſcivious on his miſtris; religious, hath revelations, viſions, is a Prophet, or troubled in mind, a Scholar on his Book, &c.
      - Continuance of time, as the humour is intended or remitted, &c.
        - Pleaſant at firſt, hardly diſcerned, afterwards harſh and intolerable, if inveterate.
        - Hence ſome make three degrees,
          1. *Falſa cogitatio.*
          2. *Cogitata loqui.*
          3. *Exequi loquutum.*
        - By fits, or continuate, as the object varies, pleaſing or diſpleaſing.
  - Simple, or as it is mixt with other diſeaſes, Apoplexies, Gout, *Caninus appetitus*, &c. ſo the ſymptoms are various.

Wiele elementów *Anatomii* da się czytać w perspektywie tej zachęty do immersji. Choćby dygresje, które rozumie się jako „momenty wytchnienia" [Fox, 50]. A te „itd." są zapowiedzią istniejącej potencjalnie nieskończoności, bo „stawiają opór znakowi domknięcia" [Barczyk-Barakońska, 186]. Prawda jest bowiem taka, że można pisać bez końca, otwierać każdym kolejnym zdaniem małe nieskończoności, wracać wciąż do tego, co zostało napisane, ale i zatrzymywać się na tych momentach skondensowanego, uwięzionego nadmiaru, które sygnalizują te wszystkie „itd."; opierać się temu gestowi – który tak pochopnie przyjęliśmy za obowiązujący – że gdzieś trzeba przestać pisać, przerwać choćby w środku akapitu, w pół zdania, w pół sło…

5 grudnia 2020 r.

Kilka usprawiedliwień, wyjaśnień, wymówek (od tłumacza)

1.

Komuś ten wybór może wydawać się skromny; przyjmuję taką krytykę z pokorą, ale się z nią nie mogę zgodzić: dla mnie, który ślęczał nad tym przekładem i męczył się z nim ponad własne siły (a może i zdolności), jest nawet zbyt obszerny – tym bardziej, że w polszczyźnie to pierwsza taka próba wyboru z całości *Anatomii*. Ale rozumiem: obiektywnie nie jest to wiele, ledwie kilkanaście procent całości. Matematyka nie ma dla moich wysiłków litości.

Żeby jednak oddać charakter Burtonowskiego dzieła, to znaczy, żeby sprawić, by czytelnik miał wrażenie (choćby jego cień?), jakie odniósłby w obcowaniu z monstrualnym oryginałem, zdecydowałem się na taką, a nie inną konstrukcję tego wyboru. Podzielony jest on na cztery części (podobnie jak oryginał, chociaż mój podział nie pokrywa się z oryginalnym):

1. *Wielka anatomia świata*,
2. *Skrupulatna sekcja depresji*,
3. *Lek ówczesnej terapii*,
4. *Odzyskane zachody miłości*.

Pierwsza opowiada o świecie, jakim go widział Robert Burton; druga przedstawia zebrane przez niego przyczyny choroby melancholijnej; trzecia – metodę jej „leczenia" (cudzysłów oznacza tyle, że pośród tego, co uważać można za lekarstwo, znajdują się także sposoby radzenia sobie z tą przypadłością, które trudno uznać za leki *sensu stricto*), a tu prezentuję ordynowane przez niego uniwersalne panaceum: społeczną

utopię; czwarta natomiast stanowi wybór z trzeciej części dzieła, które zajmuje się dwoma rodzajami depresji: melancholią miłosną i religijną. Jako że mamy po polsku przekład części dotyczącej religii (ukazał się w książce: Robert Burton, *Religijna melancholia* – w wydawnictwie Nomos, w roku 2010, w tłumaczeniu Anny Zasuń), zrezygnowałem z tłumaczenia tej części (religijnej, bo miłosną tu daję); jest dla mnie zresztą najmniej może ciekawa: zapewne wielce instruktywna dla filozofów religii i teologów, ale nazbyt szczegółowa i wymagająca zbyt dużego aparatu krytycznego z tych dziedzin (szczególnie dziejów poreformacyjnych ruchów w Anglii, kontrowersji doktrynalnych, religijnych sporów i wywołanych nimi społecznych i politycznych niepokojów w XVI- i XVII-wiecznej Europie), żeby zainteresować czytelnika literatury pięknej.

Każda z tych części rozpoczyna się obszernym fragmentem pochodzącym z przedmowy *Demokryt Junior do czytelnika*. Po nim następuje wybór fragmentów z całości książki w układzie, który ma odzwierciedlić dwie istotne cechy Burtonowskiego tekstu: jego dygresyjność i labiryntowość. Jednocześnie – za sprawą rozbudowanej numeracji – ma oddać szaleńczą zupełnie konstrukcję *Anatomii* podzielonej na części, rozdziały, podrozdziały, podrozdziały podrozdziałów: całą tę manię systematyzacji. Można pomyśleć, że kłóci się to z labiryntowością, ale nic z tego: wariacka to układanka i stosowane przez autora rozliczne podziały tekstu są narzuconym rygorem, który nieustannie walczy z otchłanią tematów, które rozpełzają się po całym tekście i plączą ze sobą, co jakiś czas nawracając w różnych miejscach.

Jedna cecha musi się zgubić i nie ma na to rady, co wynika z samej istoty wyboru: gubi się monstrualność tego traktatu. Owszem, wybór (każdy wybór) lżej doświadczy czytelnika, którego te tysiąc gęstych stron z okładem (z okładem jakichś dwustu!) musi przytłoczyć. Boleję nad tą stratą, ale widzę też dobre jej strony, a przynajmniej tę najważniejszą: większą przystępność. Tyle musi na razie wystarczyć, ale

będę cierpliwie czekał na jakiegoś zapalonego, nierozważnego śmiałka („wszyscy jesteśmy szaleni", mówi Burton, więc może ktoś się znajdzie), który podejmie się przekładu całości. Już mu kibicuję, udręczony pracą tym skromnym wyborem, na który się zdecydowałem.

2.

Każda kolejna część opatrzona jest moim krótkim wprowadzeniem, które próbuje sproblematyzować i przybliżyć następujący później fragment, a czasem też pokazać jego miejsce w dziele. Zdecydowałem się na to, bo przypisy ograniczam do absolutnego minimum – tylko tam, gdzie odniesienie jest zupełnie niezrozumiałe i wymagałoby niestandardowej wiedzy z dziedziny mitologii, łaciny, znajomości antycznych klasyków czy zapomnianej albo w Polsce w ogóle nieznanej współczesnej Burtonowi literatury, decydowałem się na najzwięźlejszy dopisek.

Wiadomo, że Burton w całej książce cytuje intensywnie, żeby nie powiedzieć: szaleńczo. Cytuje najczęściej z klasyków łacińskich albo po łacinie piszących autorów mniej lub bardziej mu współczesnych (rzadziej piszących po grecku, angielsku, jeszcze rzadziej po włosku i w pozostałych językach). Gdy cytuje, czyni to na trzy sposoby: albo podaje tekst po angielsku (we własnym przekładzie bądź parafrazie), albo przytacza po łacinie i po cytacie daje własny przekład (czytelniczki i czytelnicy – jestem przekonany – łatwo się zorientują), albo też cytuje po łacinie (tak jest najczęściej) i nie zajmuje sobie głowy przekładem tego, co w jego czasach, czasach powszechnej znajomości tego języka, nie było chyba praktyką kontrowersyjną (sam autor do napisania książki po angielsku został podobno zmuszony przez wydawcę liczącego na szerszy odbiór książki – Burton chciał pisać po łacinie; wydawca, co potwierdzają losy dzieła, miał rację). Postanowiłem pozostawić te wszystkie cytaty łacińskie, którymi upstrzony jest tekst (są wyróżnione kursywą), w nawiasach kwadratowych przytaczając ich znaczenie. Czyta się przez to może i trochę gorzej, ale uznałem, że taka

kastracja zmieniłaby charakter tekstu – właściwie odrzuciłem taki pomysł, zanim jeszcze mi przyszedł do głowy. Tak też czynią współczesne (tj. już dwudziestowieczne) redakcje tego tekstu oraz wszystkie znane mi przekłady *Anatomii*. Tam gdzie brak tego ułatwienia w redakcji, z której korzystałem (to rzadkie przypadki), uzupełniałem w kwadratowym nawiasie polskie tłumaczenie – z wyjątkiem najzupełniej oczywistych wtrąceń, kiedy nie chciałem urazić inteligencji czytelniczek i czytelników.

Wielości cytatów odpowiada także wielość wymienianych nazwisk – zarówno jako autorów przytaczanych fragmentów, jak i autorytetów, na które Burton się powołuje (choć ich nie cytuje). W przypadku autorów starożytnych (bo ich to w większości przypadków dotyczy) używałem ich spolszczonych imion wszędzie tam, gdzie to było możliwe, tj. tam gdzie polskie wersje ich imion istnieją i są używane (piszę więc Paweł z Eginy zamiast Paulus Aegineta, Areteusz z Kapadocji zamiast Aretaeus, nie mówiąc już o autorach powszechnie znanych: Plaut, Plotyn, Lukrecjusz itp.). Podobnie unikałem zlatynizowanych wersji imion autorów nowożytnych: Burton nie jest zawsze w tym konsekwentny, ale w przeważającej liczbie przypadków posługuje się jednak wersjami łacińskimi – uznałem, że ich oryginalne nazwiska są właściwsze (piszę więc Ercole Sassonia zamiast Hercules de Saxonia, Charles Le Pois zamiast Carolus Piso, Gabriele Fallopio zamiast Fallopius itd.). To samo dotyczy autorów arabskich, perskich: używałem ich arabskich imion – z wyjątkiem Awicenny (tu polska tradycja bierze górę nad przestrzeganym dość ściśle prymatem imion oryginalnych).

Rzecz ma się podobnie w przypadku nazw geograficznych: gdzie istnieją polskie, ugruntowane w tradycji miana, tam mają one pierwszeństwo. Dylematy dotyczące użycia nazw historycznych rozwiązuję w ten sposób, że tam, gdzie Burton używa nazw starożytnych, mimo że bywają dziś nieczytelne, i gdy użycie uwspółcześnionej wersji byłoby historycznym fałszem albo zacierało ich kulturowe znaczenie, pozostawiam nazwę dawną (Ragusa, Morze

Euksyńskie) – i znów: tam gdzie to możliwe, używam obowiązującej nazwy spolszczonej, którą w takich przypadkach wyjaśniam w przypisie.

Burton przytacza wiele fragmentów wierszy; tam gdzie pojawiają się w jego tekście ich tłumaczenia poetyckie (co oznacza niemal zawsze: rymowane), także u mnie się rymują. Często wówczas się różnią – nawet długością – od łacińskich oryginałów, ale starałem się zachować wiernie formę i treść obecną w angielskim oryginale. Asekuruję się, owszem, żeby nikt nie pomyślał, że sobie pozwalałem na taką swawolę. Nie zdecydowałem się także na posłużenie się istniejącymi po polsku przekładami, chociaż często istnieją i cytaty te nie są trudne do lokalizacji; owszem, zerkałem do Horacego, Lukrecjusza, Terencjusza i wielu innych, ale bardziej z ciekawości niż dla czynienia czytelnych odniesień. Burton przytaczał fragmenty we własnych przekładach, a i często – jak się podejrzewa – musiał je cytować z głowy, niezupełnie zresztą dokładnie. Dotyczy to także cytatów z Biblii: korzystałem z wielu jej tłumaczeń na polski, decydując się na to, które najlepiej pasowało do kontekstu i najściślej przystawało do cytatu w wersji angielskiej (a zdarzało się – o zgrozo! – że je kompilowałem albo nawet delikatnie zmieniałem); najczęściej były to Biblia Gdańska albo Nowa Biblia Gdańska, czasem wersja Wujka, najrzadziej pewnie Biblia Tysiąclecia.

Chciałem po prostu, żeby czytelnik także w tym zakresie – w zakresie przytoczeń – otrzymał tekst najbardziej zbliżony do angielskiego oryginału.

3.

Z tego samego założenia wyszedłem, pozostawiając – wszędzie tam, gdzie było to możliwe i nie kłóciło się to z polską normą – Burtonowską interpunkcję. Dotyczy to głównie średników: Burton pisał długie zdania, rozdzielając zdania podrzędne średnikami; niemal w każdym przypadku dałoby się je zastąpić kropką (ewentualnie: przecinkiem –

z tego zamiennika rzeczywiście zdarzało mi się korzystać), ale – jak sądzę – taki gest wypaczyłby wrażenie, jakie robi oryginał. Tasiemcowe zdania są jednym z jego znaków rozpoznawczych i nie sądzę, by tłumaczowi wolno było to zmieniać. Burton nie używa też myślników czy półpauz – i w tym postanowiłem mu być wierny (żeby i kształt graficzny tekstu był podobny; być może niepotrzebna to wierność, ale nie sądzę, żeby przynosiła mu jakieś szkody).

Z zasady moje archaizacje (ze względu na nieśmiałość tego gestu trzeba nawet powiedzieć: „archaizacje") są incydentalne, a przynajmniej dokładałem starań, żeby ten tekst nie brzmiał antykwarycznie. Na archaizację zdecydował się Tadeusz Sławek w tłumaczonym przez siebie fragmencie (publikowanym w numerze 3 z roku 1995 „Literatury na Świecie"), z doskonałym zresztą skutkiem. Mój Burton miał brzmieć nowocześnie (choćby: nowocześniej?), bo chciałbym, żeby był czytany jako nasz autor – nie współczesny, to jasne, ale aktualny. Niewiarygodnie a boleśnie aktualny. Zdarzają się mi więc archaizmy (znów w istocie: „archaizmy") składniowe – choć to za dużo powiedziane, raczej: stosuję niekiedy szyk zdania, który może być odczuwany jako dawny czy dawniejszy. Podobnie ma się rzecz z leksyką. Pomyślałem, że może nie warto zupełnie rezygnować z zabiegów, które dawałyby wrażenie, że tekst został napisany jednak 400 lat temu. Ale mam nadzieję, że jest to jednak język współczesny – taki przynajmniej, jakim ja sam posługuję się w pisaniu. Dlatego że to mój Burton? Tak, właśnie dlatego.

Nowoczesne słownictwo (powiedzmy, że często wzięte ze słownika współczesnej humanistyki, prawa bądź medycyny i jej nauk pomocniczych) miesza się niekiedy z dawnym, grubiańskość stanowi kontrapunkt dla subtelności. Tak bowiem Burton, próbuję sobie to wyobrazić, mógł brzmieć dla swoich współczesnych.

4.

Nie pozwalałbym sobie na tak wiele, gdyby chodziło o edycję krytyczną; z rozczuleniem wyobrażam ją sobie – powiedzmy – w trzech eleganckich tomach, z gęstwą przypisów. Na szczęście nie miałem zamiaru tworzyć niczego podobnego – nie miałbym śmiałości, brak mi bezczelności, o kompetencji nawet nie wspominam. Zamiar mój był o wiele skromniejszy: Burton do czytania, Burton zuchwały stylista, Burton przenikliwy arogant, który tak finezyjnie i dokładnie opisał świat – także ten nasz. Na takiego Burtona akurat starczyło mi śmiałości, bezczelności, siły, a może i (pocieszam się) kompetencji. Bo, czas to wreszcie przyznać, nie mam śmiałości proponować tego przekładu jako dzieła specjalisty, ale gorliwego fana, żarliwego miłośnika. Kibica, kibola, szalikowca? Niemal. A to zawsze wróży najgorzej, prawda?

*

Podstawą tłumaczenia jest wydany przez New York Review Books (w serii Classics) reprint trzytomowego wydania Everyman's Library z roku 1932:

Robert Burton, *The Anatomy of Melancholy*, NYRB, New York 2001.

THE ANATOMY OF MELANCHOLY.

What it is, With all the Kinds causes, Symptomes, Prognosticks, & Severall cures of it.

In three Partitions, with their severall Sections, members & subsections,

Philosophically, Medicinally, Historically, opened & cut vp.

By

Democritus Junior.

With a Satyricall Preface, conducing to the following Discourse.

The Eighth Edition, corrected and augmented by the Author.

Omne tulit punctum, qui miscuit vtile dulci.

Wstęp

Dwa wiersze

Opisanie ryciny z frontyspisu

Oto dziesięć różnych Wizerunków, które
Rytownik zmyślnie złączył w jedną grawiurę.

I.
Tu mamy postać starego Demokryta:
Na kamieniu, z księgą, pod platanem skryta;
Towarzyszą mu truchła różnej zwierzyny,
Wśród nich psów i kotów, a to z tej przyczyny,
Że badał je, sądząc, iż wiedzę pozyska,
Gdzie też się kryją czarnej żółci siedliska.
Nad jego głową nieba kopuła chmurna
Nosi znak Pana melancholii, Saturna.

II.
A gdy tylko w lewo obrócicie oczy,
Zazdrość swój krajobraz przed wami roztoczy.
Zimorodek, łabędź, czapla, dwa samczyki
W walecznym zwarciu oraz dwa jurne byki,
Które mocują się o pierwszeństwo w stadzie:
Wszystko to zobaczycie w jednej gromadzie.

Milknę już, bo to Symbole, których cały
Sens odsłonią kolejne księgi rozdziały.

III.
A to Samotność, którą uosabiają
Dość udatnie spędzone tu całą zgrają:
Kot z psem pogrążeni we śnie, kozioł, łania,
Królik z zającem szukający posłania,
Wyżej polatują nietoperz i sowa,
Które melancholijna ciemność już chowa.
Jeśli to z portretu jasno nie wynika,
Mnie odpuście, w zamian wińcie rytownika.

IV.
Niżej *inamorato*, Zalotnik, który
Ręce splótł na piersi gotów na konkury;
Opuściwszy skromnie głowę, dla wybranki
Niechybnie już składa wdzięczne rymowanki.
Te książki i lutnia na bok odłożona
Stanowią wyraźne próżności znamiona.
Jeśli ten obraz wymaga dopełnienia,
Niech go każdy wedle intuicji zmienia.

V.
Hypocondriacus na ramieniu wsparł głowę
Dręczony przez perypetie jelitowe;
Bóg jeden tylko wie, ile to niedoli
Musi znosić, na co cierpi, co go boli.

Wokół rozłożone mikstury i leki,
Które mu właśnie dostarczono z apteki.
Wszystko to z aspektów Saturna wyroku,
Które widnieją powyżej na obłoku.

THE

ANATOMY OF MELANCHOLY.

What it is, With all the kinds causes, Symptomes, Prognosticks, & Severall cures of it,
In three Partitions, with their severall Sections, members & subsections,
Philosophically, Medicinally,
Historically, opened & cut up.

By

Democritus Junior.

With a Satyricall Preface, Conducing to the following Discourse.

The Eighth Edition, corrected and augmented by the Author.

Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci.

London
Printed For Peter Parker at the
signe of the Legg in Cornhill
over against the Royall Exchange

VI.
A poniżej Zabobonny Dewot klęczy,
Swojego bożka jak bezpiecznej poręczy
Się schwycił, poszcząc ciągle i klepiąc modły,
Daje, by raz ufność, raz lęki go wiodły:
Więcej starań czyni, by uniknąć piekła
Niż wy, których to wizja nieba urzekła.
Zapłaczę nad twoją pogubioną duszą:
Jakich gwiazd sąd cię poddał takim katuszom?

VII.
Tu szaleństwo wygląd Pomyleńca zmienia
W figurę nędzy, mącąc jasność spojrzenia.
Jego nagie, spętane łańcuchem ciało
Nie wie, co mu tak wściekle wyć nakazało.
Przyjrzyj się dobrze, bo może twoje życie
Znajduje w tym portrecie własne odbicie.
Miejcie już zawsze ten obraz przed oczami:
Żadnych różnic nie ma między nim a wami.

VIII., IX.
Portret Ogórecznika i Ciemiernika,
Tych roślin, które środkiem są medyka
Na czyszczenie żył ze złogów melancholii,
Uwalnianie serca z oparów niedoli,
Rozwianie tumanu, który mózg okrywa,
Że zmysły są zgasłe, dusza ledwo żywa.
Najlepsze, co Boża apteka wydała

Na tę ciężką przypadłość duszy i ciała.

X.

By w obrazku luka nie miała pozostać,
Na koniec przedstawia on Autora postać.
Tak jego tutaj odzianego widzicie,
Jakim ogląda go świat, w księżym habicie.
A jego oblicze śladów nosi mało
Po tym, co na tych stronicach się ostało.
Nie kierowała mną duma ani pycha
(Choć wielu innych zwykle się tak rozpycha
W świecie), ale, jeśli już wiedzieć musicie,
Chęć wydawcy, by rzecz zrobić należycie.
Powstrzymaj niechęć, pohamuj wzgardę, kpiarzu,
Nie próbuj powiększać mego wstydu bagażu.
Zważ, że za twe szyderstwa, gdy przyjdzie pora,
Czeka cię wzajemna odpłata autora.
Daj mu szansę; gdy znajdziesz upodobanie,
On tym samym tobie się odwdzięczy za nie.
Znikam już, nie chcąc sobą przysłaniać treści:
Żegnam cię, Drogi Czytelniku: adieu, cześć ci!

Krótka odautorska charakterystyka melancholii

Kiedy bezlik moich planów gości
W myślach, które pieszczę w samotności,
Gdy powietrznych zamków wznoszę wieże,
Gróz i lęków omijam rubieże,
Moszcząc się w słodkich wizji dziedzinie,
Że zda się, iż czas tak prędko płynie,
        Nic takiej rozkoszy nie wyzwoli
        Skuteczniej od słodkiej melancholii.
Kiedy fantazjuję w samotności
O błędach popełnionych w przeszłości,
Będąc poddanym myśli tyranii,
Gdy atak gróz i lęków mnie rani,
Czy stoję, czy gnam, gdzie niosą oczy,
To zda się, że czas ledwo się toczy,
        Nic takiej żałoby nie wyzwoli
        Skuteczniej od dzikiej melancholii.
Kiedy uśmiech nie znika mi z twarzy,
Słodkimi myślami czas mnie darzy,
Nad potoczkiem czy w zielonym borze
W błogiej samotności się położę,
Tysiąc rozkoszy to bracia moi,

A szczęście mnie swoim laurem stroi,
Nic takiej rozkoszy nie wyzwoli
Skuteczniej od słodkiej melancholii.
Gdy leżę, siedzę, stroniąc od ludzi,
Mój przeraźliwy lament znów budzi
W dzikiej kniei albo ciemnej pieczarze
Furie, których wściekłość mnie pokarze
Tysiącem boleści, co wnet ruszą,
By zawładnąć mym sercem i duszą,
Nic takiej żałoby nie wyzwoli
Skuteczniej od gorzkiej melancholii.
I zda mi się, że znam ją, że słyszę
Melodię, która umila ciszę,
Widzę blask miast, pałacowej wieży
Wzniosłość; cały świat do mnie należy,
Wyjątkowa krasa, uroda dam,
Wszystko na wyciągnięcie ręki mam.
Nic takiej rozkoszy nie wyzwoli
Skuteczniej od czaru melancholii.
I zda mi się, że widzę, że znam ją,
Tę zgraję demonów, które mamią
Mi zmysły, szpetne te kreatury,
Bezgłowe bestie, orszak ponury,
Który przez swe potępieńcze wycie
Lęk sieje w duszy, zatruwa życie.
Nic takiej udręki nie wyzwoli
Skuteczniej od wściekłej melancholii.
Gdy ukochaną biorę w ramiona,

Od pocałunków jest rozpłoniona.
O, czas drogi, spełnione marzenie!
Życie moje upływa w Edenie.
Mój kaprys innego nie chce zysku
Niż zawsze trwać w miłości uścisku.
Nic takiej rozkoszy nie wyzwoli
Skuteczniej od słodkiej melancholii.
Te męczarnie, gdy znikąd pomocy
Czekałem w czasie bezsennych nocy,
Łzy zazdrości roniąc wciąż na próżno.
Teraz żałuję, lecz jest za późno.
Bo nie znam straszniejszego ucisku
Ponad trwanie w miłości uścisku.
Nic takiej udręki nie wyzwoli
Skuteczniej od srogiej melancholii.
Możecie już odejść, przyjaciele,
Chcę sam zamieszkiwać moją celę.
Samemu z myślami mi tu dobrze,
Bo każda z nich moje decyzje poprze.
Oto szczęście, korona rozkoszy
Milsza niż pierścień, droższa od broszy.
Nic takiej uciechy nie wyzwoli
Skuteczniej od słodkiej melancholii.
Nad samotność nie znam większej troski,
Gdy wychodzi ze mnie stwór nieboski,
Brak kompanii bestię we mnie budzi,
Każe marnieć bez drogich mi ludzi.
I ta mroczna zmiana scenografii

Przywołać wstrętne lęki potrafi.
Nic takiej żałości nie wyzwoli
Skuteczniej od cierpkiej melancholii.
Żywotem króla mnie znów nie kuście,
Nie wezmę go, znam miarę w rozpuście.
Czym mnie mogą przekupić te czasy?
Mam śmiech, więc na nic nie jestem łasy.
Dość już, nikt z was temu nie podoła,
Skoro starcza mi, co mam dokoła.
Nic takiej uciechy nie wyzwoli
Skuteczniej od boskiej melancholii.
Zamienię się na żywot żebraka,
Lepszym domem by mi była kloaka,
Byleby tylko opuścić to piekło,
Które doświadcza mnie męką wściekłą.
Przeklinam życie, nie cierpię go – któż
Może mi pożyczyć sznur albo nóż?
Nic takiej żałości nie wyzwoli
Skuteczniej od srogiej melancholii.

Część pierwsza

Wielka anatomia świata

1.0

To sam początek traktatu Burtona, jego wielkie otwarcie: Demokryt Junior zwraca się do czytelnika w obszernym wstępie. Tym jest może większe to otwarcie, że wyjątkowo, brawurowo po prostu ironiczne. I autoironiczne. Przedziwna to spowiedź autora, obśmiewającego – żeby wytłumaczyć się z tego, co i jak pisze – tych wszystkich autorów na przestrzeni dziejów, których gest przecież powtarza. Złośliwiec z niego wcale nie mniejszy niż, powiedzmy, Thomas Bernhard: miesza swoich kolegów po piórze z błotem i (nie ma powodu unikać jego dosadności, w której on celował) gównem, ale tak samo nie ma litości dla siebie. Złodzieje żerujący na cudzych tekstach, beztalencia grzebiące w odchodach wielkich ludzi – rzuca im w twarz obelgi ten wielki kompilator. To są potężne, namiętne tyrady i byłyby dla wszystkich piszących niezwykle bolesne, gdyby nie sam Burton – on daje wszystkim alibi, pokazując, że można mimo tej wiedzy i wbrew niej jeszcze pisać.

Ale nie tylko to jest w tym otwarciu. Tłumaczy się tu Burton z przybranego pseudonimu, ale i tematu: piszę – mówi – przeciwko melancholii, której jednym z powodów jest pisanie, nadmiar wiedzy i studiów. Największy paradoks tej książki. Monstrualne dzieło tego potwora liter dokłada się do obezwładniającego (już wtedy!) nadmiaru książek – on też jest depresyjny. Ten nadmiar jest diagnozą stanu cywilizacji, bo już w tym otwarciu wielkiej anatomii świata Burton pomieści listę jego wad: wojny, zarazy, żądza sławy, religijne konflikty i wyzysk, rozrzutność możnych i pogarda dla mądrości, upolitycznienie religii i degradacja stanu duchownego. Brzmi to wszystko, oczywiście, przygnębiająco znajomo.

Ale wśród tych wszystkich tyrad pełnych złośliwostek i kpin mieści Burton też inne sprawy poważne i istotne: czterysta lat temu zauważał być może dużo wyraźniej to, co my dzisiaj wypieramy (albo inaczej: co dziś przed nami się sprytnie ukrywa za ułudą społecznego awansu): że melancholijny stan jest ściśle związany z barierami, jakie stwarza nam nasza pozycja społeczna. To, że pojawia się ów motyw we fragmencie dotyczącym pisania i rynku książki, nie odbiera mu powagi – w końcu Burtona, tego pisarza totalnego, literatura i pismo interesowały najbardziej.

Wyrozumiały Czytelniku, zastanawiasz się pewnie, kim jest ów błazen czy też przywdziewający maskę aktor, który tak bezczelnie wdziera się na scenę tego świata, przedstawiając się wszystkim nie swoim imieniem: skąd przybył, w jakim celu i co też ma do powiedzenia. Jak powiedział [Seneka], *Primum si noluero, non respondebo, quis coacturus est?*, jestem wolnym człowiekiem, mogę więc decydować, czy to ujawnię, i kto niby mnie do tego zmusi? Gdybym dał się jednak namówić, chętnie odpowiedziałbym jak ten Egipcjanin u Plutarcha, którego ciekawski natręt wypytywał, co niesie w koszyku: *Quum vides velatam, quid inquiris in rem absconditam?* Czy nie po to koszyk jest zakryty, żeby nikt nie wiedział, co w nim jest? Nie dociekajcie więc tego, co zostało zatajone; jeśli zadowala was treść „i służy wam ona, przyjmijcie, że pisze to Mieszkaniec Księżyca albo kto tam tylko chcecie"; nie chcę wcale być rozpoznany. Aby jednak uczynić wam w jakimś sensie zadość, co jednak nagina moje zasady, wyjaśnię zarówno cel zawłaszczenia tego imienia, jak i tytuł oraz temat dzieła. Na początek to, co dotyczy imienia Demokryt: niech ono nie zwiedzie nikogo, kto oczekiwałby jakiegoś paszkwilu, satyry albo prześmiewczego traktatu (na co pewnie sam dałbym się nabrać), wielkiej tezy o ogólnej zasadzie albo o paradoksie ziemskiego ruchu, albo o nieskończonych światach mieszkających *in infinito vacuo, ex fortuita atomorum collisione*, w bezgranicznej pustce i powstających na skutek przypadkowych zderzeń słonecznych drobin, o czym pisał Demokryt, a co twierdził już dawno zarówno Epikur, jak i nauczyciel i mistrz ich obu Leukippos, a co ostatnio przypomnieli Kopernik, Bruno i jeszcze inni. A zresztą, zawsze było powszechną praktyką, jak zauważył Gelliusz, „że późniejsi autorzy i mistyfikatorzy tworzyli te swoje absurdalne i bezczelne niedorzeczności, używając imienia tak wielkiego filozofa jak Demokryt, by przypisać sobie część jego zasług i tym sposobem zdobyć uznanie", jak to zwykle robią cwani rzemieślnicy, którzy *Novo qui marmori ascribunt Praxatilem suo* [na swoim nowym pomniku wykuwają imię Praksytelesa]. To nie jest mój przypadek.

Non hic Centaurus, non Gorgonas, Harpyasque
Invenies, hominem pagina nostra sapit.

Ani Centaur, ni Gorgony wzrok tu nie zagości,
Moim tematem są losy człowieka i ludzkości.

Ty, czytelniku, jesteś tematem mojej rozprawy.

Quicquid agunt homines, votum, timor, ira, voluptas,
Gaudia, discursus, nostri farrago libelli.

Ludzkie uczynki, śluby, lęki, w gniewie czy zabawie,
Wśród uciech i błądzeń – z tego raport tu sprawię.

Moim zamiarem jest samo tylko przybranie imienia, jak Mercurius Gallobelgicus czy Mercurius Britannicus używali imienia Merkurego, albo jak Democritus Christianus itp.; ale są i inne okoliczności, które skłoniły mnie do przywdziania tej maski, a także pewien szczególny szacunek, którego nie wysłowię jasno, póki nie dam krótkiej charakterystyki Demokryta, nie przedstawię w zarysie jego losów.

Demokryt, jak portretują go Hipokrates i Laertios, był nieco przywiędłym starcem o melancholijnej naturze, stroniącym w swych późnych latach od towarzystwa i oddanym samotności, znanym filozofem swoich czasów, *coaevus* [współczesnym] Sokratesa, całkowicie podporządkowanym swoim studiom i życiu prywatnemu: twórca wielu znakomitych dzieł, teolog wedle ówczesnego rozumienia, biegły medyk, polityk, świetny matematyk, co poświadcza *Diacosmus* i reszta jego dzieł. Z przyjemnością oddawał się studiom nad rolnictwem, jak przekazał Columella, i często trafiałem na cytaty z niego u Constantinusa i innych, którzy się tym tematem zajmowali. Znając ich naturę, potrafił rozróżniać gatunki zwierząt, roślin, ryb czy ptaków, a także, jak niektórzy twierdzą, rozumiał wydawane przez nich odgłosy.

Jednym słowem był z niego *omnifariam doctus*, wszechstronny szkolarz, wielki badacz; a żeby mógł skuteczniej rozmyślać, natknąłem się i na takie relacje, dobrowolnie pozbawił się zmysłu widzenia i w starości był zupełnie ślepy, a i tak sięgał wzrokiem dalej niż cała Grecja, pisał o wszystkim, *Nihil in toto opificio naturae, de quo non scripsit* [w całej rozpiętości natury nie było rzeczy, o której by nie wspomniał]. Był człowiekiem świetnego dowcipu, przenikliwej zmyślności; dla zdobycia szerszej wiedzy w swoich młodych latach podróżował do Egiptu i Aten, by tam dyskutować z uczonymi, z których „jedni go podziwiali, a inni lekceważyli". Po czasie tułaczki osiadł w Abderze, mieście w Tracji, gdzie został skierowany do pracy w charakterze prawodawcy albo archiwariusza czy urzędnika, jak chcą niektórzy; inni twierdzą, że tam się urodził i wychował. Jakkolwiek było, tam właśnie zamieszkał pośród ogrodu na przedmieściach, poświęcając się całkowicie swoim studiom i życiu prywatnemu „z wyjątkiem tych momentów, gdy schodził do portu", „żeby śmiać się dobrodusznie na widok tych wszystkich dziwactw, które tam zobaczył". Taki właśnie był Demokryt.

Jak tymczasem to wszystko ma się do mnie albo na podstawie jakiego podobieństwa przywłaszczam sobie jego usposobienie? Rzeczywiście, muszę przyznać, że po tym, co tu o nim powiedziałem, jakiekolwiek porównanie się z nim byłoby zuchwalstwem i arogancją. Nie ośmielam się wskazywać żadnych podobieństw, *Antistat mihi millibus trecentis, parvus sum, nullus sum, altum nec spiro, nec spero* [wyprzedza mnie on tak dalece, ja nic nie znaczę, jestem nikim, z niewielkimi ambicjami i nikłymi perspektywami]. Tyle powiem o sobie, z nadzieją, że nie narażę się na podejrzenia o próżność czy chełpliwość, iż prowadziłem życie skromne, osiadłe, prywatne, *mihi et musis* [sobie a muzom] na uniwersytecie, jak Ksenokrates w Atenach *ad senectam fere* [do późnych lat], by jak on zdobyć mądrość, w całości niemal będąc oddany wasnym studiom. Ukształtowała mnie bowiem najświetniejsza z akademii Europy, *augustissimo collegio*, i mógłbym się właściwie przechwalać jak Paolo Giovio, że *in ea luce domicilii Vacicani, totius orbis celeberrimi, per 37 annos multa opportunaque didici* [przez 37 lat korzystałem z tego

zrządzenia losu, które pozwoliło mi prowadzić studia w znanej na cały świat Bibliotece Watykańskiej]; trzydzieści kolejnych lat rozwijałem się (mogąc korzystać, jak on, z najlepszych bibliotek) jako szkolarz, a nie chciałbym za nic okazać się darmozjadem, nieproduktywnym i niegodnym członkiem tej wspaniałej i uczonej społeczności, ani też pisać niczego, co tej królewskiej, wspaniałej instytucji przyniosłoby ujmę. Co zdołałem uczynić, mimo mojego duchownego powołania, wynikało z *turbine raptus ingenii*, jak to ujął Scaliger, nieokiełznanego dowcipu, niestałego i zmiennego umysłu, bo miałem wielkie pragnienie (nie będąc w stanie osiągnąć choćby powierzchownej biegłości w żadnej dziedzinie) zdobyć ogólną orientację we wszystkim, być *aliquis in omnibus, nullus in singulis* [znawcą wiedzy ogólnej, lecz ignorantem w każdej z dziedzin], jak zalecał Platon, a za nim Joost Lips i inni, „aby odcisnąć swój ślad na powszechnym mniemaniu, a nie być niewolnikiem jednej nauki czy też zamieszkiwać w granicach jednej dziedziny, jak robi większość, ale grasować po przyległych polach, być *centum puer atrium* [tym, kto chwyta się za wszystko], w każdej łodzi brać się do wioseł, posmakować każdego jadła, z każdego kubka pić", co, jak twierdził Montaigne, było udziałem Arystotelesa i jego uczonego krajana Adriena Turnèbe'a. Taki właśnie niespokojny charakter (daleki jednak od ich sukcesów) miałem i ja, jak wiecznie goniący za czymś spaniel, który szczeka na każdego przelatującego ptaszka, przerywając co chwila swoją pogoń, rzucałem się na wszystko dokoła, zamiast zająć się, czym powinienem, i mogę słusznie narzekać, jak skromnie przyznawał Gesner, że przeczytałem, jednak bez szczególnego pożytku, wiele książek w poszukiwaniu właściwej metody; w naszych bibliotekach bezładnie potykałem się o kolejnych przeróżnych autorów z niewielkim zyskiem dla zaspokojenia pragnienia artyzmu, porządku, pamięci, osądu. Nigdym nie odbywał podróży innych niż palcem po mapach, które moim nieograniczonym niczym myślom pozwalały na swobodne dywagacje, jak to szczególnie bywało, gdy z zachwytem studiowałem kosmografię. Urodziłem się pod udzielną władzą Saturna, w jego szczycie itd., a Mars jako prawodawca charakteru tworzył z mym

ascendentem harmonijny trygon; obie planety wielce szczęśliwe w swych zodiakach. Ani nie jestem biedny, ani bogaty; *nihil est, nihil deest,* niewiele posiadam, niczego nie pragnę: cały mój majątek mieści się w wieży Minerwy. Jak nie dostąpię większego awansu, tak nie jestem zań nikomu zobowiązany, a moje zdolności (*laus Deo* [chwała Bogu]) zawdzięczam moim szlachetnym a szczodrym patronom i wciąż wiodę życie na kampusie tak jak Demokryt w swoim ogrodzie, życie zupełnie mnisie, *ipse mihi theatrum* [to wystarczająca dla mnie rozrywka], z dala od wrzawy i niedogodności świata, *Et tamquam in specula positus* (jak to powiedział Heinsius), w jakimś wysokim miejscu ponad wami wszystkimi, jak *Stoicus sapiens, omnia saecula, praeterita presentiaque videns, uno velut intuitu* [ten stoicki filozof ogarniający jednym spojrzeniem wszystkie epoki: od najdawniejszych po obecną], więc słyszę i widzę, co też się dzieje poza granicami, jak to inni męczą się w biegu, podróży, ciągłym rozgorączkowaniu, jak marnieją pod władzą sądów lub państwa, a ja – trzymając się z dala od sądowych sporów – *aulae vanitatem, fori ambitionem, ridere mecum soleo* [drwię sobie z marności dworu, z intryg życia publicznego]: śmieję się temu wszystkiemu w twarz i „dbam jedynie, by swoje sprawy zaasekurować, okręty moje uchronić przed zgubą", plony i stada zachować, interesy ustrzec przed ruiną, bo „nie mam ani żony, ani dzieci, których byt musiałbym zabezpieczyć". Zaledwiem obserwatorem losów i przypadków innych ludzi, bo zdaje mi się, że każdy swoją rolę odgrywa przede mną jakby na scenie teatru. I każdego dnia wysłuchuję nowych wieści, tych, wiecie, zwyczajnych pogłosek o wojnach, zarazach, pożarach, powodziach, kradzieżach, mordach, masakrach, meteorach, kometach, mirażach, cudach, marach, o miastach zdobytych i oblężonych we Francji, Niemczech, Turcji, Persji, Polsce itd., o codziennych werbunkach i ćwiczeniach, których wymagają nasze burzliwe czasy, o toczonych bitwach, mnóstwie poległych, o wzajemnych niesnaskach, zatonięciach statków, piractwie i morskich potyczkach; o zawartych pokojach, sojuszach, podstępach i znów: kolejnych larmach. Cały ten chaotyczny zgiełk obietnic, projektów,

wniosków, edyktów, petycji, pozwów, apeli, przepisów, proklamacji, skarg i żali codziennie dobiega do naszych uszu. Każdego dnia nowe książki, pamflety, gazety, opowieści, całe katalogi wszelkiego rodzaju ksiąg, co dzień nowe paradoksy, opinie, schizmy, herezje i kontrowersje w obrębie filozofii, religii itd. A po nich przybój wieści o ślubach, przebierankach, pantomimach, imprezach jubileuszowych i dyplomatycznych, pojedynkach i turniejach, trofeach, tryumfach, hulankach, rozrywkach, zabawach; a zaraz od nowa, w zmienionej nagle scenerii, dzieją się zdrady, oszustwa, rabunki, każdy rodzaj nieprawdopodobnego bezprawia, pogrzeby, pochówki, zgony wśród członków książęcych rodów, nowe odkrycia, wyprawy, wciąż na zmianę: to komiczne, to tragiczne sprawy. Dziś słyszymy o nowo mianowanych lordach i oficerach, a jutro dowiemy się o tych, których zdegradowano, a później znów o świeżo nadanych honorach; ci odzyskują wolność, ci ją tracą; komuś przybywa, a komu innemu ubywa: gdy ów rozkwita, jego sąsiad popada w ruinę; raz się żyje w zasobności, a raz w niedostatku i głodzie; ten goni, tamten gna, a inni się kłócą, śmieją, łkają itd. Takie i podobne dochodzą mnie na co dzień wiadomości, tak prywatne, jak i publiczne, reprezentujące i dostojność, i żałosność świata: wesołość, duma, konsternacja i uważność, prostota i łajdactwo, delikatność, niegodziwość, szczerość i prawość poświęcają się we wzajemnym pomieszaniu; pozostaję *privus privatus* [w osobistym odosobnieniu], żyję tak, jak żyłem dotychczas, *statu quo prius* [w stanie poprzednim], usunąwszy się do samotnego życia i moich domowych kłopotów: pominąwszy te rzadkie momenty, *ne quid mentiar* [nie mogę zaprzeczyć], kiedy to, jak Diogenes do miasta, a Demokryt do portu w poszukiwaniu nowych obyczajów, raz po raz dla wytchnienia odbywałem spacer poza moje opłotki, by przyjrzeć się światu i móc się zdobyć na ledwie kilka spostrzeżeń, *non tam sagax observator ac simplex recitator* [nie tyle czyniąc bystre obserwacje, ile zdając sprawę z faktów], nie żeby, jak oni, kpić bądź wyszydzać, ale przyjmować wszystko z zaciekawieniem.

Bilem saepe, jocum vestri movere tumultus.

Nieszczęśni naśladowcy, których szczere porywy,
Często były źródłem mojej rozpaczy albo obiektem zgrywy.

Bywało, że śmiałem się i drwiłem z Lukianem, ciskałem prześmiewcze oskarżenia z Menipposem, płakałem z Heraklitem, raz *petulanti splene chachinno* [drwiąco się śmiałem], a kiedy indziej *urere bilis jecur* [wątrobę zalewała mi żółć], gdy mnie poruszał widok bałamuctw, których nie da się już odkręcić. Jednak żadne z usposobień, które z nim, z nimi wszystkimi dzieliłem, nie sprawia, że chowam się za jego imieniem; ani nie robię tego, by poszerzyć własną swobodę w wypowiadaniu sądów i wolność słowa, ale wyłącznie z tego powodu, jeżeli musisz wiedzieć, który pokazał Hipokrates w swoim liście do Damagetosa, gdzie opowiada, jak przyszedłszy w odwiedziny do Demokryta, zastał go w jego ogrodzie w Abderze siedzącego w cieniu altany z książką na kolanach, zatopionego w studiach, które przerywał, by coś napisać bądź zrobić kilka kroków. Jego książka traktowała o melancholii i szaleństwie; przy nim leżały truchła zwierząt dopiero co przez niego spreparowanych w celu badań anatomicznych; nie żeby miał zamiar, jak powiedział Hipokratesowi, uwłaczać bożym stworzeniom, ale by odnaleźć siedlisko *atra bilis* [czarnej żółci], czyli melancholii, jej źródło oraz sposób, w jaki powstaje w ludzkim ciele, ażeby skuteczniej zwalczyć ją w sobie, ale też dzięki swoim pismom pomóc innym uniknąć jej wpływu. Ten cel Hipokrates żarliwie pochwalał; Demokryt Junior zuchwale zamierza go naśladować, skoro nie skończył on swojego dzieła, a później ono zaginęło, chce *quasi succenturiator Democriti* [w zastępstwie Demokryta] wskrzesić je, przeprowadzić wywód oraz dokończyć ów traktat.

h
Democritus Abderites.

Macie tu więc wyjaśnienie mego imienia. Jeżeli tytuł i inskrypcja nadwerężają wasze poczucie powagi, to zapewniam, o ile może być usprawiedliwieniem oskarżanie innych, że mógłbym pokazać wiele innych poważnych traktatów, a nawet kazań, które noszą jeszcze bardziej fantastyczne nazwy. Jednak w naszych czasach przyjęło się nadawać dziełom fantazyjne imiona, żeby zapewnić książce sprzedaż; a widok takiego tytułu sprawi, że wielu próżnych czytelników, jak skowronki wpadające w zastawione sieci, przystanie i zatrzyma wzrok niczym niemądrzy przechodnie przed antycznym malunkiem na wystawie warsztatu malarza, czego by nie zrobili, widząc dorzeczny napis. I rzeczywiście, jak zaobserwował Scaliger, „nic nie przyciąga czytelnika bardziej od nieoczekiwanego tematu, który zapewnia lepszą sprzedaż niż obelżywy pamflet", *tum maxime cum novitas excitat palatum* [a tym bardziej, gdy ma jeszcze posmak nowości]. „Wielu autorów" (jak mówi Gelliusz) „bywa w swych dedykacjach tak ekstrawaganckich", że (jak twierdzi Pliniusz, cytując Senekę) „zdolni są zatrzymać czytelnika nawet w drodze, gdy spieszy, by pilnie wezwać akuszerkę do swojej rodzącej córki". Jeżeli o mnie chodzi, mam w moim działaniu zaszczytnych poprzedników: przywołam jednego z nich, Anthony'ego Zarę i jego księgę *Anatomia ingeniorum et scientiarum*, dzieło w czterech częściach, licznych rozdziałach i podrozdziałach, które można znaleźć w naszych bibliotekach.

Gdyby jednak ktoś podawał w wątpliwość mój temat albo sposób jego ujęcia i domagał się jego wytłumaczenia, mógłbym przytoczyć przynajmniej kilka. Piszę o melancholii, żeby przed melancholią uciec w to zajęcie. Nie ma istotniejszej przyczyny melancholii niż bezczynność, „ani lepszego lekarstwa niż jakieś zajęcie", jak mówi Al-Razi: i chociaż *stultus labor est ineptiarum*, zajmowanie się błahostkami nie przynosi pożytku, to posłuchajcie mądrego Seneki: *aliud agere quam nihil*, lepiej robić cokolwiek niż nic. Piszę więc i angażuję się w tę krotochwilną pracę, *oliosaque diligentia ut vitarem torporum feriandi* [by uciec przed znużeniem próżności w rozrywkowe zajęcie] i, jak mówi

u Makrobiusza Vectius, *atque otium in utile verterem negatium* [tym sposobem znaleźć pożytek w rozrywce].

Simul et jucunda et idonea dicere vita,
Lectorem delectando simul atque monendo.

[Jednocześnie chcą ludzkości służyć i ją zachwycać,
w swojej mowie przyjemność i instruktywność łącząc.]

Po to właśnie piszę, jak ci, o których Lukian wspomina, że „recytują drzewom i deklamują kolumnom z braku słuchaczy": jak to bystrze wyznał Paweł z Eginy, „nie żeby coś było nieznane albo przemilczane, ale żeby siebie samego rozgryźć", co, jeżeli ktoś się na to zdecyduje, przysłuży się jego ciału, a jeszcze bardziej duszy; albo jeszcze może, jak to czynią inni, dla sławy odsłonić się, odkryć (*Scire tuum nihil est, nisi te scire hoc sciat alter* [cała twoja wiedza na nic, jeżeli inni nie będą wiedzieć, że ty wiesz]). Zgodziłbym się z opinią Tukidydesa: „wiedzieć coś, ale tego nie wypowiedzieć, to jakby nie wiedzieć". Kiedy pierwszy raz zabrałem się do tego zadania, *et quod ait ille, impellents genio negotium suscepi* [i, jak on powiada, rozpocząłem pracę kierowany wewnętrznym impulsem], taki właśnie miałem cel: *vel ut lenirem animum scribendo*, ukoić umysł pisaniem; bo mam *gravidum cor, foetum caput*, osobliwy ropień w głowie, którego chętnie bym się pozbył, a nie potrafię sobie wyobrazić lepszej metody niż ta. A poza tym trudno mi się powstrzymać, bo *ubi dolor, ibi digitus*, gdzie swędzi, tam trzeba się koniecznie podrapać. Wcale nielekko mnie ta przypadłość dotknęła, czy mogę więc powiedzieć: moja metresa Melancholia, moja Egeria, mój *malus genius* [zły geniusz], i czy mogę, jak człowiek ukąszony przez skorpiona, *clavum clavo* [jad leczyć jadem], jedno utrapienie zwalczać innym, bezczynnością zwalczać bezczynność, *ut ex vipera theriacum* [jak odtrutka przygotowana z jadu węża], warzę antidotum z tego, co jest najgłówniejszą przyczyną mojej choroby. Albo jak ten, o którym pisze Felix Platter, że miał żołądek pełen Arystofanejskich żab i wydawał

z siebie stale *Brecekecex, coax, coax, oop, oop* [re, re, kum, kum], i z tego powodu przez siedem lat studiował sztukę medyczną, zjeździł większą część Europy, szukając dla siebie lekarstwa. Aby sobie pomóc, zwróciłem się ku wiedzy tych lekarzy, którą dysponowały nasze biblioteki albo moi przyjaciele, i zdecydowałem się zadać sobie ten trud. Bo niby czemu nie? Cardano utrzymywał, że swoją książkę *De consolatione* napisał po śmierci syna gwoli pocieszenia, a Tulliusz, o ile on jest rzeczywistym autorem, a nie, jak podejrzewa Lips, ktoś, kto się pod niego podszył, zrobił to samo po odejściu swojej córki. Jeżeli chodzi o mnie, to powtórzyłbym za Mariuszem, który u Salustiusza mówi, że „tego, o czym inni tylko słyszą albo czytają, ja doświadczam osobiście; oni zdobywają wiedzę z książek, a ja z praktykowania melancholii". *Experto crede Roberto* [ufaj doświadczeniu Roberta][1]. To, co jest moim udziałem, tego *aerumnabilis experientia me docuit* [mnie nauczyły pełne smutku doświadczenia]; albo chciałbym jak ta kobieta w wierszu: *haud ignara mali miseris succurrere disco*, pomagać innym w odruchu współczucia; i jak ta szlachetna dama z dawnych wieków, „sama będąc trędowata, oddała cały swój posag na budowę szpitala dla dotkniętych trądem", tak ja poświęcę czas i wiedzę, które stanowią moje największe bogactwo, dla wspólnego dobra.

Mógłby, zaiste, ktoś wysnuć taki wniosek, że to *actum agere*, bezcelowa praca, *cramben bis coctam apponnere*, to samo, tylko innymi słowami, od nowa i znowu. I po co to wszystko? „To, co można dobrze wyrazić, nie powinno zostać zaniechane", jak w podobnej kwestii uważał Lukian. Ilu znakomitych medyków napisało już całe tomy obszernych traktatów na ten temat? Tu nie daję nic nowego, wszystko jest kradzione; *Dicitque mihi mea pagina fur es* [moja stronica wyzywa mnie: ty złodzieju!]. Jeżeli uznać ten surowy sąd Synezjusza, wedle którego „większą jest zbrodnią kraść myśli umarłego, niż zedrzeć z niego ubranie", co by zostało z większości pisarzy? Zatem zaciskam dłonie na więziennej kracie razem z resztą autorów, skazany za tę zbrodnię, *habes confitentem reum* [przyznaję się do winy] i z radością

tłoczę się wraz z nimi w celi. Tak to już jest, że *tenet insanabile multos scribendi cacoethes* [wielu piszących cierpi na manię pisania], a „pisanie książek nie ma końca", jak powiedział dawny mędrzec, w tej epoce pisma, kiedy szczególnie „niepoliczalna jest liczba książek" (jak to stwierdził pewien szlachetny mąż) „prasy drukarskie cierpią ucisk", stąd za sprawą nieopanowanej chęci autoprezentacji, żądzy sławy i zaszczytów (*scribimus indocti doctique* [piszemy więc wszyscy, zarówno uczeni, jak i ignoranci]) człowiek będzie pisał bez względu na wszystko i zewsząd z trudem wynajdywał to, co mu ma posłużyć. „Opętany żądzą sławy, *etiam mediis in morbis* [nawet w czasie choroby]", nadwerężając swoje zdrowie i ledwo mogąc utrzymać w dłoni pióro, musi się wypowiedzieć, żeby „wyrobić sobie nazwisko", jak mówi Scaliger, „nawet za cenę upadku i ruiny wielu innych". Aby być zaliczonym do grona pisarzy, *scriptores ut salutentur* [być traktowanym jako pisarz], być uważanym za wszechstronnego, za polihistora, *apud imperitum vulgus ob ventosae nomen artis* [pośród ciżby ignorantów zyskać poklask za swój bezwartościowy talent], zostać królem papierowego królestwa, *nulla spe quaestus sed ampla famae* [bez nadziei na zysk, ale za to z widokami na sławę], w tej rozgorączkowanej epoce pełnej wybujałych ambicji, jak urągał Scaliger, *nunc ut est saeculum, inter immaturam eruditionem, ambitiosum et praeceps*; ci, którzy rzadko kiedy nadstawiają ucha, *vix auditores,* muszą najpierw stać się mistrzami i nauczycielami, zanim nauczą się słuchać. Rzucą się więc do nauki, do wiedzy *togatam, armatam* [cywilnej, wojskowej], teologicznej i humanistycznej, przeczesywać zaczną indeksy broszur w poszukiwaniu odniesień jak kupcy zapoznający się z położeniem nieznanych przystani, będą pisać opasłe tomy, *cum non sint re vera doctiores, sed loquaciores,* a przez to nie staną się lepszymi szkolarzami, ale większymi gadułami. Zazwyczaj deklarują, że to dla powszechnego dobra, ale, jak zauważa Gesner, powoduje nimi tylko duma i próżność; nic nowego, nic wartego odnotowania, ale wciąż to samo innymi słowami. *Ne feriarentur fortasse typographi vel ideo scribendum est aliquid ut se vixisse testentur* [muszą pisać, żeby zapewnić robotę drukarzom albo chociaż dać znak, że żyją]. Jak

aptekarze każdego dnia wyrabiamy nowe mikstury, przelewając zawartość jednej buteleczki do drugiej; jak starożytni Rzymianie, którzy grabili wszystkie miasta świata, żeby przystroić ten ich fatalnie położony Rzym, tak my zbieramy śmietankę z pracy innych umysłów, rwiemy najpiękniejsze okazy kwiatów z ich wypieszczonych ogrodów, żeby upiększyć nimi nasze jałowe rozważania. *Castrant alios ut libros suos per se graciles alieno adipe suffarciant*, jak mówi Paolo Giovio: swoje chude książczyny szpikują tłuszczem z dzieł innych autorów. *Ineruditi fures* [niepiśmienni złodzieje] itd. Ta wada jest udziałem każdego pisarza, teraz ją znajduję w sobie, a mimo to wszyscy ją sobie nawzajem przypisują, *trium literarum homines*[2], wszyscy oni złodzieje; podkradają coś stale dawnym autorom, żeby zapchać te swoje nowe dopiski, grzebią w odchodach Enniusza albo, jak ja sam, w Demokrytowych nieczystościach. Dlatego tak się dzieje, że „nie tylko nasze księgarnie pełne są prześmierdłego papieru, ale też nocne szafki i latryny", na nim *scribunt carmina quae legunt cacantes* [piszą pieśni, które się czyta podczas srania]; używa się go do wyścielania blach do pieczenia, pakuje weń przyprawy, albo używa do ochrony mięsa przed przypaleniem. „U nas we Francji", mówi Scaliger, „każdy posiada możliwość, ale niewielu zdolność pisania. Dotychczas naukę uświetniała praca rozsądnych uczonych, ale teraz ją znieważają poślednie i niedouczone pisarzyny", których motywacją jest próżność, bieda i chęć zarobku, że jak pasożyty lgną do wielkich ludzi i wydają z siebie *burras, quisquiliasque ineptiasque* [błahostki, bzdury i niedorzeczności]. „Pośród wielu tysięcy autorów ledwo znajdzie się jeden, którego lektura chociaż ociupinkę was uszlachetni, a nie, jak bywa częściej, zwiedzie na manowce", *quibus inficitur potius, quam perficitur*, i sprawi, że człowiek skończy czytać pogłębiony, a nie pognębiony.

Qui talia legit,
Quid didicit tandem, quid scit nisi somnia, nugas?

[Czego ten, kto to czyta, chce się dowiedzieć

prócz jałowych snów i próżnych głupstw?]

Zdarza się więc często (co zarzucał Kallimach), że wielka księga okazuje się wielkim szubrawstwem. Cardano oskarżał Francuzów i Niemców o to, że ich pisanina nie ma większego sensu; *non inquit ab edendo deterreo, modo novum aliquid inveniant*, nie żeby zakazywał im pisać, ale domagał się, by pisma te nosiły ślady ich własnej inwencji; tyle że wciąż tkamy jedną i tę samą sieć, splatamy wciąż na nowo ten sam sznur; a jeśli już zdarzy się jakiś nowy pomysł, jest to ledwo ozdóbka albo igraszka, które jeden próżniak pisze, żeby to inni próżniacy czytali, więc kto tego niby nie potrafiłby wymyślić? „Człowiek taki musiałby być obdarzony zupełnie jałowym umysłem, żeby w tych rozpisanych czasach niczego nie zrodzić". „Książęta wystawiają dumnie swoje armie, bogacze chlubią się siedzibami, żołnierze prezentują swoje męstwo, natomiast uczeni afiszują się swoimi igraszkami", koniecznie muszą pisać, chcąc nie chcąc, muszą nasłuchiwać.

Et quodcunque semel chartis illeverit, omnes
Gestiet a furno redeuntes scire lacuque,
Et pueros et anus.

Wszystko, co raz zostało napisane i powiedziane, musi
Poznać każdy: od dzieciaka do podstarzałej paniusi.

„Cały tegoroczny urobek tej gromady poetów", Pliniusz żalił się Kwintusowi Sosjuszowi, „w kwietniu jeden po drugim recytował". Jakiż to opasły katalog nowych tytułów z tego roku, z tej doby przynoszą targi frankfurckie i nasze krajowe? Dwa razy w roku *proferunt se nova ingenia et ostentant*, wystawiamy na sprzedaż nasze nowe wymysły, *magno conatu nihil agimus* [wydatkujemy na próżno nasze wielkie pokłady energii]. Jeśli więc nie dojdzie do szybkiej reformy, czego tak pragnie Gesner, za sprawą książęcego edyktu i solennej kurateli, które by tę wolność ograniczyły, będzie się to toczyć tak *in infinitum*. *Quis tam avidus librorum*

helluo? [gdzie znajdzie się ten żarłoczny czytelnik?] kto je wszystkie przeczyta? Już teraz mamy wielki książkowy chaos i zamęt, jesteśmy nimi przytłoczeni, oczy nas bolą od czytania, a palce od przewracania kartek. Jeżeli o mnie chodzi, jestem jednym z tego wielkiego grona, *nos numerus sumus* [jesteśmy tylko cyframi]: nie przeczę, jedyne, co mam do powiedzenia, to powtórzyć za Makrobiuszem: *Omne meum, nihil meum*, wszystko to moje, ale nic do mnie nie należy. Jak dobra gospodyni, która z różnych nici splata sztukę odzieży, jak pszczoły, które wosk i miód z różnych kwiatów zbierają w jednej barci, *floriferis ut apes in saltibus omnia libant* [jak pszczoły na kwietnej polanie piją z każdego kielicha], tak ja mozolnie złożyłem ten centon z dzieł różnych pisarzy i nie ukrzywdziłem żadnego z nich, ale oddałem każdemu, co jego; to Hieronim zachwalał u Nepocjana: nie tyle kradł całe wersy, strony i rozprawy, jak to dzisiaj czynią, ukrywając imiona ich autorów, ile przyznawał, że to jest z Cypriana, to z Laktancjusza, a to z Hilariusa wzięte, a to znów rzekł Minucjusz Feliks, to Wiktoryn, a to Arnobiusz: cytuję i przytaczam moich autorów (z czego zrezygnować nie mogę, a co zresztą niektórzy niedouczeni pismacy swoim pretensjonalnym stylem wytykają mi jako zbytnią pedanterię, przykrywkę dla ignorancji), *sumpsi, non suripui* [pożyczam, a nie podkradam]; to, co Warron w księdze *O gospodarstwie wiejskim* mówił o pszczołach, że *minime maleficae nullius opus vellicantes faciunt delerius* [niewiele czynią zniszczeń, a nikomu nie szkodzą, zbierając miód], mógłbym powiedzieć o sobie: Czy kogoś zraniłem? Temat jest w większości ich, a przecież i mój, *apparet unde sumptum sit* [oczywiste to było tam, skąd rzecz pochodzi], co aprobuje Seneka, *aliud tamen quam unde sumptum sit apparet* [ale w nowym kontekście nabiera innych znaczeń], bo jak natura czyni z pokarmem spożywanym, trawionym i przyswajanym przez nasze ciała, tak ja *concoquere quod hausi* [przyswajam to, co połknąłem] i wydalam, co przyjąłem. Każę im się składać na wystawienie tego mojego *Maceronicon*, jednak sama metoda jest wyłącznie moja; muszę to wziąć od Weckera: *nihil dictum quod non dictum prius, methodus sola artificem ostendit*, nic nie możemy powiedzieć nad to, co zostało już

powiedziane, jednak układ i metoda są wyłącznie nasze i świadczą o uczonym. Orybazjusz, Ezjusz i Awicenna wszystko wzięli od Galena, jednak wedle swojej metody, *diverso stilo, non diversa fide*. Nasi poeci podkradali Homerowi; on spluwa, mówił Aelian, a oni to zlizują. Teologowie wciąż dosłownie biorą Augustyna, podobnie jak nasi gawędziarze; kto przychodzi ostatni, bywa najlepszy,

donec quid grandius aetas
Postera sorsque ferat melior.

[dokąd późniejsze czasy,
bardziej hołubione, nie wytworzą wspanialszych stronic.]

Choć było wielu gigantów dawnej nauki i filozofii, powtarzam to, co powiedział Diego de Estella: „Karzeł stojący na ramionach olbrzyma może spoglądać dalej niż sam olbrzym"; i ja mogę zapewne dodać coś, zmienić i spojrzeć dalej, niż widzieli moi poprzednicy; nie większe mam uprzedzenie wobec pisania na podstawie innych autorów niż de Montalto, znany lekarz, piszący *de morbis capitis* [o chorobach głowy] na bazie Jasona van der Veldego, van Heurnego, Hildesheima i in., bo w tym wyścigu biegło wiele koni: logik ścigał retoryka. Możesz to kontestować, jeśli wola,

Allatres licet usque nos et usque
Et gannitibus improbis lacessas.

[Szczekasz na mnie tyle, ile ci się podoba,
i straszysz mnie swoim warczeniem.]

Znalazłem jednak wyjście. Do wszystkich tych win: barbaryzmów, ludowego dialektu, improwizowanego stylu, tautologii, głupkowatych imitacji, rapsodii poskładanej z resztek zebranych z kilku kloacznych dołów z ekskrementami innych autorów, do lejących się ciurkiem

brewerii i głupot, braku artyzmu, pomysłowości, poglądów, dowcipu, wiedzy, do cierpkości, złośliwości, konfabulacji, absurdów, bezczelności, plotkarstwa, do kiepskiej kompozycji, niestrawionego materiału, zadufania, ordynarności, jałowości, monotonii i ironii, do tego wszystkiego się przyznaję (chociaż z pewną przesadą), tak że niepodobna, żebyś myślał o mnie gorzej, niż ja myślę o sobie. Ta książka nie jest warta lektury, wyznaję, i nie mam pragnienia, żebyś tracił czas na tak czczy temat, bo sam bym wcale nie miał ochoty czytać kogoś takiego, także twoich pism, czytelniku; to nie jest *operae, pretium* [warte zachodu]. Jednak, co chcę wyraźnie powiedzieć, znajduję podobne precedensy, które Isokrates określa jako *perfugium iis qui peccant* [schronienie grzeszników], inni zaś jako absurd, zadufanie, nudę, pospolitość, koślawość itd. *Nonnulli alii idem fecerunt,* inni też mają swoje za uszami, może nawet więcej niż ja, więcej niż wy sami, *Novimus et qui te* [znamy też kogoś, kto ciebie przejrzał] itd. Każdy z nas ma wady, *scimus, et hanc, veniaim* [wiemy i prosimy o wybaczenie] itd.; krytykujecie mnie, jak ja krytykowałem innych, wolno wam, *Cedimus inque vicem, etc.* [czołgamy innych, a w zamian itd.], takie jest *lex talionis, quid pro quo* [prawo odwetu, coś za coś]. No, dalej: potępiajcie, krytykujcie, drwijcie i pomstujcie.

Nasutus cis usque licet, sis denique nasus:
Non potes in nugas dicere plura meas,
Ipse ego quam dixi, &c.

Tyś mistrzem kpin i drwin, Momosa drużyny ozdobą,
Ale nie obejdziesz się z nami gorzej niż my sami z sobą.

I kiedy kobieta mnie miała rugać, ja pierwszy wykrzykiwałem: ty dziwko, i mogłem się w surowej ocenie innych ludzi, obawiam się, nieco zapędzić; *Laudare se vani, vituperare stulti* [miłość własna jest chełpliwością, urąganie sobie jest głupotą]; ani siebie nie wywyższę, ani też nie umniejszę. *Primus vestrum non sum, nec imus,* ani nie jestem

najlepszym, ani najpodlejszym spośród was. Jeśli za tym czy owym o cal, stopę czy milę jestem, to i tak mogę minimalnie wyprzedzać ciebie. No, już trudno, dobrze to czy źle, podjąłem tę próbę i stanąłem na scenie; muszę więc znosić krytykę, nie dam rady przed nią uciec. Tak już jest, że *stylus virum arguit*, zdradza nas własny styl, i jak myśliwy znajduje swoją zdobycz po jej śladach, tak talent człowieka dostrzega się, śledząc jego dzieło, wedle zasady Katona: *Multo melius ex sermone quam lineamentis, de moribus hominum judicamus* [lepiej ocenimy charakter człowieka po jego wymowie niż na podstawie jego fizjonomii]. I ja w tym traktacie (dobrze o tym wiem) odsłoniłem się, wywróciłem się na nice: bez wątpienia mogę więc podlegać krytyce; ma rację Erazm, że *nihil morosius hominum judiciis*, nie ma większej przykrości niż krytyka ze strony innych ludzi; pociecha w tym, że *ut palata, sic judicia*, tyle jest gustów, ile podniebień.

Tres mihi convivae prope dissentire videntur,
Poscentes vario multum diversa palato.

[Gościłem trzech biesiadników o różnych gustach,
a każdy chciał, żeby jego smak zadowoliło inne danie.]

Nasze pisma stanowią rozmaite dania, a czytelnicy są gośćmi na tej uczcie; nasze książki to piękno, które jeden podziwia, a inny odrzuca; tyle jesteśmy cenieni, ile trafimy w czyjeś upodobania. *Pro captu lectoris habent sua fata libelli* [los książki zależy od kaprysu czytelnika]. To, co jednemu daje satysfakcję, dla innego jest *amaracum sui*, odstręczające. *Quot homines, tot sententiae*, ilu ludzi, tyle opinii: co ty schlastasz, temu inny schlebi. *Quod petis, id sane est invisum acidumque duobus* [co ciebie pociąga, innych zniesmaczy i odrzuci]. Kogoś obchodzi temat, a ciebie interesują słowa; tamten jest miłośnikiem luźnego i niezobowiązującego stylu, a ty przepadasz za ścisłą kompozycją, mocną kadencją, hiperbolami i alegoriami; a inny jeszcze życzyłby sobie uroczego frontyspisu z powabnymi grawiurami, jakimi opatrzona była

księga medytacji jezuity Hieronima Natalisa, by przyciągnąć uwagę czytelnika, co ty z kolei odrzucasz; co jednego zachwyca, drugi podważa jako najbardziej absurdalne i żenujące. Jeśli brak ci przystępu do jego nastroju, podejścia i opinii, *si quid, forsan omissum, quod is animo conceperit, si quae dictio*, a miałbyś opuścić coś albo dodać wedle swoich upodobań albo uprzedzeń, okażesz się *mancipium paucae lectionis*, durniem, osłem, *nullus* [zerem] czy też *plagiarius* [plagiatorem], błaznem, miglancem, miernotą; a twoja księga jest zwykłym produktem, kompilacją sporządzoną bez pomysłu i polotu, wyłącznie igraszką. *Facilia sic putant omnes quae jam facta, nec de salebris cogitant, ubi via strata* [jeśli coś już zostało zrobione, ludzie sądzą, że to była łatwizna; gdy już istnieje wytyczona droga, nikt nie pamięta, jak trudno się tu podróżowało wcześniej]; tak też ludzie sami pozbawieni jakiejkolwiek wartości szkalują czyjąś pracę, oceniają ją jako nic niewartą ci, którzy sami nie potrafiliby tego dokonać. *Unusquisque abundat sensu suo*, skoro każdy człowiek jest integralny w swoich preferencjach, co dotyczy każdej ze stron, to jak niby da się zadowolić wszystkich?

> *Quid dem? quid non dem? Renuis tu quod jubet ille.*
>
> Co podać? A zrezygnować z czego?
> Tamten zamówi jedno danie, ty znów nie ruszysz tego.

Jak mógłbym mieć nadzieję, że dam wyraz czyimś nastrojom i fanaberiom albo że każdego zaspokoję? Niektórzy pojmują zbyt dużo, inni znów zbyt mało, *qui similiter in legendos libros, atque in salutandos homines irruunt, non cogitantes quales, sed quibus vestibus induti sint* [książki oceniają na tej samej zasadzie co ludzi, sądząc nie po charakterze, ale stroju], jak to zauważył Augustyn, nie obchodzi ich treść, ale autor, *orexin habet auctores celebritas* [nazwisko autora tworzy popyt], nie zważają na kruszec, ale wybitą na nim próbę, *cantharum aspiciunt, non quid in eo* [patrzą wyłącznie na naczynie, a nie jego zawartość]. Jeśli autor taki nie jest bogaczem, nie ma wysokiej pozycji, nie odznaczył się

polorem albo odwagą, nie jest poważnym uczonym, nie nosi znamienitych tytułów, wówczas, mimo jego biegłości, uważa się go za przygłupa; ten jest zwykłym marnotrawcą, kto deprecjonuje kogokolwiek ze względu na ubóstwo, co pokazuje stosunek Baronia do kardynała Carafy. Niektórzy są stronniczy, jak wtedy, gdy okazują przyjacielską wielkoduszność, inni zaś uprzedzeni i skłonni do wybrzydzania, szkalowania, umniejszania czy drwin (*qui de me forsan, quicquid est, omni contemptu contemptius judicant* [wszystko, co tworzę, uważają za niegodne nawet ich pogardy]); jedni są jak zbierające miód pszczoły, inni jak gromadzące jad pająki. Co mam na to poradzić? Gdy holenderski podróżny zawita do niemieckiego zajazdu i nie odpowiada mu jedzenie, pokój itd., usłyszy: *Aliud tibi quaeras diversorium*, jeśli ci się nie podoba, poszukaj sobie noclegu gdzie indziej; moja rada: jeśli ci się moje pisanie nie podoba, weź i poczytaj coś innego.

1.1

Zacząć trzeba od anatomii świata, bo Burton nie pozostawia właściwie żadnych wątpliwości co do jego depresyjnej konstrukcji: melancholia dotyka ludzi, to oczywiste, ale nie tylko. Jej wirus jest o wiele zjadliwszy i atakuje to, co nazwać można strukturami społecznymi i ciałem politycznym. Dobro wspólne cierpi przez melancholię, która narusza ład, zaburza nie tylko obraz świata (jak można by było sądzić), ale sam świat. To wielka różnica w diagnozie tej przypadłości. *Anatomia melancholii* nie tyle jest przecież traktatem medycznym, co traktatem społecznym i diagnozą cywilizacyjną.

Ale że zaraza melancholii atakuje kraje, prowincje, ciała polityczne, to jedno. Równie ważne jest, że działa to także w drugą stronę, nakręcając spiralę depresji: zdeprawowany świat zaraża depresją swoich mieszkańców. W kraju szczęśliwym ludzie nie chorują. Opisom warunków tego dobrostanu Burton poświęca dużą część swojej księgi (także w tym celu konstruuje zgodnie z wielką modą swoich czasów własną utopię, którą burtonowski Czcigodny Czytelnik znajdzie we wstępie trzeciej części tego wyboru).

Królestwa, prowincje i inne polityczne ciała są tak samo podatne i padają ofiarą tej choroby, jak to udowodnił Giovanni Botero w swoich pismach politycznych. „Podobnie jak w ludzkim ciele" (stwierdził) „występują rozmaite zmiany spowodowane wpływem humorów, tak i w republice lęgną się różne choroby wywołane niepokojami społecznymi", co można łatwo zauważyć na podstawie konkretnych przejawów. Tam gdzie ludzie są uprzejmi, oddani Bogu i książętom, roztropni, zgodni i spokojni, zasobni, szczęśliwi, witalni, gdzie żyją w pokoju, jedności i zgodzie, w państwie właściwie pielęgnowanym z miastami mądrze zbudowanymi i ludnymi, *ubi incolae nitent* [gdzie mieszkańcy żyją w dostatku], jak powiada stary Katon, *ubi bene, beateque*

vivunt [tam dobrze się mają i są szczęśliwi], co nasi politycy uważają za główny cel istnienia państwa, a co Arystoteles nazywał *commune bonum* [wspólnym dobrem], Polibiusz zaś *optabilem et selectum statum* [stanem pozazdroszczenia godnym a idealnym], tam kraj jest wolny od melancholii, jak to było w Italii za czasów Augusta, a teraz jest w Chinach i innych kwitnących królestwach Europy. Ale gdziekolwiek obserwujemy niezadowolenie, powszechne skargi, żale, biedę, barbarzyństwo, żebractwo, zarazy, wojny, rebelie, podjudzanie, bunty, spory, próżniactwo, rozruchy, wystawność, ziemie leżące odłogiem: wyjałowione, bagienne, pustynne itd., miasta w rozkładzie, miasteczka upadłe i zubożałe, wsie wyludnione, w nich ludzie zaniedbani, szpetni i nieuprzejmi, to takie królestwo, taki kraj jest zgnębiony, melancholijny, chory na ciele i pilnie wymaga reformy.

1.2

Wojna, zaraza, kataklizm – to są elementy depresyjnego świata, ale także jego straszne metonimie. Burton kilka razy wraca do tych tematów, szczególnie do wojny i plagi. Jest to o tyle oczywiste, że wojna (która jest w jakimś istotnym sensie esencją, obrazem tego świata w soczewce) stanowi jednocześnie przyczynę i skutek melancholii: człowiek pomylony – szczególnie gdy ta przypadłość bierze się z nadmiaru ambicji czy pychy – skłonny jest wywoływać wojny, które z kolei są opresją powodującą depresję. A znów plaga, epidemia, mór są nie tylko dość powszechnym doświadczeniem w jego epoce (możemy docenić uniwersalność *Anatomii* na podstawie tego wątku, prawda?), ale i tożsame z samą depresją – a właściwie: depresja jest po prostu kolejną plagą, być może najstraszniejszą z nich wszystkich, bo najbardziej powszechną, ale też bezwzględną i bezlitosną. Zupełnie jak człowiek z poniższej diagnozy Burtona.

Niebo nam grozi znakami: komety, gwiazdy, planety, ich wielkie koniunkcje, zaćmienia, opozycje, kwadratury i wszelkie inne niekorzystne aspekty ich położenia. Atmosfera nawiedzana przez meteoryty, rozrywana grzmotami i błyskawicami, smagana gwałtownym gorącem lub zimnem, huraganami, burzami, zaskakująca nieodpowiednią do pory pogodą; z tego bierze się niedostatek, głód, mór i wszystkie epidemiczne choroby, które pochłaniają niezliczone istnienia. W Kairze co trzy lata (co poświadcza między innymi i Botero) 300 000 ludzi umiera od zarazy, a w Konstantynopolu 200 000 co pięć lub najwyżej siedem lat. Jakże nas ziemia straszy i doświadcza potwornymi wstrząsami, które najczęściej przydarzają się w Chinach, Japonii i innych ziemiach na Wschodzie, a potrafią zmieść z powierzchni nawet sześć miast naraz! Jak szalejące wody występują z brzegów, wdzierają się w głąb lądów, zalewając miasta, miasteczka,

wsie, obalając mosty itd., nie licząc już morskich katastrof, które powodują; całe wyspy na Zelandii i w Niderlandach, jak i innych częściach kontynentu są zatapiane razem ze swoimi mieszkańcami, jak to się zdarzyło nad jeziorem Erne w Irlandii. *Nihilque praeter arcium cadavera patenti cernimus freto* [widzieliśmy jedynie ruiny miast wystające z rozległych zalewów]. Na nizinach Fryzji w roku 1230 burze sprawiły, że morze zatopiło *multa hominum millia, et jumenta sine numero* [wiele tysięcy ludzi i niezliczone gromady bydła], niemal całą krainę, w tym ludzi i zwierzęta. Jakże to szalejący ogień, żywioł bezlitosny, pochłania w jednej chwili całe miasta! Które z dawnych, znaczących miast nie było choć raz, albo i kilka razy z rzędu, przez furię tego bezwzględnego żywiołu zniszczone, obrócone w proch i spustoszone? Jednym słowem,

Ignis pepercit, unda mergit, aeris
Vis pestilentis aequori ereptum necat,
Bello superstes, tabidus morbo perit.

Kogo oszczędzi ogień, tego woda zatopi; gdy ona
Odpuści, zaraza zniszczenia dokona.
Kogo wojna ominie, ten od choroby skona.

A żeby się zagłębić w szczegóły, pomyślmy, ile stworzeń jest człowiekowi wrogich! Lwy, wilki, niedźwiedzie itd., zbrojne w kopyta, rogi, kły, groźne szczęki, pazury. Ile groźnych węży i innych jadowitych bestii czeka tylko, by nas razić żądłem, tchnieniem, wzrokiem, a nawet uśmiercić! Ile trujących ryb, roślin z ich sokami, owoców, nasion, kwiatów itd. mógłbym w tej chwili wyliczyć, które, gdy tylko ich powąchamy, posmakujemy czy dotkniemy, powodować mogą u nas poważną chorobę albo nawet śmierć! Mówi się, że można spreparować tysiąc różnych trucizn, ale przy tym, co wymieniłem, to drobnostka. Największym wrogiem człowieka jest sam człowiek, który za sprawą diabelskiego poduszczenia gotów jest w stosunku do siebie i innych stać się szkodnikiem, katem, wilkiem, diabłem. Wszyscy jesteśmy albo

przynajmniej powinniśmy być dla siebie braćmi w Chrystusie, członkami jednego ciała, poddanymi jednego Pana, a jednak żaden demon nie potrafi tylu wyrządzić krzywd, tak gnębić i dręczyć człowieka, jak inny człowiek. Niech mi więc nie będzie dane (jak Dawid, gdy groziły mu wojny, zaraza czy głód) wpaść w ręce tego bezlitosnego i szalonego stworzenia, jakim jest człowiek:

Vix sunt homines hoc nomine digni,
Quamque lupi, saevae plus feritatis habent.

[Ledwo imię przysługuje człowiekowi w tej postaci;
Przy jego okrucieństwie i wilk swoją złą sławę traci.]

Większość epidemii możemy przewidzieć i nawet im zapobiec; klęski, burze, plagi przepowiadają nam astrologowie; trzęsienia ziemi, powodzie, zniszczenia domostw, pożary przychodzą powoli lub zapowiadają je ostrzegawcze odgłosy; ale ludzkich niegodziwości, oszustw, drańst w i nikczemności nie da się przewidzieć. Naszych miast przed najeźdźcami bronią bramy, mury i wieże, a przeciw złodziejom i rabusiom mamy broń i naszą czujność, ale od ludzkich złych zamiarów i zgubnych zamysłów żadna ostrożność nas nie ochroni, żadna rozważność ich nie przeniknie, bo w zanadrzu mamy zbyt wiele sposobów, którymi wzajemnie się zwodzimy.

1.3

Nadmiar studiów i nadmiar książek – dwa elementy świata depresyjnego. Nadmiar jest w *Anatomii melancholii* istotnym interpretacyjnym kluczem, bo będąc jednocześnie jedną z diagnoz (i choroby, i melancholijnego świata), jest również cechą samej książki, doskonałym opisem jej istnienia, ale i objaśnieniem trybu powstania dzieła, które jest najczystszym przykładem mowy nadmiaru. Od samego rozmiaru jako cechy narzucającej się poczynając, przez pojawiające się często ciągi synonimów albo metonimii, przez cytaty goniące inne cytaty, aż po to bezradne „itd." będące znakiem czających się gdzieś (poza zapisaną stroną – w głowie, bibliotece, świecie) ciągów dalszych, których pewnie nie da się wyczerpać, chociaż cała ta księga usilnie próbuje tego dokonać.

Nadmiar studiów jest zabójczy, zdaje się twierdzić Burton. Podobnie jak głupota, lekceważenie wiedzy, pogarda dla książek. Oznacza to z jednej strony, że Burton jest orędownikiem złotego środka (i w jakiejś mierze jest to prawda), ale z drugiej daje nam do zrozumienia, że po tej książce nie powinniśmy się spodziewać szczególnej ścisłości i konsekwencji. Ów brak konsekwencji jest zresztą znaczący i też należy do natury melancholijnego pisma.

1.3.1

Leonhart Fuchs, Felix Platter i Ercole Sassonia mówią o osobliwej gorączce, która jest wynikiem nadmiernych studiów. Fernel zalicza studia, kontemplację i nieustanną medytację do szczególnego typu przyczyn szaleństwa. Giovanni Arcolano obok innych źródeł szaleństwa wymienia *studium vehemens* [żarliwe studiowanie], podobnie jak Ludwig Lemmens: „Wielu zapada na chorobę melancholijną" (twierdził on) „za sprawą nieustannych studiów i nocnego trybu życia, a ze wszystkich ludzi to właśnie szkolarze są najbardziej narażeni"; a Al-Razi dodaje: „jak i ci najsubtelniejszego umysłu". Marsilio Ficino zalicza ją do pięciu głównych plag dręczących uczonych i uważa za ich gnębicielkę,

w pewnym stopniu nieodłączną ich towarzyszkę. Warron z tych samych przyczyn nazywa ich *tristes philosophos et severos* [smutnymi i poważnymi filozofami]; kostyczni, posępni, oschli, zgorzkniali – oto epitety, jakimi się obdarza uczonych: Patricius z tego powodu nie uważał ich za dobrych kandydatów do szkoły książęcej. Bo (jak utrzymywał Machiavelli) nauka osłabia ich ciała, stępia ducha, gasi siłę i odwagę, a dobrzy uczeni nigdy nie są dobrymi żołnierzami, co zauważył pewien Got, który przybywszy do Grecji, dostrzegł, że jego żołdacy palą tamtejsze książki, więc zaczął ich powstrzymywać, wołając: „zostawcie im tę zarazę, która z czasem spożyje ich wigor i bojowego ducha". Turcy pozbawili władzy Cornutusa, następcę tronu ich imperium, bo zbyt oddany był księgom: powszechnym jest na świecie mniemanie, że nauka stępia i nadwątla ducha, a więc *per consequens* wywołuje melancholię.

Dwa są główne powody, dla których uczeni są bardziej od innych narażeni na tę dolegliwość. Pierwszy to siedzący i samotniczy tryb życia wiedzionego *sibi et musis* [sobie a muzom][3], wyzbytego ćwiczeń cielesnych oraz tych rozrywek, jakie bywają udziałem innych ludzi: ilekroć więc dołącza się do tego, co zdarza się często, zgorzknienie i bezczynność, wówczas od razu zostają oni wrzuceni do tej otchłani: ale najpospolitszym powodem jest nadmiar studiów; zbyt wiele nauki (jak Festus powiedział Paulowi) uczyni cię szalonym; to owa druga skrajność, która wywołuje chorobę. Tak to widział Trincavelli na podstawie własnego doświadczenia z dwoma swoimi pacjentami, jednym z nich był młody baron, którzy nabawili się swej przypadłości za sprawą żarliwych studiów. Rzecz podobną zaobserwował Pieter van Foreest u pewnego obłąkanego duchownego z Louvain, który wedle jego słów „miał całą Biblię w głowie". Marsilio Ficino podaje wiele powodów, dla których „ludzi oddanych studiom częściej niż innych dotyka ta słabość". Pierwszym jest niedbalstwo; „inni troszczą się o swoje narzędzie pracy, malarz myje swoje pędzle, kowal dba o młot, kowadło, kuźnię; gospodarz naprawia lemiesze swego pługa i ostrzy siekierę,

kiedy ta się stępi; myśliwy i sokolnik szczególnie dbają o swoje sokoły, charty, konie itd.; muzyk zmienia struny swojej lutni itd.; a tylko szkolarze zaniedbują swój instrument (przez co rozumiem umysł i ducha), którego codziennie używają, by ogarnąć świat, a który nadmierne studia wyniszczają. Lukian mówi: *Vide ne funiculum nimis intendendo aliquando abrumpas*, „Zważ, że nie skręca się sznura tak mocno, by wreszcie pękł". Ficino podaje jeszcze jeden argument: Saturn i Merkury, patronujący nauce, są planetami suchymi; to według Origanusa sprawia, że Merkurianie to ludzie biedni, często żebracy, a to dlatego, że ich patron Merkury sam nie ma w tym zakresie szczęścia. Dawny wyrok losu ukarał go ubóstwem; odtąd poezja i bieda są *gemelli*, bliźniętami, nieodłącznymi towarzyszami;

> U każdego szkolarza do dziś sakiewka pusta,
> Bo ostatni grosz z niej zasila skarbiec oszusta.

Merkury może ich obdarzyć wiedzą, ale nie groszem. A drugi powód to kontemplacja, „która wysusza umysł i gasi jego naturalny żar; bowiem gdy energia duchowa jest skupiona w wyższych partiach ciała i w głowie podczas rozmyślania, to pozostawione bez wsparcia zostają żołądek i wątroba, stąd pojawia się czarna krew i zanieczyszczenia będące skutkiem nieprawidłowego mieszania się substancji, a przez brak ćwiczeń fizycznych zbytek waporów nie może znaleźć ujścia". [...]

Ilu biednych szkolarzy straciło swój polor albo i powagę, lekceważąc sobie sprawy tego świata, a nawet własne zdrowie, *esse* i *bene esse* [życie i dobrostan], by w ciężkich bólach zdobyć wiedzę, dzięki której świat uzna ich za frymuśnych i uciesznych durniów, idiotów, osłów, a nawet (i bywa, że słusznie) za odrzuconych, wzgardzonych, wyszydzonych, zbzikowanych czy obłąkanych!

1.3.2

Król Jakub przy okazji odwiedzin naszego Uniwersytetu Oksfordzkiego w roku 1605 pośród i innych wizytowanych gmachów obejrzał także słynną bibliotekę, którą sir Thomas Bodley odnowił na wzór tej aleksandryjskiej, i przed odejściem wypowiedział te szlachetne słowa: „Gdybym nie był królem, zostałbym szkolarzem, a gdyby mi przyszło być więźniem, chciałbym, o ile mógłbym wyrazić swoją wolę, aby więzieniem mi była wyłącznie owa biblioteka, i byłbym przykuty do wszystkich tych wspaniałych autorów *et mortuis magistris* [oraz umarłych nauczycieli]". Tak słodką przyjemnością jest studiowanie, a im więcej nauki się zażywa (jak chory na puchlinę wodną, który im więcej pije, tym większe odczuwa pragnienie), tym więcej się jej pragnie, a dzień miniony jest *prioris discipulus* [uczniem poprzedniego]; trudne bywa z początku studiowanie, bowiem *radices amarcae* [korzenie są gorzkie], lecz – jak twierdził Isokrates – *fractus dulces* [owoce słodkie]; im dłużej się żyje, tym większym afektem obdarza się Muzy. Heinsius, opiekun biblioteki w holenderskiej Lejdzie, nie opuszczał jej przez okrągły rok: nie wywołało to w nim, jak można by sądzić, niechęci, ale umocniło jego rozmiłowanie. „Ledwiem" (tak on sam zdawał sprawę) „wszedł do biblioteki, zaryglowałem drzwi, zostawiając za nimi pożądliwość, ambicję, chciwość i wszelkie inne słabości, których karmicielką jest bezczynność, owa matka ignorancji, ale i melancholii, by w objęciach wieczności, pośród wszystkich tych świętych dusz zająć miejsce z uczuciem wzniosłości i słodkim ukontentowaniem, że aż żal mi się zrobiło owych panów i bogaczy, którym jest obce to szczęście". Ja również nie jestem ignorantem w tym zakresie (pomimo tego, co powiedziałem wcześniej) i wiem, jak zazwyczaj barbarzyńsko i podle nasza szlachta traktuje biblioteki i książki, z jaką obojętnością lub pogardą odnoszą się do tych skarbów, nieocenionych wprost korzyści, jak Ezopowy kogut, który znalazł klejnot w kupie gnoju: a wszystko to przez brak rozeznania, ignorancję i niedokształcenie. Nic więc dziwnego w tym, że tak niebotyczne kwoty przeznaczają na próżne wydatki, te, jak powiedział Erazm, *quot modis pereant magnatibus pecuniae, quantum absumant alea, scorta, compotationes, profectiones non*

necessariae, pompae, bella quaesita, ambitio, colax, morio, ludio [sokoły, charty, sprawy sądowe, okazałe posiadłości, wystawne uczty, pijaństwa, uciechy, zabawy, rozrywki] itd. Jeśli jakiś mędrzec miałby możliwość stanąć przed nimi, aby prosić ich o wspomożenie w rozwoju miejsc takich jak uniwersytet, biblioteka czy jakikolwiek inny przybytek poświęcony nauce, byliby tak temu niechętni, tak nieprzychylni, że prędzej widzieliby już te ośrodki, które istnieją wzniesione i prowadzone z takim wysiłkiem, obrócone w ruinę i zdewastowane lub przeznaczone na zgoła inne cele; bo tak pomstują na nie, tak żałują swojej hojności na tego typu przedsięwzięcia; i byłoby próżnym, jak to słusznie stwierdził Erazm, *vel ab his, vel a negotiatoribus qui se Mammonae dediderunt, improbum fortasse tale officium exigere* [aby zwracać się z prośbą do tego typu ludzi, którzy są zbyt oddani bogactwu, aby mogli wspomóc takie cele]. Jeśli o mnie chodzi, to żal mi tych ludzi, *stultos jubeo esse libentur* [niech głupcy zostaną w swojej gromadzie].

1.4

Źle jest czytać zbyt wiele, ale przecież gorzej jeszcze być niewykształconym głupcem. Głupcy, niestety, nie „pozostają w swojej gromadzie", ale często się zdarza, że władają tym światem. A głupota (często równoznaczna z szaleństwem, czyli melancholią – ta tożsamość u Burtona pojawia się bardzo często, choć relacje między tymi stanami dalekie są od jednoznaczności i jasności) jest dominującą cechą tego świata. I znów, jak to często w *Anatomii* bywa, jest jednocześnie przyczyną melancholii i jej skutkiem: Burtonowska diagnoza, jak widać, często przyjmuje postać takiego błędnego koła.

Zelotipia

Gdy niedouczony głupiec zajmuje honorowe miejsce, ludzie go biorą za rozumnego, poważnego i mądrego. „Bywa, że za pracę" (jak pisze Cardano) „niewartą nawet dziesięciu koron ktoś otrzymuje ich tysiąc, podczas gdy ten, który zasługuje na tysiąc, nie dostaje nawet dziesięciu". *Solarium non dat multis salem* [wielu ludziom płaca nie wystarcza nawet na sól]. Dobre konie zaprzęga się do furmanki jak do karety. A zdarza się, potwierdza to Machiavelli, że *Principes non sunt qui ob insignem virtutem principatu digni sunt* [książętami zostają nie ci, którzy są do tego predysponowani], a najświetniejszym brak godnego zajęcia; ten, kto z racji kompetencji może być sternikiem, nie posiada statku, a temu, kto władać by mógł państwem albo i światem całym, zasiadać na tronie, braknie okazji do doskonalenia swoich zdolności. I on nie jest dopuszczony do choćby podrzędnego urzędu, chociaż nadaje się do zarządzania królestwem, *etsi careat regno*, nie dysponuje nim, a jest do tego powołany bardziej niż „ów, który je posiada, a nie potrafi nim władać". Lew nie zawsze podlega swojemu nadzorcy, ale zdarza się, że nadzorca swemu lwu; jak to ujmował Polidoro Virgili, *multi reges ut pupilli ob inscitiam non regunt sed reguntur* [nad wieloma królami z racji ich ignorancji trzeba sprawować kontrolę jak nad uczniakami, zamiast pozwalać im sprawować władzę]. Hieron z Syrakuz był dzielnym królem, ale nie miał swego królestwa; a znów Perseusz Antygonida był królem tylko z racji posiadanego tytułu, jednak nie umiał władać państwem: często bowiem źle zarządza się wspaniałymi ziemiami i nie szanuje się tych, którzy są tego warci. Bywa też, że niewolnik ma więcej kompetencji niż pan, któremu służy, co Epiktet uważa za sytuację niesmaczną i niegodną. Ale co można poradzić? Stało się to w naszych czasach powszechne, że najzwyklejszy zuchwały osioł, niedouczony, niegodny, bezproduktywny, stawiany jest wyżej niż lepsi od niego, bo potrafi się przed nich wysforować, bo wydaje się znaczniejszym, niż jest, rozpycha się w świecie, ma odpowiednią powierzchowność, umie grać na zwłokę, zjednywać sobie ludzi, rozsiewać pogłoski albo też ma w zanadrzu przyjaciół bądź pieniądze, podczas gdy bardziej dyskretny, skromny, lecz zasługujący

na uznanie człowiek pozostaje niezauważony lub znosi odrzucenie. Erazm, Melanchton, Lips, Guillaume Budé i Cardano żyli i umarli w biedzie. Natomiast ten stary dureń Gesner, *baculo innixus* [opierający się na swojej lasce], przebywał w gronie wszystkich tych sapiących kardynałów, tych wzdętych biskupów, którymi obrodziły jego czasy, a gdy się gdzieś wyprawiał, to tylko na bogato ornamentowanym czapraku. Ludzie nie przedkładają ponad inne cechy ani uczciwości, ani uczoności czy renomy, ani nawet mądrości. „Wyścigu nie wygrywa się szybkością, a bitwy siłą", ale, jak powiedział mądry człowiek, za sprawą przypadku, często zresztą absurdalnego: *Casus plerumque ridiculus multos elevavit*. Te postępki fortuny, które, jak mówią, skłoniły umierającego Brutusa do zawołania: *O misera virtus! ergo nihil quam verba eras, atqui ego te tanquam rem exercebam, sed tu serviebas fortunae* [o, marna cnoto, jesteś pustym pojęciem. Brałem cię za prawdę, a ty byłaś zwykłą niewolnicą fortuny]. Uwierzcie mi, drodzy przyjaciele: cnota służy fortunie. Niech was (moje czyste dusze) nie zniechęca to, co tu powiedziałem, bo wszystko może się potoczyć inaczej, choć przyznaję, rzadko się tak zdarza.

1.5

I głupca, i mądrego (zbyt mądrego, zbyt oczytanego) czeka taki sam koniec. W tej encyklopedii świata zdarzają się i takie oczywistości; bez banału byłaby przecież znacząco niekompletna, wybrakowana, fałszywa. Stąd i te fragmenty o nieuniknioności śmierci. Ale i tu Burton nie zatrzymuje się na banale: omija go, żeby pokazać (chociaż delikatnie odsłonić) społeczny czy zbiorowy wymiar śmierci, jej rytuały i sposoby zadawania. Ale jest też inny zbiorowy wymiar śmierci – bo ta jednostkowa, ludzka skończoność jest też cechą świata, który – wzorem delikatnego i poddanego zagładzie człowieka – zmierza do swojego nieuchronnego końca.

1.5.1

Nigdy nie jesteśmy bardziej ukontentowani i wolni od trosk jak podczas snu, a przecież śmierć, którą od siebie odsuwamy i na którą tak utyskujemy, jest niczym innym, tylko wiecznym snem; czemu więc, pyta Epikur, wywołuje w nas takie przerażenie? „Dopóki jesteśmy my, śmierć nie istnieje; kiedy jest śmierć, nas już nie ma": nasze życie jest i dla niego, który żył najharmonijniej, nudą i udręką; „narodziny są boleścią, życie jest cierpieniem, a śmierć mozołem": chociaż śmierć kładzie kres naszej niedoli, to jednak nie widzimy w niej wybawienia; tuż przed wypiciem swojej porcji *cicuta* [cykuty] Sokrates pożegnał pogodnie Ateńczyków, kończąc swoją przemowę takim zdaniem: „Mój czas dobiega końca, mnie pora umierać, a wam żyć; ale co jest lepsze, Bóg jeden tylko wie". Bo nie ma takiej przyjemności, której nie towarzyszyłby smutek, za którą nie postępowałby żal. „Jeśli posilam się obficie, grozi mi choroba i nadmiar; gdy zaś mizernie, wówczas głód i pragnienie pozostają niezaspokojone; ani nie służy mi obfitość, ani post; gdy żyję uczciwie, płonę pożądaniem"; bez przyjemności dręczę się, przymieram głodem i krzywdzę moje ciało i moją duszę. „Z takiej

drobnej radości tyle wynika smutku! po tak mizernej przyjemności tyle przychodzi boleści!" Równie dla mnie nieznośne są i pobudka, i zasypianie, tak spożywanie mięsa, jak i jego zdobywanie; troski i spory znaczą całe moje dni, a lęki i wątpliwości naznaczają całe życie. Dlaczego przy moim wielkim rozżaleniu miałbym się tak trzymać życia? Szczęśliwa śmierć położy kres wszystkim naszym niedolom i mękom; *omnibus una meis certa medela malis* [oto jedyne skuteczne lekarstwo na wszystkie moje niedomagania]; czemu nie mielibyście w swoim stanie powtórzyć za Symeonem Starcem: „O, Panie, teraz pozwól odejść słudze Twojemu w pokoju"? albo za św. Pawłem: „Mam pragnienie, by odejść i być razem z Chrystusem"? *Beata mors quae ad beatam vitam aditum aperit,* oto błogosławiona godzina, która nas wiedzie do błogosławionego życia, bo błogosławieni są ci, którzy umierają w Panu. Ale życie jest słodkie, a śmierć sama w sobie nie tak straszna jak to, co jej towarzyszy: paskudne choroby, ból, groza itd., a także jej natura: powieszenie, łamanie kołem, spalenie na stosie. Hiszpański heretyk Miguel Serveto, którego skazano w Genewie, kiedy został przyprowadzony na stos i zobaczył kata z pochodnią w ręku, *homo viso igne tam horrendum exclamavit, ut universum populum perterrefecerit,* zaryczał tak głośno, że przestraszył zgromadzony tłum. Starożytny stoik odniósłby się do takiego zachowania ze wzgardą. Niektórzy natomiast martwią się o swój pochówek:

Non te optima mater
Condet humi, patriove onerabit membra sepulchro;
Alitibus linguere feris, et gurgite mersum
Unda feret, piscesque impasti vulnera lambent.

Rodzice nie powinni pozwolić, by tobie
Przypadło to miejsce we wspólnym przodków grobie;
Niech dzikie ptactwo żre to, co z ciebie zostało,
Niech szczęki ryb szarpią twe utopione ciało.

Jak Sokrates powiedział Kritonowi: nie obchodzi mnie wcale, co ze mną zrobią po śmierci; *facilis jactura sepulchri* [mała to ofiara nie mieć grobu]; kiedy nic nie odczuwam, nie zajmuje mnie to; niech sobie nawet umieszczą moją głowę na najwyższym szczycie Teneryfy, a moje członki w czterech częściach globu, *pascam licet in cruce corvos* [niech wisząc na krzyżu, będę strawą kruków], niech mnie zeżrą wilki albo niedźwiedzie; *caelo tegitur qui non habet urnam*, tego, kto nie ma grobu, przykrywa sklepienie niebieskie.

1.5.2

Nie da się uciec od tego, żeśmy wszyscy śmiertelni, więc także ci wszechwładni bogowie czy książęta „umierają jak ludzie": *involvit humile pariter et celsum caput, aquatque summis infima* [dotyczy to tak wyniosłego, jak i skromnego; najwyższego rangą zrównuje z najniższym]. „O, marna jest kondycja ludzkiego rodzaju!", woła Sylwiusz: Władysław, król czeski, w wieku lat osiemnastu, w rozkwicie młodości, potężny, bogaty, beztroski i szczęśliwy pośród kompanii przyjaciół, otoczony gronem medyków i szykujący się właśnie do małżeństwa, po trzydziestoszesciogodzinnej chorobie umiera. Prędzej czy później wszystkich nas czeka śmierć; tak Calliopeius w swojej komedii rozstaje się ze swoimi widzami: *Vos valete et plaudite* [żegnam was, moje odejście nagrodźcie brawami], *Calliopeius recensui*, porzucamy cię, świecie (*exit* Calliopeius), by po odegraniu swojej roli na zawsze zniknąć. Nagrobki i pomniki czeka ten sam los, *data sunt ipsis quoque fata sepulchris*, królestwa, prowincje, miasteczka i metropolie mają swój wyznaczony czas, a później ziemia je pochłania. W czasach rozkwitu Troi Mykeny były najwspanialszym miastem Grecji, wręcz *Graeciae cunctae imperitabat* [rządziły całą Grecją], ale i je, jak kiedyś asyryjską Niniwę, czekała zagłada; podobny los przypadł w udziale egipskim i beockim Tebom, Delos, *commune Graeciae, conciliabulum*, domowi wszystkich Greków, a także Babilonowi, najokazalszemu miastu pod słońcem, po którym zostały tylko miejskie mury i rumowiska. *Quid Pandioniae restat nisi*

nomen Athenae? [Co zostało ze starożytnych Aten poza nazwą?] Tak żalił się Pauzaniasz. I gdzie teraz jest Troja, Persepolis, Kartagina, Cyzyk, Sparta, Argos, gdzie reszta greckich miast? Syrakuzy i Agrigento, najwspanialsze miasta Sycylii, które, zdarzało się, że zamieszkiwało 700 000 ludzi, dziś są obrócone w gruz i jedyne, co po mieszkańcach zostało, to imiona Hierona i Empedoklesa. Spośród wszystkich Scytów jeden Anacharsis został zapamiętany; cały świat, jak i każdą jego część musi spotkać koniec.

Część druga

Skrupulatna sekcja depresji

2.0

Wszyscy jesteśmy pomyleni – mówi Burton. Diagnoza bolesna, ale przecież, niestety, niebezpodstawna; podstawa dowodowa, jak to u Burtona, znajduje się w literaturze (od Biblii i Hipokratesa zaczynając, na jemu współczesnych kończąc) i w życiu (czyli w rezultatach jego bystrych obserwacji – także samego siebie). Świat się w swoich podstawowych wyróżnikach nie zmienia, a one – te niezmienniki – bez wyjątku są złe. Ich niezmienność jest najgorszą diagnozą, bo człowiek jest częścią tego błędnego koła, którego frywolnych obrotów nie uda się już raczej zatrzymać, zabrnęliśmy za daleko: wady (i świata, i człowieka) są stałe, świat tworzy ułomnego człowieka, człowiek tworzy wadliwy świat (albo: jego ułomność intensyfikuje) i sprowadza na świat bardziej jeszcze ułomnych ludzi, którzy znów dokładają swoje do niedostatków świata, i tak dalej to się toczy, i będzie toczyć.

Wszyscy jesteśmy szaleni – mówi Burton, a my, czytając akurat tę jego przedmowę, możemy się jeszcze pocieszać, że zmysł krytyka cywilizacji przeważa nad zmysłem anatoma depresji, ale to tylko złuda, fałszywa nadzieja: między tymi postawami i zatrudnieniami nie ma właściwie żadnej różnicy. Jest znów, niestety, harmonia.

Wszyscy jesteśmy chorzy na umyśle – mówi Burton. I nie jest to, jak można by pochopnie stwierdzić, coś, co dzisiaj przyjęło się nazywać stygmatyzacją chorych czy choroby. Nie chodzi nawet o to, że skoro wszyscyśmy chorzy, to przecież nikogo taka diagnoza nie wyklucza (chociaż to oczywiście prawda). Chodzi o to, że chorobę umysłu Burton przedstawia w kontekście zła tego świata. Zło, wielka deprawacja umysłów, które powodują rozprzestrzenianie się zepsucia obyczajów, jest główną może przyczyną melancholii.

Kto zaczyna od tego, że wszyscy jesteśmy zgnębieni, ten musi skończyć na wojnie jako przejawie największego szaleństwa i skutku największego pognębienia. To przypadek *Anatomii* i jej autora, ale bez ryzyka pomyłki da się to podnieść do rangi zasady uniwersalnej. Człowiek, to delikatne i miłujące pokój zwierzę, szykuje dla siebie zagładę. Od melancholii świata do rzezi droga jest niedaleka. Ze wszystkich

konstatacji Burtona ta jest najtragiczniejsza, ale – co jeszcze gorsze – najbardziej może aktualna.

Kogo bowiem omija obłęd, melancholia, pomylenie? *Qui nil molitur inepte*, komu nie szwankuje umysł? Amok, melancholia i obłęd to jedna i ta sama choroba, którą powszechnie określa się mianem delirium. Aleksander, Bernard de Gordon, Jason van der Velde, Savanarola, Guianerio, de Montalto mylnie rozróżniali je *secundum magis et minus* [według stopnia nasilenia], podobnie czynił Psalmista (75:4): „Rzeknę szalonym: nie szalejcie", a był i taki dawny stoicki paradoks: *omnes stultos insanire*, wszyscy bezmyślni są szaleni, ale niektórzy bardziej niż inni. A kto nie jest pomylony, kto jest wolny od melancholii? Czyje nawyki albo usposobienie nie są, mniej lub bardziej, nią dotknięte? Co tyczy usposobienia, to „pognębione usposobienie, gdy trwa długo, rodzi nawyki", mówi Plutarch, a nawyki albo same są chorobą, albo do niej prowadzą. To samo twierdzi w swoich *Rozmowach tuskulańskich* Tulliusz [Cycero]: *omnium insipientum animi in morbo sunt, et perturbatorum*, pomyleńcy są chorzy, tak jak i wszyscy przeżywający umysłowe problemy: bo czym jest niby choroba, jeśli nie, jak to definiował Pierre Grégoire, „rozpadem czy zaburzeniem cielesnej spójności, którą buduje zdrowie": kto więc nie jest chory albo zgnębiony? Czy jest ktoś, kim nie rządzą namiętności, gniew, zazdrość, niezadowolenie, strach albo żal? Komu nie ciąży ta choroba? Jeśli mi tylko przyzwolicie na to, dam wam poznać świadectwa, wyznania i argumenty, które dokażą, że większość ludzi jest dość szalona, aby podjąć pielgrzymkę do Antikyry[1] (jak robiono to w czasach Strabona), czego dzisiejszym odpowiednikiem jest poszukiwanie pomocy w sanktuariach w Composteli, Montaigu czy Loreto; byłoby to nie mniej opłacalne niż wyprawy do Gujany, bo większe jest zapotrzebowanie dziś na ciemiernik niż na tytoń.

O wielkim pognębieniu, melancholii, szaleństwie i pomieszaniu, jakich doświadcza człowiek, mówi Salomon (2:12): „Przetoż obróciłem się do tego, abym się przypatrywał mądrości i szaleństwu, i głupstwu"

itd., a później jeszcze (w wersie 23): „Ponieważ wszystkie dni jego są bolesne, a zabawa jego jest frasunek, tak iż i w nocy nie odpoczywa serce jego". Więc obojętnie, jak będziecie traktować melancholię, bądź to właściwie, bądź, jeśli wola, błędnie, czy jako usposobienie, czy nawyk, przyjemność czy cierpienie, otępienie, niezadowolenie, strach, żal, obłęd albo z każdego stanu po trochu weźmiecie, czy dosłownie to odczytacie, czy metaforycznie, nie ma to żadnego znaczenia. Według Salomona sam śmiech jest już szaleństwem, a św. Paweł mówił: „Smutek według świata sprawuje śmierć". „Serce synów ludzkich pełne jest złego, a iż głupstwo trzyma się serca ich za żywota, a potem idą do umarłych" (Salomon 9:3). A z mądrymi wcale nie jest lepiej (1:18): „Bo gdzie wiele mądrości, tam także wiele zgryzoty, a kto mnoży wiedzę, mnoży też cierpienie". Kaznodzieja powziął nienawiść do życia i do swojej pracy, nic go nie cieszyło (2:17); wszystko bowiem, jak mówił, jest „smutkiem, cierpieniem, marnością i gonitwą za wiatrem". I chociaż był najmądrzejszym człowiekiem na całym świecie, *sanctuarium sapientiae* [świątynią mądrości], aż przepełniony był mądrością, to jednak nie wykorzystuje jej jako argumentu ani usprawiedliwienia swoich czynów. „Zaprawdę, ja jestem bardziej niedoświadczony niż którykolwiek mąż i nie posiadam nawet rozumu pospolitego człowieka" (Księga Przysłów 30:2). Czy są to słowa Salomona, czy też Agura, syna Jakeha, pozostają w mocy. Dawid, człowiek Boży, tak też mówił o sobie (w Psalmie 73:21,22): „Byłem bezrozumnym i tego nie poznałem; byłem jak bydlę przed Tobą"; i innych ludzi za brak rozumu potępiał. Porównuje ich do „zwierząt, koni i mułów bez rozumu". A apostoł Paweł sam siebie w podobnej manierze oskarża (2 Kor 11:21): „Ku waszemu zawstydzeniu moim szaleństwem mówię jak szalony". „Cała głowa jest chora", powiada Izajasz (1:5), „i serce zbolałe"; gorsi są oni niż woły i osły, bo „wół wie, do kogo należy". „Bezrozumni Galatowie, któż was zwiódł?" Jakże często ludzie są etykietowani jako bezrozumni i szaleni! Żadne inne słowo z taką częstością nie pojawia się u ojców Kościoła i teologów; widać po tym, jaki mają stosunek do świata i jak oceniają ludzkie działania.

Dzisiaj myślimy zupełnie przeciwnie i za mądrych z urodzenia uważamy przeważnie tych, którzy pozostają u władzy, książęta, sędziów, możnych, a wszyscy politycy i mężowie stanu tacy przecież muszą być, bo kto odważyłby się twierdzić inaczej? Z drugiej strony nasz sąd jest tak dalece fałszywy, skoro prawdziwych mędrców i ludzi prawych mamy za bezrozumnych. Demokryt dobrze to ujął w swoim liście do Hipokratesa: „Abderyci cnotę biorą za szaleństwo", jak większość ludzi. Powiedzieć ci, czemu tak się dzieje? Fortuna i Cnota, Mądrość i Głupota jako swoje przeciwieństwa walczyły kiedyś na Olimpie; każdy miał przekonanie, że na przegranej pozycji będą Fortuna i Głupota, więc wszyscy im współczuli; okazało się jednak, że było odwrotnie. Fortuna z zasłoniętymi oczami ciskała razy na oślep, nie bacząc gdzie i w kogo uderza, *Aundabatorum instar* [jak oślepieni gladiatorzy] itd. Głupota natomiast w szale i bezmyślności mówiła i działała bez zahamowań. Cnota i Mądrość ustępują pola, a obserwujący te zmagania zwykli ludzie wściekle je wyszydzają; za to podziwiają Fortunę i Głupotę, jak czynią wszyscy ich następcy: od tamtej pory niegodziwcom i głupcom lepiej się powodzi, a w oczach świata zasługują na większą pochwałę. Wielu zacnych ludzi to spotykało: Achisz (Księga Samuela 21:11) postrzegał Dawida jako niepoczytalnego. Wielu innych, w tym i Elizeusz, dzieliło ten los. Ludzie wyśmiewali Dawida: „Byłem jak dziwoląg dla wielu" (Psalm 71:6). I z powodu Chrystusa jesteśmy głupi (1 List do Koryntian 4:10). „Ten, co dla nas, głupich, był pośmiewiskiem, a jego życie mieliśmy za szaleństwo, a śmierć za hańbę" (Księga Mądrości 5:4). Chrystusa i jego apostołów tak właśnie postrzegano. Tak samo wszyscy chrześcijanie w czasach Pliniusza: *fuerunt et alii, similis dementiae* [byli więc i inni równie szaleni] itd., a i później postrzegani jako *vesaniae sectatores, eversores hominum, polluti novatores, fanatici, canes, malefici, venefici, Galilaei homunciones* [szaleni sekciarze, burzyciele ładu społecznego, bluźnierczy rewizjoniści, fanatycy, psy, przestępcy, truciciele, galilejskie karzełki]. To jest powszechne, że mamy uczciwych, religijnych, bogobojnych, świętobliwych i prostolinijnych za idiotów, osłów, którzy odrzucają

kłamstwo, fałsz, zmienność i pochlebstwo, *accommodare se ad eum locum ubi nati sunt* [akceptację stanu, w jakim się urodzili], którzy nie potrafią handlować, kombinować, dbać o swoje korzyści, *patronis inservire; solennes ascendendi modos apprehendere, leges, mores, consuetudines recte observare, candide laudare, fortiter defendere, sententias amplecti, dubitare de nullus, credere omnia, accipere omnia, nihil reprehendere, caeteraque quae promotionem ferunt et securitatem, quae sine ambage felicem, reddunt hominem, et vere sapientem apud nos* [łasić się do swoich opiekunów, uczyć się powszechnych reguł postępowania, skrupulatnie przestrzegać praw, obyczajów, praktyk, entuzjastycznie wychwalać, energicznie bronić swoich racji, przyjmować cudzych opinii, wątpić, wierzyć w cokolwiek, wszystkiego znieść, żywić urazy, przymuszać się do tego, co zapewni im awanse i wysoką pozycję, która to umiejętność czyni każdego człowieka szczęśliwym oraz mądrym podług naszej optyki]; nie potrafią dokonywać rachunku zysków, dawać i przyjmować łapówek itd., ale żyją w bojaźni Bożej i zważają na swoje uczynki. Ale Duch Święty, który potrafi wszystko ocenić lepiej, nazywa ich głupcami. „Mówi szalony w sercu swym" (Psalm 53:1). „Ich droga jest głupstwem" (Psalm 49:13). „Co może być bowiem bardziej szalonego niż za niewielkie przyjemności życia nałożyć na siebie wieczne potępienie?", jak do tego nas przekonywał obok innych autorów i Pierre Grégoire.

Podobnie rzecz się miała z tymi wszystkimi filozofami, których świat darzył podziwem, których dzieła otaczamy taką czcią, a którzy dali wskazania reszcie, jak zdobywać mądrość, z tymi prawodawcami sztuk i nauk, z Sokratesem, według apollińskiej wieszczki najmądrzejszym człowiekiem owych czasów, którego dwaj uczniowie, Platon i Ksenofont, wywyższyli w swoich pismach jako „najlepszego i najmądrzejszego ze wszystkich żyjących, człowieka najwyższej przemyślności i cnotliwości"; podobnie wychwalał go Alcybiades; Achilles był mężem szlachetnym, a przecież Brazydas i wielu innych dorównywali mu; Antenor i Nestor też dorównywali Peryklesowi, tyczyło to wielu; ale nikt współczesny Sokratesowi ani żyjący przed nim czy po nim, *nemo veterum neque eorum qui nunc sunt* [nikt z dawnych ani

współczesnych] nie dorównywał mu i nigdy nie dorówna, a nawet nie zbliży się do niego. Tak samo siedmiu mędrców Grecji, celtyccy druidzi, bramini Indii, egipscy gymnosofiści, perscy magowie, Apoloniusz (zdaniem Filostrata *non doctus, sed natus sapiens*, urodzony mędrzec), Epikur znów takim obdarzany respektem przez swojego ucznia Lukrecjusza:

Qui genus humanum ingenio superavit, et omnes
Perstrinxit stellas exortus ut aetherius sol.

Tak przyćmił wszystkich mądrością własną,
Jak wschodzące słońce sprawia, że gwiazdy gasną.

Albo jak ten szczególnie poważany Empedokles,

Ut vix humana videatur stirpe creatus.

[Że trudno uwierzyć, iż wywodził się z ludzkiego rodu.]

I ci wszyscy, których hiperboliczne pochwały czytamy, jak choćby Arystoteles, który był uosobieniem mądrości, cudem natury, chodzącą biblioteką, jak Eunapios mówi o Longinie, i ci luminarze, giganci zmyślności, którzy są destylatami umysłu, potęgami ducha, orłami szybującymi po niebie, mieszkańcami nieba, którzy zstąpili na ziemię, bogami, bytami duchowymi, latarniami dla świata, opiniodawcami, *Nulla ferant talem saecla futura virum* [żaden przyszły wiek nie wyda takich ludzi], monarchami, fenomenami, zarządcami rozumu, jak *Oceanus, Phoenix, Atlas, monstrum, portentum hominis, orbis universi musaeum, ultimus humana naturae donatus, naturae maritus* [Okean, Feniks, Atlas, giganci, klejnoty ludzkości, panoptika całego świata, najwyższe dzieła ludzkiej rasy, zaślubieni Naturze],

merito cui doctior orbis

Submissis defert fascibus imperium

[ci, którym uczony świat,
jako swoim władcom, składa hołdy.]

To, co o Protagorasie i Gorgiaszu pisał Elian, dałoby się rzec o nich wszystkich, że *tantum a sapientibus abfuerunt, quantum a viris pueri* [moglibyśmy ich nazywać nie mędrcami, ale prędzej już chłopcami], byli bowiem raczej dzieciakami, szkrabami, raczej jastrzębiami niż orłami; debiutanci, ledwo piśmienni, *eunuchi sapientiae* [niemal eunuchy w dziedzinie rozumienia]. I chociaż byli w swoich czasach najmądrzejsi i najbardziej podziwiani, tak ja ich oceniam, jak on oceniał Aleksandra mającego w szeregach swojej armii 10 000 takich właśnie notabli, z których każdy byłby (gdyby tylko objął stanowisko głównodowodzącego) równie waleczny jak on; były w tamtych czasach nieprzeliczone zastępy ludzi mądrzejszych, a żaden nie osiągał pozycji, na jaką zasługiwał. W swojej książce poświęconej mądrości Laktancjusz dowodził, że są durniami, głupcami, osłami, szaleńcami, szafującymi absurdalnymi i śmiesznymi teoriami, pomyleńcami tak wielkimi, że według jego oceny żadna babulinka ani też człowiek udręczony chorobą nie dorównają ich pomyleniu. Demokryt, na którego we wszystkich dziedzinach oddziałał Leukippos, mówił, że pozostawia „dziedzictwo swojej bezmyślności Epikurowi", *insanienti dum sapientiae* [uczonemu w nierozumnej filozofii] itd. Podobnie sądził o Platonie, Arystypie i całej reszcie, nie czyniąc rozróżnienia „pomiędzy nimi a zwierzętami, z tym wyjątkiem, że potrafią mówić". Teodoret z Cyru w swoim traktacie *Graecarum Affectionum Curatio* [O leczeniu greckiej przypadłości] z całą mocą oświadczał, że Sokrates, którego apollińska wyrocznia uznała za najmądrzejszego spośród żyjących i uchroniła od moru, ten, którego hołubiono przez dwa tysiące lat i powstrzymywano się z rzucaniem nań oszczerstw jak na Chrystusa, był *re vera* [w rzeczywistości] niepiśmiennym idiotą, jak nazywał go Arystofanes, albo *irriscor et ambitiosus* [szydercą łasym na pochlebstwa], jak nazywał go jego mistrz

Arystoteles, albo, jak chciał Zeno, *scurra Atticus* [attyckim błaznem], albo też wrogiem, jak mówił Atenajos, wszystkich sztuk i nauk oraz filozofów i obieżyświatów, zadufanym w sobie osłem, formalistą; a jeszcze na swój sposób, jak twierdzi Teodoret, sodomitą, ateistą (o tym samym zapewnia Anytus), *iracundus et ebrius, dicax* [furiatem, pijakiem i kłótliwcem] itd.; wedle opinii Platona to hulaka i potężny chlejus; to on ze wszystkich był najcięższym pijaczyną, a w swoich słowach i działaniach największym szaleńcem. [...]

Bośmy wszyscy, *ad unum omnes* [co do jednego], obłąkani, *semel insanivimus omnes* [wszystkich dopadło szaleństwo choćby raz], nie, nie raz, ale zawsze, *et semel, et simul, et semper* [i raz, i równocześnie, i zawsze], zawsze i całkowicie, tak jak w jego przypadku; jednak nie powiemy, że to *senex bis puer, delira anus* [starzec w swoim ponownym chłopięctwie, zbzikowana starowinka], bo to dotyczy nas wszystkich, żeśmy *semper pueri* [zawsze niedorostki], tak młodzi, jak i starzy, wszyscy pomyleni, o czym zaświadcza Laktancjusz na podstawie Seneki; żadnej różnicy nie ma między nami i dziećmi, oprócz tego, że *majora ludimus, et grandioribus pupis,* one bawią się szmacianymi laleczkami i podobnymi zabawkami, a my dla rozrywki używamy drogocenności. Nie możemy potępiać ani oskarżać się nawzajem, bo każdy z nas jest winny, *deliramenta loqueris,* każdy wygaduje bzdury, czy, jak to Demea, który zasłużył na wymówki Mitia[2], *insanis, aufer te* [szaleńcze, wynocha!], wszyscy jesteśmy szaleni, tak że trudno powiedzieć, kto z nas najbardziej. Powiedziałbym nawet, że to uniwersalna prawda: *Vitam regit fortuna, non sapientia* [życiem rządzi przypadek, a nie mądrość].

♂☽♂.♄☿♂.
Maniacus .

Kiedy Sokrates podjął trud znalezienia człowieka rozumnego, rozpytując w tym celu wśród filozofów, poetów, artystów, musiał na koniec stwierdzić, że wszyscy ludzie są głupcami; i chociaż wywołało to w nim gniew i znaczne rozgoryczenie, nie ukrywał tego przed nikim. Gdy Supputius, bohater dialogów Pontana, zjechał całą Europę, by dyskutować z mędrcami, powrócił do domu bezowocnie, nie znalazłszy ani jednego. Zgadza się z nim Cardano: „Rzadko kto (na ile mogę sądzić) posiada rozum". To samo mówi Tulliusz Cyceron: „Wszystko, jak widzę, czyni się głupio i bezmyślnie".

Ille sinistrorsum, hic dextrorsum, unus utrique
Error, sed variis illudit partibus omnes.

Ten w lewo, a ten w prawo w nieustannym pędzie,
Lecz obaj tkwią w jednakim błędzie.

Wariują wszyscy, ale *mania gar pasin homoia*, nie wszyscy tak samo. „Jeden jest chciwy, drugi lubieżny, trzeci jest żądny sławy, a czwarty znów zawistny" itd., jak obraz stoika Damazypa oddał poeta:

Desipiunt omnes aeque ac tu.

Ci, którzy cię obciążają głupoty brzemieniem,
Podobny mogą sobie tytuł dodać przed imieniem.

Każdy z nas boryka się z taką wrodzoną przypadłością, odbywa się tu istne *seminarium stultitiae*, seminarium głupoty, która „jeśli ją podsycać i napędzać, plenić się będzie *in infinitum*, a i ciągle zmieniać, skoro każdy z nas jest z osobna jej oddany", powiedział Baldassare Castiglione: i nie da się jej łatwo wykorzenić, bo wczepiła się solidnie w grunt, jak twierdzi Tulliusz, *altae radices stultitiae* [głęboko sięgają korzenie głupoty], a my trwamy w tym, w czym wyrośliśmy. Mówi się, że są dwie główne wady myślenia, błąd i ignorancja, do których

wszystkie inne da się sprowadzić; ignorancja sprawia, że nie znamy niezbędnych spraw, a na skutek błędu rozumiemy je niepoprawnie. O ile ignorancja oznacza brak, o tyle błąd objawia się jako rzeczywiste działanie. Z ignorancji bierze się występek, natomiast z błędu herezja itd. Ale obojętnie, ile rodzajów głupoty się znajdzie, a możecie sobie tworzyć ich zbiory i podzbiory, rzadko kto jest od niej wolny, rzadko kogo ona w ten czy inny sposób nie dotyka. *Sic plerumque agitat stultos inscitia* [głupi padają ofiarą własnej ignorancji], czego dowie się ten, kto bada uczynki tak własne, jak i innych ludzi.

Lukian zmyślnie przedstawia, jak to Merkury kiedyś zabrał Charona w miejsce, z którego można naraz ogarnąć wzrokiem cały świat; i kiedy ten już mu się dokładnie przyjrzał, Merkury chciał wiedzieć, co też takiego zaobserwował: Charon powiedział, że widział wielką mnogość i różnorodność ludzi, ich siedziby jak kopce, a ich samych jak mrówki, „zobaczył miasta jako rojowiska pszczół, które, posiadając żądła, tylko żądliły się wzajemnie, niektóre były wielkie jak szerszenie i dominowały nad resztą, inne znowu jak złodziejskie osy, inne jeszcze jak trutnie". Nad głowami ludzi wisiał splot niepokojów, nadziei, gniewu, złości, chciwości, niewiedzy itd., a do tego mnóstwo różnych chorób, które wciąż na siebie ściągali. Niektórzy wszczynali awantury, niektórzy się ze sobą ścierali, inni dokądś gnali, *sollicite ambientes, callide litigantes* [żarliwie się wadzili, przebiegle spierali] o bzdury i drobnostki, ulotne błahostki; ich miasta i prowincje rozsadzały wewnętrzne spory, bogaci występowali przeciw biednym, biedni przeciwko bogatym, wielmoże przeciw rzemieślnikom, a ci znów przeciw wielmożom, co dotyczyło też całej reszty. Podsumował ich wszystkich jako szaleńców, głupców, idiotów, osłów: *O stulti, quaenam haec est amentia?*, głupcy! szaleńcy!, wykrzykiwał, *insana studia, insani labores*, szalone dążenia, szalone czyny, och, obłąkani, obłąkani, obłąkani, *O saeclum insipiens et infacetum*, o, czasy zupełnego pomieszania! Wielki filozof Heraklit, podjąwszy poważny namysł nad ludzkim życiem, wybuchał płaczem i nie mógł przestać lamentować nad jego nędzą, szaleństwem i głupotą. Za to Demokrytowi życie ludzi wydało się tak absurdalne, że wybuchał

śmiechem, i jako że nie mógł powstrzymać swojej ironicznej furii, obywatele Abdery, uznawszy, że zwariował, wyprawili posłańców do sławnego lekarza Hipokratesa, żeby ten, wykorzystując swoje zdolności, jakoś mu pomógł. Historię tę przedstawił Hipokrates w swoim liście do Damagetosa, który tu, jako że ma on ścisły związek z tą opowieścią, przytoczę niemal dosłownie według słów Hipokratesa wraz ze wszystkimi okolicznościami, które ten opisał.

Gdy Hipokrates przybył do Abdery, mieszkańcy wyszli mu gromadnie na spotkanie, a część z nich zanosiła się łzami, część błagała jego pomocy. Po tym, jak się nieco posilił, w towarzystwie zdążających za nim ludzi wybrał się zobaczyć z Demokrytem i zastał go (tak jak poprzednio) samotnego w jego ogrodzie na przedmieściach, kiedy „siedział na kamieniu pod platanem, nieobuty, trzymający na kolanach książkę, a jednocześnie dokonujący sekcji kilku zwierząt, czym był bardzo pochłonięty". Ciżba zgromadziła się wkoło, chcąc posłuchać ich, gdy będą konferować. Hipokrates po krótkim odpoczynku zwrócił się do Demokryta po imieniu z pozdrowieniem, na które ten odpowiedział nieco zawstydzony faktem, że nie odwdzięcza się tym samym, jakoby już zapomniał imienia swojego gościa. Hipokrates zapytał go, co robi, a on odpowiedział, że „jest zajęty sekcją zwierząt, co ma mu pomóc odnaleźć źródło obłędu i melancholii". Hipokrates pochwalił jego studia, z podziwem obserwując jego szczęście i spokój. A dlaczego, zapytał Demokryt, ty nie zaznajesz spokoju? Bo zaprzątają mnie, odpowiedział Hipokrates, obowiązki domowe, które winien jestem rodzinie, bliźnim, przyjaciołom; trapią mnie wydatki, choroby, słabości, śmierci; a są jeszcze żona, dzieci, służba i wszystkie zajęcia, które zajmują mi czas. Gdy to mówił, Demokryt zarykiwał się ze śmiechu (podczas gdy jego przyjaciele i gapie płakali i lamentowali nad jego szaleństwem). Hipokrates zapytał o przyczynę jego śmiechu.

Ten odpowiedział mu: „Bawi mnie marność i szaleństwo czasów, w których dane mi widzieć ludzi stroniących od szlachetnych działań, a w zamian goniących za złotem i nieznających miary w swoich

ambicjach; trudzących się dla tej odrobiny chwały i sławy; tylekroć drążących w ziemi kopalnie w poszukiwaniu kruszcu, który tak rzadko znajdują, tracąc przy tym swoje fortuny i marnując życie. Jedni ekscytują się gończymi psami, inni końmi, a inni jeszcze poważaniem, jakim się ich darzy w wielu prowincjach, sami niczego nie poważając. Ludzie z początku zatracają się w miłości do swych żon, żeby w końcu odsunąć je i znienawidzić; płodzą dzieci i poświęcają wiele wysiłku oraz majątku ich wykształceniu, żeby je, kiedy dorosną, darzyć pogardą i niechęcią oraz zostawić bezbronne na pastwę świata. Czy to zachowanie nie świadczy o ich bezbrzeżnej głupocie? Ludzie żyjący w pokoju tęsknią do wojny, mierzi ich spokój, chcą obalać królów i na ich miejsce ustanawiać innych, mordować mężów, żeby z ich żonami płodzić dzieci. Ile w ludziach mieści się przedziwnych postaw! W biedzie i niedostatku gonią za bogactwem, którym, kiedy już je zdobędą, nie potrafią się cieszyć, ale skrywają je pod ziemią albo marnują na głupstwa. Och, uczony Hipokratesie, śmieję się z takich uczynków, a jeszcze bardziej z tego, że nie wynika z nich żadne dobro, że ich cel jest tak nikczemny. W ludziach tych nie znajduję żadnej prawości ani uczciwości, bo co dzień stają przeciwko sobie, syn występuje przeciw ojcu i matce, brat przeciwko bratu, tak samo czynią krewni i przyjaciele; a to wszystko dla bogactw, których przecież nie zabiorą ze sobą do grobu. A mimo wszystko mieszają się wzajemnie błotem, a nawet mordują, łamią prawo, urągają bogom i ludziom, gardzą przyjaciółmi i ojczyzną. Przywiązują wielką wagę do bzdur, w których widzą ważną składową swojego bogactwa, do tych obrazów, rzeźb i innych ruchomości, które ich kosztowały tak wiele pieniędzy i zachodu, że zda się, iż brakuje jeszcze tylko tego, by do nich przemawiały, a jednocześnie nienawiścią darzą żywych ludzi, którzy do nich mówią. Inni gustują w trudach; jeżeli żyli na stałym lądzie, przeprowadzają się na wyspę, a później z powrotem na ląd, bowiem brak ich pragnieniom jakiejkolwiek stałości. Na wojnie prezentują siłę i męstwo, a dają się pokonać żądzy i chciwości; krótko mówiąc, są tak poszkodowani na umyśle, jak Tersytes[3] był na ciele. Myślę sobie, że nie

powinieneś, prześwietny Hipokratesie, ganić mojego śmiechu teraz, kiedy ci pokazałem głupotę gatunku ludzkiego; nikt nie drwi z głupoty własnej, a widzi jedynie cudzą, stąd tak łatwo ludzie pokpiwają z siebie nawzajem. Pijak wyzwie od żarłoków tego, o którym wie, że nie pije. Jedni cenią wyprawy morskie, a inni swój kawałek pola; i tak oto trudno im się ze sobą dogadać co do własnych źródeł utrzymania i kompetencji, a co dopiero powiedzieć o życiu i uczynkach".

Gdy Hipokrates wysłuchał tych wypowiedzianych bez jakiegokolwiek wyrachowania słów, które opisywały marność świata i ukazywały jego niekonsekwencje, odpowiedział: „To konieczność przymusza ludzi do takich zachowań, które bóg, obdarzając ludzi wolną wolą, dopuścił, żeby nie tkwili w bezczynności, bo nic nie jest mu tak wstrętne, jak lenistwo i zaniechanie. A poza tym ludzie, niepewni obrotu człowieczych spraw, nie mają wglądu w przyszłość; nie zawieraliby małżeństw, gdyby znali przyczynę swoich przyszłych wzajemnych niechęci i rozstań; to samo dotyczy rodziców, którzy nie dbaliby z taką pieczołowitością o swoje dzieci, gdyby znali godzinę ich śmierci; gospodarz nie siałby, gdyby sądził, że siew nie wzejdzie; kupiec nie wypływałby w morze, gdyby przewidział, że statek pójdzie na dno; człowiek nie pchałby się na urząd, gdyby wiedział, że go straci. A tak jest, że, niestety, czcigodny Demokrycie, każdy łudzi się nadzieją i aż do chwili jej ostatecznego pogrzebania robi swoje, więc żadnej tu przyczyny czy okazji do szyderczego śmiechu nie ma".

Demokryt, usłyszawszy te marne argumenty, wybuchnął znów śmiechem, bo uświadomił sobie, że Hipokrates musiał go opacznie zrozumieć i nie przeniknął jego wywodu dotyczącego niepokoju oraz psychicznej równowagi. „Owszem, gdyby ludzie w swoich działaniach pozostawali we władzy rozwagi i przezorności, nie byłoby powodu, by uważali się za pomylonych, jak to ma miejsce teraz, a i ja nie miałbym się z czego śmiać; jednak panoszą się w życiu, jakby byli nieśmiertelni, półboscy, czego przyczyną jest brak rozumności. Wystarczającą mądrość by im przyniosło już samo zrozumienie ciągłej zmienności

świata, jego wiecznych obrotów, niestałości i niepewności rzeczy. Raz się jest na górze, raz na dole, raz po tej stronie, a zaraz po tamtej; jako że tego nie pojmują, co i rusz pakują się w kłopoty, goniąc za czymś, co nie przynosi im pożytku, a pragnąc tego, zmierzają prosto w sidła wielu nieszczęść. Gdyby więc ludzie zabiegali tylko o tyle, ile potrafią udźwignąć, wiedliby satysfakcjonujące życie, a poznanie samych siebie ograniczyłoby ich ambicje, zrozumieliby też, że natura dostarcza wszystkiego pod dostatkiem, przez co powstrzymuje przed pogonią za zbytkiem, próżnościami, które przynoszą wyłącznie żal i krzywdę. Podobnie jak obciążone otyłością ciało jest bardziej podatne na choroby, tak ludzie obarczeni bogactwem są bardziej zagrożeni głupstwami i szaleństwami, wieloma bolączkami i frasunkami. Wielu spośród nich nie bierze pod uwagę, jak potrafią krzywdzić ludzi złe języki, więc, jako że nie dostrzegają tego zagrożenia, z własnej winy sami giną od tej broni. Te oto sprawy (mało powiedzieć, że szalone) dają mi asumpt do śmiechu, bo przysparza mi cierpień wasza pogarda, ale i wasza chciwość, zazdrość, złośliwość, wyjątkowa nikczemność, warcholstwo, nieujarzmiona pożądliwość, intryganctwo i cała reszta niedających się wyplenić wad; jest wśród nich i blagierstwo, i hipokryzja, gdy wzajemną nienawiść przysłaniacie troskliwym wyrazem twarzy, a ulegając wszystkim wszetecznym żądzom, łamiecie każde prawo naturalne i stanowione. Ludzie porzucają swoje zajęcie, żeby po czasie do niego wrócić, czy to na roli, czy na morzu, by znów dać sobie z tym spokój, bo są kapryśni i niestali. Kiedy są młodzi, chcą być starzy, a na starość chcą być młodzi. Panujący zalecają życie w zaciszu domowym, a znów wiodący takie życie pragną honorów; dostojnik poleca prywatność, a praktykujący ją pragnie urzędów i posłuchu, jakim się cieszy tamten; i co jest powodem takiego pomieszania, jeśli nie to, że ludzie nie znają samych siebie? Niektórzy znajdują przyjemność w burzeniu, inni w budowaniu, jeszcze inni w łupieniu jednych krajów dla wzbogacenia innych krain i siebie samych. Wszyscy oni są jak pozbawione zdolności sądzenia dzieci albo przypominają dzikie zwierzęta, tyle że zwierzęta są nawet od nich lepsze, jako że zadowalają się tym, co oferuje natura. Czy

ktoś widział, jak lew zakopuje w ziemi złoto albo jak byk wszczyna wojnę o lepsze pastwisko? Odyniec tylko zaspokaja swoje pragnienie albo głód, a gdy napełni brzuch, nie je więcej; ludzie natomiast nie znają w tym miary; podobnie jest z pożądaniem, gdyż zwierzęta parzą się wyłącznie w czasie rui, a człowiek kopuluje bez przerwy, podkopując tym swoje zdrowie. Czy nie skłania do śmiechu ten nieszczęsny głupiec, który cierpi katusze z powodu dziewki, łka i wyje do pokracznej zdziry, bywa, że zupełnie odstręczającej, podczas gdy może wybierać spośród piękności? Czy medycyna zna na to jakieś lekarstwo? Przeprowadzam sekcje tych tutaj biednych zwierząt, żeby w ich ciałach znaleźć znaki chorób, przejawy mizerii i szaleństwa, choć takie badania warto by było, gdyby tylko moja delikatna natura mi na to pozwalała, prowadzić na ludziach: bo to człowiek jest od swojego urodzenia najbardziej żałosną, słabą i chorowitą istotą; jako osesek polega wyłącznie na innych, w dorosłości zapamiętale ćwiczy się w smutku, a na starość staje się znów dzieckiem, tęskniąc za dawnym sobą". Tu przerwał mu goniec, który przyniósł książki, ale Demokryt zaraz wrócił do swego wywodu o powszechnej chorobie umysłu, gnuśności i głupocie. „Jeśli chcecie dowodu, popatrzcie, co się dzieje w sądach albo domostwach. Sędziowie wydają wyroki, kierując się własną korzyścią, i poświęcają niewinnych ludzi, by zadowolić innych. Notariusze zmieniają samowolnie wyroki albo dla zysku gubią dokumenty. Jedni podrabiają pieniądze, inni fałszują wagi. Ludzie znęcają się nad rodzicami i deprawują własne siostry; albo rozsiewają plotki zniesławiające porządnych obywateli, a znów wychwalające nikczemników i podleców. To ten, to inny pada ofiarą grabieży; trybunały tworzą prawo piętnujące kradzież, a same są największymi złodziejami. Jedni odbierają sobie życie, a znów inni żyją udręczeni niespełnionymi pragnieniami. Jedni tańczą, śpiewają, śmieją się i ucztują, gdy inni jęczą, gnuśnieją, opłakują stratę i lamentują, nie mając co jeść, pić i co na siebie włożyć. Jedni dbają o to, żeby ich ciała okazale się prezentowały, jednocześnie umysły mając przepełnione obrzydliwościami. Jedni rozsiewają oszczerstwa i za pieniądze powiedzieliby wszystko; a chociaż sędziowie dobrze

o tym wiedzą, to jednak łapówka sprawia, że przymykają oko i tolerują sfabrykowane dokumenty, występując przeciwko równości wobec prawa. Kobiety stroją się całymi dniami, chcąc się podobać na ulicach, a po domu snują się jak szkarady, za nic mając swoich mężów, którym to przede wszystkim powinny się podobać. Dlaczego więc, widząc ludzi tak niestałymi, ogłupiałymi i nieumiarkowanymi, miałbym się nie śmiać z tych, którzy głupotę biorą za mądrość, tak że nie ma dla nich lekarstwa i nie ma w nich opamiętania?"

Zbliżał się wieczór: Hipokrates pożegnał rozmówcę; i gdy tylko się oddalił, opadli go całą gromadą mieszkańcy Abdery chcący poznać jego zdanie. Odpowiedział im lapidarnie, że pomijając pewne zaniedbania tyczące się ubioru, kondycji i diety, nie ma na świecie człowieka równie mądrego, uczonego i prawego, a oni wszyscy, mając go za szaleńca, ulegli złudzeniu.

Tak właśnie Demokryt oceniał współczesny mu świat i taki właśnie jego śmiech miał powód: zupełnie solidny.

Olim jure quidem, nunc plus Democrite ride;
Quin rides? vita haec nunc mage ridicula est.

Słusznie Demokryt wyśmiewał swoje czasy,
Zupełnie solidny miał powód wtedy,
Jednak jeszcze solidniejszy miałby dzisiaj,
Bo nasz świat przekroczył miary dawnej biedy.

Nigdy nie było tylu powodów do śmiechu co obecnie, nigdy tylu głupców i pomyleńców. Jednego Demokryta nie starczyłoby, żeby obśmiać nasze czasy; dziś potrzebujemy „Demokryta, który by wyśmiewał Demokryta"; jeden kpiarz powinien drwić z innego, jeden szaleniec naśmiewać się z innego: potrzeba nam stentorowego śmiechu Demokryta rozrosłego do rozmiarów Rodyjskiego Kolosa. Bo dziś, jak o dawnych czasach powiedział Jan z Salisbury, *totus mundus histrionem agit*, cały świat się zgrywa; mamy do czynienia z nowym teatrem, nową

sceną, nową komedią omyłek, nową trupą aktorów; *Volupiae sacra* [obrządek świętych uciech], jak to ujął Calcagnini w *Apologiach*, panoszy się po całym świecie, a jego aktorzy są szaleńcami i głupcami, którzy co godzinę zmieniają upodobania albo przyjmują takie, które zaczęły obowiązywać. Kto jest dzisiaj marynarzem, jutro zostanie aptekarzem; kowal zostanie filozofem podczas *Volupiae ludis* [tej celebry kultu rozkoszy]; dzierżącego berło i otoczonego świtą króla w szatach i koronie poprzedza juczny osioł jak jakiegoś furmana itd. Gdyby Demokryt żył w tych czasach, zobaczyłby przedziwne pomieszanie, nową gromadę fałszywych magików, przewodników procesji, osłów kumańskich[4], przebierańców na maskaradzie, mimów, marionetek, strojnisiów, imitatorów, dziwaków, monstra, pomyleńców, zabawowiczy. Wielu z nich jest tym, czym się przedstawia (jeśli prawdą jest to, co czytałem). Po zaślubinach Jowisza i Junony wszyscy bogowie zostali sproszeni na wesele, podobnie jak wielu wielmoży, a wśród nich zjawił się też perski książę Crysalus strojny w złoto i wystawne szaty, otoczony świtą, pan w wielkim majestacie, a jednak osioł. Bogowie, ujrzawszy jego przepych i pańskość, wstali, by zrobić mu miejsce *ex habitu hominem metientes* [oceniając człowieka po jego stroju]; jeden Jowisz przejrzał jego nadęcie, fanfaronadę i próżność, po czym zamienił go wraz z resztą orszaku w motyle: od tego czasu (o ile to jest prawda) w locie mienią się wszystkimi kolorami i przez znawców są nazywane chryzalidami, a to znaczy: złote strojnisie, trutnie, faramuszki, bezwartościowe badziewia. Pełno ich,

> *ubique invenies*
> *Stultos avaros, sycopliantas prodigos.*
>
> [wszędzie napotkasz
> żałosnych głupców i hojnych pochlebców.]

Nie koniec na tym, bo jeszcze znaczny postęp szaleństwa, wybuch pomylenia i marności zobaczyłby Demokryt, gdyby dzisiaj ruszył

w drogę, gdyby mógł opuścić Plutona, żeby zorientować się w nowych obyczajach, jak Charon u Lukiana, na którego drodze leżałyby Moronia Pia i Moronia Felix[5]: pewny jestem, że pękłby wówczas ze śmiechu. *Si foret in terris rideret Democritus* [gdyby Demokryt żył, ale by się śmiał!], *seu* itd.

Pewien rzymski satyryk mniemał, że wszelkie słabostki, głupstwa i szaleństwa są w jego czasach u szczytu swojego natężenia, *Omne in praecipiti vitium stetit* [wszelka niedoskonałość osiąga punkt szczytowy].

Historyk Józef Flawiusz beształ Żydów, swoich krajanów, za to, że są chełpliwi, upubliczniając swoje brednie, oraz że licytują się między sobą, kto jest skuteczniejszy w popełnianych nikczemnościach; ale my przecież większe osiągamy w szaleństwie poziomy, przebijamy ich w nim,

Mox daturi progeniem vitiosorem,

[Wydani przez nas na świat synowie
Gorszych plag sprowadzą mrowie,]

a przyszłe czasy (wiecie, czyje to proroctwo) pogorszą raczej stan rzeczy. Nikt nie zaprzeczy, że z każdym dniem świat się zmienia, *Ruunt urbes, regna transferuntur* [upadają królestwa, miasta znikają] itd., *variantur habitus, leges innovantur* [zmieniają się obyczaje i prawa], jak zauważa Petrarka, odmieniamy języki, zwyczaje, prawa, normy, zachowania, ale przywary, choroby, objawy szaleństwa i głupoty pozostają te same. Jak rzeka, której nurt widzimy, zachowuje nazwę i swoje koryto, ale toczy wciąż nowe wody i *Labitur et labetur in omne volubilis aevum* [będzie płynąć i zmieniać się już zawsze]; czasy się zmieniają i ludzie, ale wady pozostają niezmienne i tak to już będzie; zauważcie, jak dawniej śpiewały słowiki, krakały kruki, muczały krowy, beczały owce, gruchały gołębie i szczekały psy, tak robią to nadal: podtrzymujemy wciąż swoje pomylenie, wciąż zgrywamy głupich, *nec dum finitus Orestes* [a gra się jeszcze nie skończyła]; te same nastroje

i skłonności dzielimy z naszymi przodkami; wszyscy jesteśmy, co do jednego, podobni, zarówno my, jak i nasi synowie, *Et nati natorum, et qui nascuntur ab illis* [i dzieci naszych dzieci, i ci, którzy się z nich narodzą]. I tak nasi następcy będą trwać nadal. Ale wróćmy do naszych czasów.

Superstitiosus.

Gdyby Demokryt żył w naszych czasach, gdyby tylko mógł zobaczyć zabobony naszej epoki, nasze religijne szaleństwo, jak to nazywa Meteran, *religiosam insaniam*, wszystkich tych zdeklarowanych chrześcijan, wśród których tak niewielu się znajdzie naśladowców Chrystusa; tyle debat o religii, tyle uczoności, a tak niewiele uczynności; tak wiele wiedzy, tylu jej głosicieli, a tak niewiele wynikającej z tego praktyki; tyle rozmaitych sekt, tyle uroszczeń z każdej ze stron, *obvia signis Signa* [jedne sztandary wzniesione przeciw innym], te absurdalne i cudaczne tradycje i obrzędy: gdybyż mógł spotkać kapucyna, franciszkanina, faryzejskiego jezuitę, człowieka węża, zakutanego w habit mnicha z tonsurą, brata żebraczego, albo ujrzał im zwierzchniego Udzielnego Władcę Jego Wysokość Papieża, po trzykroć koronowanego, ubogiego następcę Piotrowego, *servus servorum Dei* [sługę Bożych sług], który kopniakiem zwala z tronów królów, cesarzom depcze gardła i każe im boso stać u swoich bram albo prowadzić swojego konia, itd. (Gdybyż tylko Piotr z Pawłem mogli to ujrzeć!) Gdyby zobaczył, jak książę pełznie uniżenie, żeby ucałować papieski but, gdyby widział tych purpuratów – niegdyś biednych plebanów, a dziś kompanów książęcych, co na to by powiedział? *Coelum ipsum petitu stultitia* [głupota puka do samych bram niebieskich]. Gdybyż spotkał naszych pątników, którzy na bosaka pielgrzymują do Jeruzalem, do panienki z Loreto, Rzymu, Santiago de Compostela, do sanktuarium Św. Tomasza, aby się płożyć przed tymi toczonymi przez czerwie szemranymi relikwiami; gdyby uczestniczył we mszy i widział te znaki pokoju, pocałunki składane na krucyfiksach, zgarbione plecy i zgięte karki, te ich strojne szaty i obrzędy, wizerunki świętych, rozpasanie, odpusty, czuwania, posty, uczty, krzyżowania, bicie się w piersi, padanie na kolana przy *Ave Maria*, dzwony, te wszystkie *jacunda rudi spectacula plebi* [wyborne przedstawienia ku uciesze plebsu], modlitewne brednie, różańcowe mamrotania. Gdyby zobaczył starowinkę odmawiającą modlitwy po łacinie, widział chlapanie święconą wodą, przechodzące procesje, gdzie

Incedunt monachorum agmina mille;
Quid momerem vexilla, cruces, idolaque culta

[Tysiącami maszerują mnisi
Ze sztandarami, krucyfiksami i świętymi obrazami],

ich brewiarze, bulle, różańce, egzorcyzmy, święte obrazki, osobliwe krzyżyki, bajeczki i ozdóbeczki. Gdyby tylko przeczytał *Złotą legendę* albo turecki Koran, albo żydowski Talmud, te komentarze rabinów, co mógłby sobie pomyśleć? Jak bardzo, waszym zdaniem, byłby wstrząśnięty? Gdyby na przykład chciał przyjrzeć się bliżej życiu jezuity, zobaczyłby hipokrytę rzekomo praktykującego ubóstwo, a w istocie będącego w posiadaniu dóbr i ziem większych, niż ma niejeden książę, z których czerpie nieskończone skarby i dochody; uczącego innych o konieczności postów, a samemu ćwiczącego się w obżarstwie; przypominającego wioślarza, który płynąc, patrzy zawsze w przeciwną stronę. Ślubować czystość, mówić o świętości, a stręczyć tylko i cudzołożyć, być *lascivum pecus* [rozpustną kreaturą], zwykłym capem. Etatowi mnisi, którzy rzekomo wyrzekli się świata i jego marności, są w istocie bandą makiawelistów zainteresowanych wszelkimi sprawami stanu: ich świątobliwości i szerzyciele pokoju ulepieni są z zawiści, pożądliwości, ambicji, nienawiści i złych intencji; podżegacze do zbrodni, *adulta patriae pestis* [dojrzałe zakały ojczyzny], zdrajcy, skrytobójcy, *hac itur ad astra* [tak się wchodzi do królestwa niebieskiego], a to wszystko, żeby zasłużyć na niebo dla siebie i innych. A gdyby z drugiej strony zobaczył naszych uroczych i osobliwych schizmatyków, gardzących wszelkimi obrzędami, którzy prędzej stracą życie, niż zrobią bądź przyjmą coś, co wcześniej przynależało do papistów, nawet jeśli dotyczy to nieistotnych drobiazgów (oni bowiem wyłącznie są prawdziwym Kościołem, *sal terrae, cum sint omnium insulsissimi* [choć są solą ziemi, to jednak ze wszystkich najbardziej mdławi]). Religijni formaliści, ta ciżba kunktatorów, ze zwykłego strachu albo uniżonego lokajstwa jak te metalowe kurki na wieży obracają się z wiatrem, gotowi

przyjąć i praktykować to wszystko, co służyć będzie ich awansowi: jeszcze jedna epikurejska gromada, stado sępów, które czyhają na swoją ofiarę w postaci kościelnych dóbr, skore powstać, gdy kto inny akurat upadnie, jak to Lukian mówił w podobnych przypadkach: co też by Demokryt w tej sytuacji zrobił, czy od tego wszystkiego nie odwróciłby oczu?

Gdyby widział, jak ludzie gnają za jednym osobnikiem ze swojego stada jak owce ciągnione za rogi ku przepaści – niektórzy z gorliwości, niektórzy ze strachu, *quo se cunque rapit tempeastas* [gdziekolwiek ich zapędzi], wierząc we wszystko, a niczego nie sprawdzając, gotowi umrzeć, zanim jeszcze zdołają spełnić się w tych rytuałach, do których nawykli; a inni jeszcze kierowani hipokryzją wysłuchują kazań, biją się w piersi, wznoszą w niebo oczy, odgrywają sceny gorliwości, pożądają odnowy, a są tylko zapamiętałymi lichwiarzami, malkontentami, zwyrodnialcami, dręczycielami, diabłami wcielonymi, by tak to określić.

Co też by on powiedział, widząc, słysząc, czytając o tak licznych krwawych bitwach, takiej liczbie trupów padłych w jednej chwili, o potokach posoki tak wartkich, że zdolne byłyby wprawić w ruch młyńskie koła: *unius ob noxam furiasque* [przez gniewny kaprys jednego człowieka] albo dla zabawy książąt, bez najmniejszego usprawiedliwienia, tylko „dla czczych tytułów" (jak mówi Augustyn) „dla laurów, kobiet lub podobnych błahostek, albo z potrzeby dominacji, z pychy, z okrucieństwa, dla zemsty, powodowani głupotą bądź szaleństwem" (każdy pretekst jest dobry, żeby *ob quas universus orbis bellis et coedibus misceratur* [świat cały utopić w orgii wojny i rzezi]), a w tym czasie panujący siedzą bezpiecznie w domu, otoczeni wszelkimi luksusami zażywają spokoju, gonią za własnymi żądzami, nie zdając sobie sprawy, jakich nieznośnych cierpień doznają biedni żołnierze, mierząc się z ranami, głodem, pragnieniem itp., z makabrycznymi troskami, w jakich trwają męczarniach, nieszczęściu i pognębieniu, które towarzyszą tym wydarzeniom; o tym oni nie wiedzą, nie przyjmują tego do wiadomości. „Wojny wszczyna się za

sprawą poduszczeń paru zdeprawowanych i rozpustnych, słabych i wykolejonych dowódców, pasożytniczych potakiwaczy i rozsierdzonych gwałtowników, niespokojnych reformatorów, nowicjuszy, a to wszystko dla ukojenia złości, żądzy, ambicji, chciwości itd. jednego człowieka"; *tales rapiunt scelerata in praelia causae* [takie oto przyczyny stoją za wojną z jej wszystkimi zbrodniami]. *Flos hominum* [kwiat ludzkości], porządni i wyważeni mężowie, o odpowiednich manierach, zdrowi na ciele i umyśle, a i godni zaufania, są prowadzeni w rozkwicie swoich lat i sił na rzeź jak zwierzęta i bez najmniejszych skrupułów czy żalu poświęcani Plutonowi, ubijani jak stada owiec, rzucani na żer diabłu po 40 000 na raz. Na raz, powiedziałem, co jeszcze byłoby do zniesienia, ale te wojny trwają stale, ciągną się przez stulecia; nic bardziej stałego niż te konnice i sztychy, masakry, morderstwa, spustoszenia ziem – *ignoto coelum clangore remugit* [niebo odbija echem te niezwykłe odgłosy], a oni wcale się nie troszczą o szkody, które wyrządzają, skoro może to przynieść im chwilowe korzyści; będą tak długo podniecali żar sporów, aż cały świat pochłonie ogień. Wojna trojańska ciągnęła się dziesięć lat i osiem miesięcy i pochłonęła 870 000 ofiar po stronie Greków, a 670 000 po stronie Trojan w czasie samej tylko walki, a po zdobyciu miasta kolejne 276 000 zarżniętych mężczyzn, kobiet i dzieci. Cezar zabił milion, a Mehmed II Zdobywca 300 000 osób; Lucius Siccius Dentatus walczył w stu bitwach, a w jednej tylko osiem razy zwyciężał, odniósł 40 ran, 140 razy był odznaczany za męstwo, a dziewięć razy honorowany za wierną służbę. Sergius nosił 32 blizny, a centurion Scaeva nawet nie wiem ile. Każdy naród ma swoich Hektorów, Scypionów, Cezarów i Aleksandrów! Nasz Edward IV walczył w polu podczas 26 bitew: jak wszyscy powyżsi szczycił się tym i przyjmował to za honor. Podczas walk o Jeruzalem 1 100 000 ludzi padło od miecza i głodu. W bitwie pod Kannami poległo, jak odnotowuje Polibiusz, 70 000 ludzi, tyle ile w naszej bitwie pod Hastings; nic nie ma dziwnego w tym, że walczy się już od świtu do zmierzchu, znali to już Konstantyn i Licyniusz, i in. W bitwie o Ostendę (to dopiero szatańska akademia), niewielkie i słabo ufortyfikowane

miasto, lecz wielkie cmentarzysko, 120 000 ludzi straciło tam życie, nie licząc ofiar w miasteczkach, siołach i szpitalach, do których trafili okaleczeni żołnierze; użyto tam machin, prochu i czegokolwiek, co tylko szatan mógł wymyślić ku czynieniu szkody, łącznie z wystrzelonymi 2 500 000 kul o wadze 40 funtów każda i ze stratą trzech lub czterech milionów w złocie. „Kto" (powiada mój autor) „nie byłby przerażony, widząc ich kamienne serca, upór, wściekłość, zaślepienie, gdy bez jakiejkolwiek szansy powodzenia narażają biednych żołnierzy i prowadzą ich na rzeź, co można słusznie nazwać szałem dzikich bestii, który ich bezsensownie wiedzie ku śmierci": *quis malus genius, quae furia que pestis* itd.; jaki dopust, jaka wściekłość sprawiła, że w ludzkim umyśle zakiełkowała tak diabelska, tak brutalna idea jak wojna? Kto przekształcił to delikatne i miłujące pokój stworzenie, przysposobione do miłości, łaski i spolegliwości, w bestię szaloną i wściekłą, która dąży do własnego zniszczenia?

2.1

Dzieło o melancholii, w którym brak teorii czarnej żółci, jest niewiele warte, bo przecież tożsamość tych terminów jest najgłębsza: czarna żółć to greckie *melaina chole*.

Teoria humoralna miała wielką historię i jeszcze większą siłę. Dzisiaj, chociaż wciąż ma swoich przedziwnych wyznawców (ezoteryków, wróżbiarzy, radiestetów, homeopatów), może budzić jedynie podziw dla starożytnych filozofów przyrody: próba zrozumienia ciała była nieudana, ale i tak imponująca. Organizmem miały rządzić humory, czyli płyny fizjologiczne (ciało bowiem dzieliło się – najprościej rzecz ujmując – na to, co stałe, i to, co płynne: komponent płynny zapewniał organizmowi spoistość i umożliwiał kontakt między jego częściami). Choroby natomiast miały się brać z zakłóceń równowagi tych płynnych substancji.

André du Laurens i Hipokrates, mówi Burton, ale powinien powiedzieć raczej: Galen, największy lekarz starożytności; Galen powoływał się w tej kwestii na dwa największe autorytety: Arystotelesa i Platona. I to z ich pojęcia duszy bierze się cały ten podział. Kiedy Burton mówi tu o duszy, ma na myśli pneumę psychiczną, duszę rozumną. Taka jest filozoficzna i fizjologiczna podstawa medycyny, na której się opierał (a trzeba sobie zdawać sprawę, że zachodnia nauka nie rozgryzła jeszcze wtedy tajemnicy krążenia krwi).

Daje tu Burton sygnał wyższości czarnej żółci nad innymi humorami? Tak się wydaje, gdy pisze o tym, że to melancholia (*melaina chole*) równoważy wpływ ciepłych płynów i porządkuje ich istnienie we krwi. Nie ma się co dziwić, bo to jej nadmiar powoduje depresję, a tym się Burton w całym dziele przecież zajmuje.

Istnieją rozliczne możliwości klasyfikacji części ciała; najszerzej aprobowaną jest ta, którą ustanowił André du Laurens za Hipokratesem: na części zawarte i zawierające. Te zawierające to humory, czyli płyny ustrojowe, oraz pneuma.

Humor to płyn albo inaczej ciekła substancja ciała, którą ono zawiera w celu zachowania dobrostanu; jest albo wrodzona, albo pozyskana czy nabyta. Owa zasadnicza a wrodzona, dostarczająca ciału codziennie pożywki nazywanej niekiedy *cambium*, stanowi źródło pochodnych cieczy: *ros* [rosy] i *gluten*, które w niej się zawierają; nabyta zaś, zawierająca w sobie cztery podstawowe humory, bierze się z wątroby, która wydziela chyl, czyli mlecz trawienny. Płyny te dzieli się czasem na dobroczynne i wydaliny. Jednak Johann Craton von Kraftheim twierdzi za Hipokratesem, że te wszystkie cztery ciecze to nie wydaliny, ale soki, bez których żadne żyjące stworzenie nie utrzyma się przy życiu: skupiają się one we krwi, choć każdy posiada własne ukierunkowania, dzięki którym daje się je odróżniać zarówno od siebie nawzajem, jak i od tych, jak to określał Melanchton, humorów toksycznych, szkodliwych i chorobotwórczych.

Krew jest płynem ciepłym, słodkim, umiarkowanym, czerwonym, pochodzącym z żył krezkowych, a tworzonym w wątrobie z najwięcej umiarkowanych ingrediencji mleczu trawiennego, a której zadaniem jest odżywiać całe ciało, aby mu zapewnić siłę i odpowiedni kolor poprzez jej rozprowadzenie naczyniami do każdej części organizmu. Z niej właśnie w sercu formuje się pneuma, która arteriami jest przekazywana do wszystkich członków.

Pituita, inaczej flegma, jest humorem zimnym i wilgotnym, powstającym z chłodniejszego ingredientu mleczu w wątrobie (bądź białego mleczu pochodzącego ze strawionego w żołądku mięsa); jej zadaniem jest odżywiać i nawilżać ruchome członki ciała, aby się nie wysuszyły.

Żółć jest ciepła i sucha oraz gorzka, pochodzi z ciepłych komponentów mleczu, a gromadzi się w woreczku żółciowym: wspomaga naturalną ciepłotę ciała i wszystkie zmysły oraz przyczynia się do wydalania ekskrementów.

Melancholia, czyli czarna żółć, jest chłodna i sucha, gęsta, ciemna i gorzka, i bierze się z najbardziej treściwego składnika pożywienia,

a początek ma w śledzionie; równoważy wpływ dwóch ciepłych humorów, krwi i żółci, które stabilizuje w krwi, oraz odżywia kości. Te cztery płyny stanowią analog czterech żywiołów oraz czterech stadiów życia człowieka.

Do płynów ustroju, prócz tych powyższych, doliczyć jeszcze można surowicę, która jest treścią uryny, a także te humory trzeciego stopnia: pot i łzy.

Pneuma jest natomiast najbardziej delikatnym z ciał lotnych, wydobywa się z krwi i jest instrumentem duszy, za pomocą którego ta może działać; jest łącznikiem lub medium pomiędzy duszą a ciałem, jak to ujmują niektórzy; a inni, jak Paracelsus, mówią, że to czwarta dusza. Melanchton za źródło pneumy uważał serce i twierdził, że stamtąd bierze początek; jeszcze później przekazano tę funkcję mózgowi. Trzy są rodzaje tych pneum, odpowiednio do trzech głównych narządów: mózgu, serca i wątroby; oraz do żywiołów: naturalnego, witalnego i animalnego[6]. Pneumy naturalne biorą się z wątroby i stamtąd roznoszą je żyły, by mogły kierować funkcjami naturalnymi. Pneumy witalne powstają w sercu, z którego transportowane są za pośrednictwem arterii do części ciała; gdy ich ruch ustaje, ustaje też życie, jak w przypadku omdlenia czy utraty przytomności. Pneumy animalne biorą swoje pochodzenie od elementów witalnych, unoszą się do mózgu i stamtąd wędrują poprzez nerwy do wszystkich członków ciała, żeby sprawować nad nimi władzę, zapewniać im czucie i wywoływać ich ruch.

2.2

Opis melancholijnych objawów, wstęp do etiologii wielkiej depresji, zacząć warto od fragmentu, który pokazuje dwie cechy tej przypadłości: nieuniknioność (choroby) i bezradność (wobec niej). Bo nic przed nią w ostatecznym rozrachunku nie zabezpiecza – ani szczęście rodzinne, ani powodzenie w miłości, ani bogactwo, ani wykształcenie; można wymieniać jeszcze długo. I człowiek nie jest zdolny sam (niejako: siłą własnej woli, swoją chęcią) się wyleczyć. Po 400 latach ta wiedza nie dotarła do powszechnej świadomości ludzi, którzy melancholię traktują jako modę albo kaprys (w *Anatomii* ta „nawykowa" melancholia jest odnotowana, pewnie, ale nie o nią jednak chodzi i poświęca się jej szczątkową uwagę, co widać choćby w tym fragmencie: wzmianka jedynie, godna odnotowania, owszem, ale nie rozleglejszych rozważań). A Burton już to wiedział. Wiedział też, że częścią tej choroby i jej trudno dostrzegalnym objawem jest maskowanie smutku; a to, że serce się smuci i podczas śmiechu, można rozumieć na dwa sposoby: człowiek radosny może doznać niespodziewanego ataku rozdzierającego serce żalu, ale i chory w swoim obezwładniającym bólu śmieje się i maskuje tym swoją tragiczną przypadłość.

Melancholia, temat mojego obecnego wykładu, może być albo usposobieniem, albo nawykiem. Jeśli stanowi usposobienie, jest melancholia stanem przejściowym, który mija, by wrócić przy byle okazji, w obliczu żalu, rozpaczy, w chorobie, kłopocie, lęku, żałobie, namiętności czy też przy niepokoju umysłu, jakiejkolwiek trosce, niezadowoleniu albo też myśli, która wywołuje cierpienie, nudę, ociężałość czy rozdrażnienie ducha, wszystko, co przeciwne jest przyjemności, radości, powodzeniu, rozkoszy, co wywołuje w nas opór czy awersję. Używamy tego terminu w tym dwuznacznym i niewłaściwym znaczeniu, gdy melancholikiem nazywamy tego, kto jest pochmurny, smutny, zgorzkniały, nierozgarnięty, nieżyczliwy,

osamotniony czy też w jakiś sposób poruszony bądź niezadowolony. Od takich melancholijnych skłonności żaden człowiek nie jest wolny, nikt nie jest wystarczająco stoicki, nikt dość rozumny, nikt dość szczęśliwy, nikt wystarczająco cierpliwy, hojny, pobożny, uduchowiony, by był się w stanie sam od tego wyzwolić; nikt nie jest na tyle opanowany, by od czasu do czasu i w mniejszym bądź większym stopniu nie poczuć tego bólu. W tym znaczeniu melancholia jest postacią poczucia śmiertelności. „Człowiek zrodzony z kobiety jest skazany na krótkie i pełne trudu trwanie". Ani Zenon, ani Katon, ani nawet sam Sokrates, którego opanowanie tak chwalił Aelian, mówiąc, że „nic nie mogło go wytrącić z równowagi i wychodził oraz powracał z tym samym spokojem na twarzy, jakby żadne nieszczęście nigdy go nie dotykało", także był (o ile możemy wierzyć jego uczniowi Platonowi) udręczony tym uczuciem. Valerius przypisywał największe możliwe szczęście Kwintusowi Metellusowi, który był „człowiekiem cieszącym się wielkim powodzeniem, urodzonym w Rzymie doby największego rozkwitu i wychowanym przez szlachetną rodzinę, spełnionym, wykształconym, dobrego zdrowia, bogatym, honorowym, a do tego senatorem, konsulem, człowiekiem szczęśliwym w małżeństwie i ojcostwie itd.", ale nawet on nie był pozbawiony poczucia melancholii, i jego dotykały smutki. Polikrates z Samos, który cisnął swój pierścień do morza, by móc dzielić z innymi zgryzotę, a niedługo później odzyskał go w cudowny sposób, złowiwszy rybę, która klejnot połknęła, nawet on nie był wolny od melancholijnego usposobienia. Nikt nie jest zdolny sam się uleczyć; nawet bogowie odczuwają w swych sercach nagły ucisk, jak i częste wzburzenie, co wykorzystują ich poeci. W ogólności zaś „podobne do nieba jest nasze życie, niekiedy bezchmurne, kiedy indziej zachmurzone, raz pokryte burzowymi chmurami, a innym razem pogodne; tak jak kwiat, który ma i płatki, i kolce; jak w całym krągłym roku, w którym lato jest niepozorne, a zima sroga, to susza, to znów przyjemne deszcze, tak w naszym życiu przeplatają się radości, nadzieje, lęki, smutki, obrazy". *Invicem cedunt dolor et voluptas* – naprzemienna to seria przyjemności i cierpień.

Medio de fonte leporum,
Surgit amari aliquid quod in ipsis floribus angat.

[Z każdego źródła przyjemności
Tryska i żółć, śniedzieją nasze radości.]

„Serce się smuci i w śmiechu" (jak twierdzi król Salomon): nawet pośród zabawy i wesołości, jak to Augustyn pisze w komentarzu do 41 psalmu, zjawia się żal i niezadowolenie. *Inter delicias semper aliquid saevi nos strangulat* [pośród radości coś nas ściska za gardło]; na każdy kubek miodu przypada beczka dziegciu, na kieliszek przyjemności szklanica bólu, a na centymetr radości metr biadolenia; jak bluszcz oplata dąb, tak smutki spowijają nasze życie. Najbardziej żałosnym i absurdalnym jest, gdy śmiertelnik oczekuje, że jego życie będzie serią szczęśliwych zdarzeń. Nic nie jest na tyle bogate i przyjemne, by nie miało w sobie porcji goryczy, szczypty skargi, krzyny niechęci; wszystko jest *glukopikron* [słodko-gorzkie], nosi w sobie mieszane uczucia, tak jak szachownica jest czarno-biała: poszczególni ludzie, rody, miasta przechodzą swoje upadki i kryzysy; teraz trygon, sekstyl, a później kwadratura i opozycja. Nie jesteśmy jak te anioły, siły i ciała niebieskie, Słońce czy Księżyc, żeby nasz bieg kończyć bez zakłóceń, ani nie posiadamy stałości, by trwać w ten sposób całe wieki: poddani jesteśmy niemocy i boleści, wstrzymywani w biegu i ciskani na wszystkie strony, miotani przez najmniejszy choćby podmuch, popychani i niepokojeni przy każdej nadarzającej się okazji, niepewni i krusi, więc tylko w tym nam pozostaje pokładać ufność. „A ten, komu brak tej wiedzy, nie znajdzie środków na przetrwanie, nie dostosuje się do tego świata (tak oto ktoś smutno ocenia nasze czasy), bo nie zna jego uwarunkowań: tu cierpienie i przyjemność są ze sobą wzajemnie powiązane i następują nieustannie po sobie".

2.3

Encyklopedyczność dzieła Burtona tu się objawia w swojej pełni: to rozdział zatytułowany *Definicja melancholii, jej nazwa i cechy* (dokładniej można powiedzieć: cechy różnicujące, odróżniające depresję od innych przypadłości). Dość długa lista autorów i ich dzieł, w których – jak widać – ówczesna wiedza z zakresu psychologii ściera się z podejściem ściśle medycznym, fizjologicznym, a znów obie te perspektywy pewnie walczą z filozofią (hermetyczną). Brnie tu Burton w sprawy może nazbyt szczegółowe, sam to przecież widzi i przyznaje, ale i to jest zasadą melancholijnego pisania. Zastrzeżeń jest bowiem wiele i zdania autorów trudno ze sobą uzgodnić: te rozbieżności są najoczywiściej częścią pojmowania melancholii od początków jej badania aż do dzisiaj. Szaleństwo? Pomylenie? Tak, ale z wieloma istotnymi zastrzeżeniami. Pozorne drobiazgi są tu istotne.

Drugi fragment to podrozdział *O istocie melancholii*; da się to przetłumaczyć też „o materii" – także w tym dosłownym rozumieniu, bo idzie tu o materialne, dotykalne, fizyczne źródło choroby melancholijnej. Jeśli w pierwszym fragmencie jest gąszcz szczegółów, to co powiedzieć o tym? Feeria kolorów i stanów skupienia opisuje melancholię – nie ma więc od tego obłędu detali ucieczki. Podobnie będzie w kolejnej części (*O typach albo rodzajach melancholii*). Ta z kolei w swojej nadmiernie detalicznej relacji przynosi uniwersalną prawdę – obowiązującą także dzisiaj: istota melancholii, a zatem i diagnoza depresji nigdy nie jest dokładna, a zawsze tylko: wątpliwa, przybliżona, hipotetyczna, skazana na ogólnikowość i niepewność.

2.3.1

Po tej krótkiej analizie anatomii człowieczego ciała i duszy, będącej wstępem do całej reszty rozważań, mogę nareszcie przejść do zamierzonego przez siebie tematu, który dotyczy kondycji większości ludzi; mogę po wielu wahaniach przystąpić do próby wnikliwego opisania melancholii, jej określeń i specyfiki. Miano jej bierze się z istniejącej materii, która jest przyczyną wystąpienia choroby: wedle

Bruela to *melancholia* albo *melaina chole*, albo inaczej czarna żółć. O tym, czy jest ona przyczyną czy skutkiem, samą chorobą czy jej symptomem, niech rozstrzygają Donatus Altomarus i Salwian, ja bowiem nie zamierzam się z nimi o to spierać. Kilka opisów, nazw i określeń ją definiuje. Girolamo Fracastoro w drugiej księdze swojego dzieła o umyśle nazywa melancholikami tych, „których nadmierna frakcja czarnej żółci tak dalece spaczyła, że stali się szaleni i w większości sytuacji, a może nawet we wszystkich, jakie podlegają ich decyzjom, woli i rozumowi, zachowują się jak pomyleni". Melanelius za Galenem, Ruffusem oraz Aecjuszem opisuje ją jako „ciężką i dojmującą chorobę, która zmienia ludzi w zwierzęta"; Galen twierdzi, że bierze się ona z „niedorozwoju bądź infekcji środkowej komory mózgu" itd., wskazując tym samym na dotknięty nią obszar, z czym zgadza się Ercole Sassonia, dodając, że chodzi o „degenerację najważniejszej funkcji mózgu"; a wśród wielu innych także Fuchs, Arnoldus, Guianerio mówią podobnie; Paulus dodaje, że to „za przyczyną czarnej żółci". Ali ibn al-Abbas nazywa to po prostu „zmieszaniem umysłu". Areteusz mówi o „nieprzerwanym bólu duszy zafiksowanej na jednym przedmiocie, jednak bez gorączki", którą to definicję kwestionuje Girolamo Mercuriale, zaś jej trafności z kolei broni Filoteo Elião de Montalto. Powszechnie uważa się, że to „rodzaj pomieszania bez objawów gorączki, któremu zwykle towarzyszą pozbawione jakiejkolwiek wyraźnej przyczyny lęk i smutek". Tak właśnie twierdzą Leurentius, Le Pois, Donatus Altomarus, Giachini, Vallés, Fuchs, których definicję powszechnie się przyjmuje, choć jej przeczą Ercole Sassonia i David Crucius, który twierdzi, że brak jej ścisłości i „opisuje raczej to, czym ta choroba nie jest, zamiast zająć się tym, czym jest", pomijając podstawową różnicę między myślą a mózgiem; ale tu już wchodzę w zbytnie szczegóły. Lecz jej *summum genus* [rodzajem] jest pomylenie, czyli „cierpienie umysłu", jak mówi Areteusz; i jego „najistotniejszych części", dodaje Ercole, by odróżnić melancholię od kurczu czy porażenia albo chorób związanych z degeneracją zmysłów bądź narządów ruchu; mówi się o „degeneracji", co ma odróżnić je od

szaleństwa i pomylenia (które de Montalto odróżnia od *angor animi* [lęku przed śmiercią, rozkładem]), w których to przypadłościach funkcje mózgu nie ulegają degeneracji, a raczej likwidacji; dodaje się również zastrzeżenie: „bez objawów gorączkowych", by nie mylić jej z napadem nerwowym i melancholią związaną z gorączką morową. „Lęk i smutek" odróżniają tę chorobę od szaleństwa i pomylenia; pojawia się wreszcie przesłanka braku „ jakiejkolwiek przyczyny", co ma rozróżnić ją od wszelkich innych przypadków zwykłego „lęku i smutku". Adekwatnie nazywa się to pomyleniem, jak to pojmuje du Laurens, „w przypadku gdy jedna z naczelnych dyspozycji umysłu, czy to wyobraźnia, czy logiczne myślenie, jest zaburzona, jak to się dzieje u każdego melancholika". Obywa się bez gorączki, jako że ten humor, w przeciwieństwie do wywołujących zapalenia, jest chłodny i suchy. Lęk i smutek są prawdziwą naturą i nieodłącznym towarzystwem większości, jeśli nie wszystkich, melancholijnych stanów, jak to określa Ercole Sassonia; niektórym są te uczucia niezmiernie miłe, że stale by się tylko śmiali; niektórzy powracają do zmysłów uwolnieni od lęku i żalu, co później zostanie jeszcze omówione.

2.3.2

W przedmiocie melancholijnej materii panują znaczne rozbieżności pomiędzy Awicenną a Galenem, o czym można przeczytać w *Kontradykcjach* Cardana, *Kontrowersjach* Vallés'a, ale też u Montego, Prospera Calana, Capivaccia, Brighta, Ficina, którzy obszernie o tym pisali w swoich dziełach, poświęcając temu czasem i całe traktaty. „Czym ten humor jest, skąd się uwalnia, gdzie w ciele jest jego źródło, tego ani Galen, ani żaden z dawnych autorów nie przedstawił", jak sądzi Giachini: neoterycy nie podzielają tego poglądu. Giovanni Battista Monte w swoich *Konsultacjach* twierdzi, że melancholia może mieć materialne i niematerialne źródła, podobnie uważa Giovanni Arcolano: do tych pierwszych, naturalnych czy wrodzonych, wlicza się wyżej wspomniany humor; natomiast te niematerialne, czyli inaczej losowe,

nabyte, zbędne, nienaturalne, sfabrykowane, których istnienie Ercole Sassonia sytuuje w obrębie pneumy, są według niego „zaburzeniem o charakterze gorącym albo zimnym, suchym albo wilgotnym, które odmienia funkcjonowanie mózgu". Paracelsus ów podział na cztery humory całkowicie neguje i obśmiewa, ale galeniści w większości go akceptują, przychylając się do opinii Montego.

Materia melancholii przyjmuje postać prostą albo złożoną; jej szkodliwość warunkuje zarówno ilość, jak i specyfika, zmienia się w zależności od miejsca, w którym jest usytuowana, czy to będzie mózg, śledziona, żyły krezkowe, serce, macica, czy wreszcie żołądek; to samo dotyczy stosunku, w jakim zmieszane są z sobą te naturalne albo nienaturalne humory, które inne mają temperatury i inne tworzą mieszaniny. Kiedy naturalna melancholia, która jest zimna i sucha, przepełnia ciało, sprawia, że „przekracza to miarę jego wytrzymałości i zaburza temperaturę", jak twierdzi Faventius, „przez co popada w chorobę"; a i w odmiennym przypadku degeneracji ciała, która ma źródło w owej innej melancholii wywołanej nadmiarem żółci bądź krwi, efekt jest podobny: gdy przyczyną jest podniesienie ciepłoty humorów, materia ta jest, według de Montalta, raczej ciepła i sucha. Jeżeli mamy do czynienia z mieszaniną wszystkich humorów, różnicę między jej rodzajami dostrzegam w kolorze i temperaturze. Galen utrzymuje, że składa się ona wyłącznie z trzech płynów, wyklucza bowiem flegmę zwaną *pituita*, za uznaniem roli której optują jednak i Vallés, i Ménard, a jeszcze Fuchs, de Montalto i Monte. Jak biel (zapytują) może się zmienić w czerń? Jednak Ercole Sassonia i Cardano są po drugiej stronie sporu (może ta przypadłość być wywołana przez flegmę, *etsi raro contingat*, jednak rzadko do tego dochodzi); a Guianerio i André du Laurens, jak i Melanchton w rozdziale o humorach swojej księgi *De anima* nazywa tę substancję *asininam*, głupią, świńską melancholią i, jak twierdzi, był naocznym świadkiem tej choroby; to samo mówi Wecker. Jeden rodzaj przypadłości ma źródło w czarnej żółci, inny znów, który jest najcięższy, w żółci; a inny, najbardziej ogłupiający, we flegmie; a ostatni wreszcie i najłagodniejszy w krwi. Niektóre z nich są zimne

i suche, inne znów ciepłe i suche, a różnią się w zależności od składu mieszaniny: która substancja w niej występuje, a której braknie. Rodericus de Fonseca ustalił, że krew czy surowica zgęszcza się we flegmę, a ta, ulegając zwyrodnieniu, przemienia się w żółć, z której powstaje *aeruginosa melancholia* [rdzawa melancholia] na tej samej zasadzie, jak czyste wino kwaśnieje na ocet, gdy z niego uchodzą najczystsze wyziewy, że staje się cierpkie i ostre; i to właśnie cierpkość tego humoru odpowiada za bezsenność, niepokojące myśli i koszmary senne, itd., co już wcześniej opisałem. Kiedy zaś humor jest chłodny, jak mówi Faventinus, „powoduje pomylenie i daje łagodniejsze symptomy; gdy ciepły, wywołuje amok, niemal szaleństwo albo stan do niego zbliżony". W przypadku ciepłego mózgu żywotne pneumy także są ciepłe; to prowadzi do szaleństwa, któremu towarzyszą gwałtowne czyny, natomiast chłodny mózg wywołuje głupotę i otępienie (wedle Capivaccia). „Kolor tej mieszaniny zmienia się w zależności od jej składu, od tego, czy jest ciepła, czy zimna; stąd raz bywa czarna, a raz zupełnie nie" (to Altomarus). Podobnie dowodził Melanelius, opierając się na Galenie; a Hipokrates w swojej (o ile rzeczywiście to on był autorem) *Melancholii* znajdował analogię w spalaniu węgla, który „rozbłyskuje, gdy jest gorący, a czarny, gdy zimny; tak się rzecz ma z humorami". Ta różnorodność melancholijnej materii generuje różnorodność objawów. Jeśli nie podlega w ciele rozkładowi, wywołuje czarną żółtaczkę; gdy zaś mu ulega, powoduje czwartaczkę; jeśli przedostaje się do skóry, skutkuje trądem; gdy zaś do członków, wówczas jest przyczyną wielu dolegliwości, jak choćby szkorbutu itd. Jeśli jednak obejmie działaniem mózg, wznieca różne rodzaje szaleństwa i pomylenia: ale o tym powiem w swoim czasie.

2.3.3

Czy opisy rodzajów melancholii mogą nie być różnorakie i nieprecyzyjne, skoro rozpoznania jej materii są tak różnorakie i pozbawione precyzji? Wielu dawnych i nowych autorów wypowiadało

się niejasno, myląc ją z szaleństwem, jak to czynili van Heurne, Guianerio, Bernard de Gordon, Salustio Salviani, Jason van der Velde, Savonarola, twierdząc, że szaleństwo jest odmianą melancholii, które różni się od tej właściwej (jak już mówiłem) stopniem nasilenia. Inni jeszcze, jak dawny autor Rufus z Efezu, Konstantyn Afrykańczyk, Areteusz, Aurelian czy Paweł z Eginy, odróżniali je od siebie; inni jeszcze tworzyli obszerne systematyki, ale poszczególnych rodzajów nie dookreślali, jak choćby Aecjusz, Awicenna, Arcolano czy Monte. „Gdy przyrodzona czarna żółć jest rozpalona, wywołuje jeden rodzaj melancholii; z krwi bierze się jeszcze inny; żółć wywołuje jeszcze inny, który różni się od pierwszego; gdy idzie o kategorie tej przypadłości, to tyle jest opinii, ilu ludzi". Ercole Sassonia wyróżnia dwa rodzaje: „materialne i niematerialne; za pierwsze odpowiadają same tylko dusze, a drugie biorą się i z humorów, i z pneumy". Savonarola twierdzi, że rodzajów jest nieskończenie wiele: jeden nazywany z arabska *myrachialis*, czyli brzuszny; inny *stomachalis*, czyli żołądkowy, bo związany z żołądkiem; gdy jeszcze inne wiążą się z wątrobą, sercem, łonem, hemoroidami, a „początek jednego zazębia się z końcem innego". Melanchton mu wtóruje: „Ile wariantów rozgrzania i zmieszania humorów, tyle różnych rodzajów melancholii"; jednak to, co oni nazywają rodzajami, ja postuluję uważać za symptomy; tak właśnie czyni Arcolano: niepoliczalne rodzaje, *id est*, symptomy; w takim też duchu de Gorris w swoich *Pojęciach medycznych* mówi o niezliczonych typach, które da się sprowadzić do trzech rodzajów zależnie od miejsc występowania: głowa, całe ciało, organy wewnętrzne usadowione pod żebrami zwane *hypochondria*. Taki też podział popiera w swojej (o ile, zastrzegam znów, to jego dzieło, jak wielu uważa) księdze o melancholii Galen, ale i Aleksander, Awicenna i większość nowszych autorów. Thomas Lieber wyróżnia zaś dwa rodzaje: melancholię głowy, która jest nieprzemijająca, oraz okresową, z przemijającymi atakami, której wyróżnia dwa typy, więc wychodzi na to samo. Jeszcze inni, jak Rodericus à Castro czy Mercatus, wyodrębniają cztery typy, czasem i pięć, obejmujące przypadłości

mniszek, wdów i dziewic, które mają być odrębnymi od innych rodzajami melancholii: do tego typu wlicza się czasem też chorobliwych fanatyków, ekstatyków, opętanych, natomiast miłosną melancholię przyporządkowując do pierwszej grupy razem z wilkołactwem. Ale najszerzej rozpowszechnionym jest podział na trzy typy. Pierwszy jest wyłącznie skutkiem wady umysłu, stąd jego nazwa: melancholia głowy; drugi bierze się z całego ciała, kiedy jego ciepłota jest melancholijna; trzeci pochodzi od jelit, wątroby, śledziony oraz błony krezkowej zwanej *mesenterium*, i tę nazywa się hipochondryczną lub wiatrową, którą znowuż du Laurens dzieli na kolejne trzy podkategorie pochodzące od trzech narządów: wątrobową, śledzionową i krezkową. Melancholię miłosną, którą Awicenna nazywa *ilishi*, oraz wilkołactwo, które nazywa *cucubuthe*, kwalifikuje się zazwyczaj do rodzaju melancholii głowy; ale o nich, które Gerardus de Solo określa jako *amoreus* [miłosną] i przypisuje przede wszystkim galantom, oraz o melancholii religijnej, *virginum et viduarum* [dziewic i wdów], o których wspominają Rodericus i Mercatus, a także innych odmianach miłosnej melancholii będę mówił oddzielnie w ostatniej części. Przeprowadzę tu anatomiczny rozbiór trzech wymienionych wyżej rodzajów melancholii, będących właściwym przedmiotem tych moich rozważań, opiszę razem i z osobna ich przyczyny, symptomy, metody leczenia, żeby każdy człowiek, którego ta przypadłość w jakimkolwiek stopniu dotyka, mógł je w sobie rozpoznać i dobrać odpowiednie remedium.

Rozróżnienie między tymi trzema rodzajami jest, przyznaję, trudne, podobnie jak i określenie ich przyczyn, symptomów, sposobów leczenia, jako że często plączą się one ze sobą ze względu na podobieństwo, które przejrzeć ledwie mogą nawet najbardziej wnikliwi medycy; a jeszcze często nakładają się na nie inne choroby, że nawet najbardziej doświadczonym specjalistom trudno się w tym znaleźć. Monte daje przykład pacjenta, który cierpiał jednocześnie z powodu melancholii i wilczego głodu; a innemu jeszcze towarzyszyły zawroty głowy; Giulio-Cesare Chiodini donosi o towarzyszących kamieniach, podagrze czy żółtaczce. Vittore Trincavelli wspomina o gorączce, żółtaczce, wilczym

głodzie itd. Paulus Regoline, wielki w swoich czasach lekarz, kiedy poproszono go o konsultację, tak był zdezorientowany, że nie potrafił przyporządkować symptomów do jakiegokolwiek typu melancholii. Trincavelli, Falloppio i Antonio Fracanzani, sławni włoscy medycy, gdy w tym samym czasie badali jeden i ten sam przypadek, wydali trzy różne opinie. Kiedy indziej znów Trincavelli poproszony o diagnozę stanu młodego melancholika stwierdził, że mężczyzna ten z pewnością cierpi na melancholię, ale jej rodzaju nie potrafi ustalić. W siedemnastej ze zbioru jego konsultacji podobny przypadek dotyczy pewnego depresyjnego mnicha. Objawy, które inni przypisywali dotkniętym słabością częściom ciała i humorom, Ercole Sassonia łączy w pełni z zakłóceniem harmonii pneum, które, jak mówiłem, są niematerialne. Czasem niepodobna odróżnić tej choroby od innych. Reiner Solenander zgadza się w swych radach z doktorem Brandem w przypadku melancholii hipochondrycznej. A doktor Matholdus orzekł, że to tylko astma. Gdy do księcia Kleve sprowadzono lekarzy, wśród których byli Solenander i Guarionius, nie potrafili oni rozpoznać typu jego melancholii ani ustalić żadnej wspólnej opinii. Te typy są bowiem tak zawikłane, że Giulio-Cesare Chiodini podczas czterdziestego czwartego badania pewnego polskiego księcia ograniczył się do twierdzenia, że „cierpi on na melancholię głowy, która bierze się z zaburzenia ogólnej temperatury". Mogę też przytoczyć przykłady pacjentów, którzy mieli równocześnie objawy wszystkich trzech rodzajów *semel et simul* [łącznie], albo innych, którzy zapadali na nie po kolei. Przychodzi mi więc problem rodzajów melancholii porównać do tego, co wielu teoretyków polityki twierdzi o czystych formach republiki, monarchii, oligarchii czy demokracji, które rozpowszechnione są w rozważaniach, ale w praktyce spotyka się je rzadko i pod postacią nieczystą, jak w przypadku (o czym świadczy Polibiusz) Sparty, starożytnego Rzymu, dzisiejszych Niemiec i wielu innych państw. Opisy typów choroby, które dają lekarze w swoich książkach, nie są wiele warte, skoro w ciałach ich pacjentów najczęściej występują w zmieszanej postaci. Kiedy więc mamy do czynienia z taką niejasnością, mnogością i pomieszaniem

symptomów i przyczyn, jakże trudnym zadaniem jest rozważanie każdego z typów osobno; jak trudno jest zorientować się wśród tylu przypadków i odmian, gdy rzadko się zdarza, by dwie osoby były dotknięte chorobą w podobny sposób *per omnia* [w każdym aspekcie]. Przyznaję, jest to trudne, a jednak podejmę wyprawę w ten gąszcz zagadek i po nitce, którą stanowią wskazówki najlepszych autorów, zdołam się wydostać z tego labiryntu wątpliwości i pomyłek, by przejść do opisu przyczyn melancholii.

2.4

Gdyby *Anatomia melancholii* była poważnym traktatem medycznym (a nie, jak jest naprawdę, jeszcze poważniejszym traktatem o stanie świata), ta część byłaby pewnie jedną z dwóch najważniejszych: omawia – po kolei i z mozolną dokładnością – cały katalog przyczyn choroby melancholijnej oraz jej objawów, a przez to także wprowadza już do tematu profilaktyki i nawet leczenia. Długa jest to lista i – jak zwykle u Burtona – mieszają się w jej obrębie hermetyczne fantazje, astrologia, wypiski z dzieł medycznych wszystkich epok, obserwacje. Wiele tez jest ryzykownych; każdy najpewniej zwróci uwagę na obszerny fragment, który jest niemal (naprawdę tylko „niemal"?) pochwałą eugeniki. Ale wiele rozpoznań jest niezwykle trafnych, jak choćby ten szokująco aktualny fragment o wpływie jakości powietrza na nasz stan zdrowia. Jednak nie one są tu chyba najważniejsze, niezależnie od ich trafności i prawdziwości – najważniejsze są znów momenty, w których Burton na bazie wiedzy o depresyjnej przypadłości opisuje świat.

2.4.1

Naturalne przyczyny melancholii dzielą się na te pierwotne a uogólnione oraz te wtórne a specyficzne. Do pierwotnych zaliczają się niebiosa, planety, gwiazdy itp., które przez swój wpływ (jak utrzymują nasi astrologowie) wywołują takie, a nie inne skutki. Nie będę teraz próbował spekulować *obiter* [rozstrzygająco], czy gwiazdy są ich przyczyną, czy też zwiastunem; ani nie zamierzam argumentować za astrologią. Skoro Sekstus Empiryk, Pico della Mirandola, Sicke van Hemminga, Pereira, Lieber, Chambers i in. do tej pory nie zdołali przekonać nikogo, by większą przypisywał rolę niebu, słońcu albo księżycowi niż szyldom na ścianie gospody bądź sklepu, albo też z góry nie odrzucał wszystkich astrologicznych przepowiedni, które potwierdziło doświadczenie, odsyłam go do Bellantiusa, Pyrovaniego,

Marascallerusa, Goeckla, sir Christophera Heydena i in. Gdyby kto był ciekawy mojej opinii, powiedziałbym, że *nam et doctis hisce erroribus versatus sum* [zaznajomiony jestem i ja z tymi światłymi pomyłkami], iż wywołują one takie inklinacje, lecz nic nie narzucają; *agunt non congunt*, nie ma tu przymusu, a tak nienachalny jest ich wpływ, że rozumny człowiek może łatwo go zanegować; *sapiens dominabitur astris* [mędrzec ma władzę nad gwiazdami]: one rządzą nami, lecz nimi włada Bóg. Wszystko to (jak sądzę) Johannes de Indagine ujął najzwięźlej: *Quaeris a me quantum in nobis operantur astra?* itd.: „Chcesz wiedzieć, jak wielki wpływ mają na nas gwiazdy? Powiedziałbym, że jedynie wskazują, a i to tak subtelnie, że nie mają nad ludźmi żadnej władzy, jeśli ci będą się kierować rozumem; ale jeżeli będą podlegli swojej naturze i odruchom, wpływ gwiazd na ludzi będzie taki sam, jaki wywierają one na dzikie zwierzęta, bo nie jesteśmy od nich wcale lepsi". Warto więc podsumować to, cytując za Kajetanem, że *Coelum est vehiculum divinae virtutis* itd., niebiosa są bożym narzędziem i za ich pośrednictwem włada on i rozporządza niebieskimi ciałami; albo jego wielką księgą, gdzie gwiazdy są (jak to ktoś określił) literami, którymi zapisano wiele przedziwnych spraw dostępnych owym zdolnym je rozczytać, „albo też harfą z warsztatu doskonałego lutnika, na której ktoś, gdy potrafi, wygra najpowabniejsze melodie".

2.4.2

Istotne przyczyny drugoplanowe i specyficzne są, zgodnie z powyższą klasyfikacją, albo *congenitae, internae, innatae*, czyli wewnętrzne, wrodzone, dziedziczne, albo zewnętrzne i nabyte, pozyskiwane już po urodzeniu; owe dziedziczne, z którymi się rodzimy, są albo naturalne, jak starość, albo też *praeter naturam* [nienaturalne] (według Fernela), jak to zaburzenie umysłu, które ma swoje źródło w nasieniu rodziców, a wywołuje dziedziczną chorobę. Do pierwszych i dla wszystkich ludzi naturalnych przyczyn należy ta, której żadna żyjąca istota nie jest władna uniknąć: starość; jest zimna i sucha, czyli dzieli swoje cechy

z melancholią, a więc musi powodować te same skutki za sprawą obniżki sił duchowych i ich substancji, a podniesienia poziomu melancholijnych humorów; stąd też Melanchton z Arystotelesa wywodzi jako niepodważalny wniosek, że *Senes plerunque delirasse in senecta*, starcy często ulegają pomyleniu, *ab atram bilem*, z powodu czarnej żółci, która się u nich w nadmiarze gromadzi: arabski medyk Al-Razi nazywa to „nieuniknionym zdarzeniem, które jest ściśle przypisane" każdej osuwającej się w wiek i rozstrój osobie. Po siedemdziesiątym roku życia (jak mówi Psalmista) na każdego „przychodzi ucisk i boleść"; powszechne doświadczenie potwierdza tę prawdę o słabości i starzeniu, co szczególnie dotyczy tych, którzy całe życie przeżyli aktywnie, mieli intensywne zatrudnienia, wiele spraw na głowie, wiele odpowiedzialności i wielu ludzi pod sobą, a wycofali się ze wszystkiego *ex abrupto* [raptownie], jak było w przypadku nagłej rezygnacji Karola V na rzecz Filipa II; ludzie tacy natychmiast ulegają melancholii: a jeśli trwają przy swoich zajęciach, ostatecznie też dziecinnieją (*senex bis puer* [starzec na powrót dzieckiem]) i nie są już zdolni dbać o swoje dobra ze względu na zniedołężnienie spadające na nich w tym wieku; przepełnieni bólem, smutkiem i żalem, stają się na powrót dziećmi, głupieją i chamieją, siedząc stale i gadając do siebie, nabywając złość, kąśliwość i niezadowolenie z każdej rzeczy, „uparci, przesądni, zarozumiali, chełpliwi i zadowoleni z siebie", jak ich przenikliwie opisał Baldassare Castiglione.

2.4.3

Na ileż przeróżnych sposobów skażeni jesteśmy i pokarani przez niedostatki naszych ojców; jak słusznie mówi Fernel, „nasze szczęście jest w największym stopniu zależne od dobrego urodzenia i dla powodzenia całej ludzkości byłoby najlepiej, gdyby wszyscy poczęci byli przez rodziców krzepkich na ciele i umyśle". Gospodarz obsiewa pola wyłącznie najlepszym i starannie wyselekcjonowanym ziarnem, hoduje tylko najdorodniejsze bydło i konie, którym pokrywać pozwala tylko

klacze gwarantujące rasowy przychówek; dbamy przecież, by sparować najlepsze tryki i owce, buhaje i krowy, utrzymywać w hodowli tylko rasowe psy, *quanto id diligentius in procreandis liberis observandum!*, z jaką więc skrzętnością powinniśmy starać się o przyszłe potomstwo! W przeszłości zdarzało się, że niektóre społeczności były w tym względzie tak zapobiegliwe i tak surowe, że pozbywały się dzieci obciążonych na ciele bądź umyśle; tak według relacji Curtiusa czynili Hindusi, ale też wiele innych krajów gorliwie zarządzanych w zgodzie z dawnymi prawami. Do dziś jeszcze, gdy w Szkocji, twierdzi Hector Boece, pojawiłby się mężczyzna obciążony szaleństwem, podagrą, trądem czy jakąś inną groźną chorobą, która mogłaby się okazać dziedziczną, zostałby on natychmiast wykastrowany; kobiety takie separowano by od mężczyzn, a gdyby jednak któraś zaszła w ciążę, zostałaby pogrzebana żywcem wraz ze swoim potomstwem": byłoby to uczynione dla pospólnego dobra, by cała społeczność była zabezpieczona przed chorobami i deprawacją. Powiedziałby ktoś, że to surowe postępowanie, nie do pomyślenia wśród chrześcijan, jednak trzeba mu się uważniej przyglądnąć. Bo dziś za sprawą naszego beztroskiego podejścia do zawierania małżeństw, które przyzwala na pełną swobodę w tym zakresie, i naszego zbytniego rozbestwienia oraz pobłażliwości nastał zamęt związany z chorobami dziedzicznymi, przed którymi żadna rodzina nie jest zabezpieczona ani żaden człowiek nie jest strzeżony przed taką czy inną poważną niemocą, jako że wedle zwyczaju pierworodny syn musi się żenić, zupełnie jak jakiś wyborny ogier; a jeśli jeszcze to dotyczy bogaczy, to zakłada się, że każdy głupiec, matoł, chromy, okaleczony, niedołęga, maniak, rozpustnik czy szaleniec, *jure haereditario sapere jubentur*, będzie mądry i zdolny z samego urodzenia: i tak całe nasze pokolenie jest wybrakowane, wiele w nim osób osłabionych na ciele i umyśle, szerzą się wśród nas choroby, całe rodziny dotknięte są obłąkaniem, *parentes peremptores* [nasi rodzice podupadli]; ojcowie nasi są w złym stanie, a my najpewniej będziemy w jeszcze gorszym.

2.4.4

Podobnie jak lampę, której kaganek zalewa nadmiar oliwy, albo jak ognisko, którego ledwie tlący się płomień zadusza nadmiar drewna, tak naturalną ciepłotę ciała tłumi nadmiar pożywienia. Jak to się mówi: *Pernitiosa sentina est abdomen insaturabile,* nienasycony kałdun jest trującym zbiornikiem, z którego źródło swoje biorą wszystkie choroby tak ciała, jak i duszy. Mercuriale w tym widział konkretną przyczynę własnej choroby; Solenander właśnie przykładem Mercurialego ilustruje melancholię, której nabawić się można *ab intempestivis commessationibus,* za sprawą niepowściągliwego ucztowania. Craton w swojej często cytowanej rozprawie potwierdza, że nadmierne spożywanie pokarmów jest jedną z głównych przyczyn choroby. Jakich jeszcze potrzebuję dalszych potwierdzeń? Oto sam Hipokrates mówi: „Ciała o nieczystej kompleksji tym większą ponoszą szkodę, im bardziej są odżywione, jako że rozkład pożywienia zwiększa skład szkodliwych humorów".

Borago.

Helleborus.

2.4.5

W procesie genezy tej i wielu innych chorób powietrze jest czynnikiem o wielkiej istotności, bo nieustannie zaczerpujemy je do wnętrza naszego ciała w trakcie oddychania. „Jeśli jest ono zanieczyszczone i mgliste, przygasza ducha i wywołuje choroby w wyniku infekcji serca", jak to ujął Paulus, podobnie Awicenna, Galen, Mercuriale, Montalto i in. Fernel stwierdził, że „gęste powietrze zagęszcza krew i humory". Lemmens wyróżnia dwa czynniki, które mogą być dla naszych ciał najkorzystniejsze i najszkodliwsze: powietrze i dietę; a tę właśnie chorobę najprędzej wywołać potrafi (według Jouberta) „powietrze, którym oddychamy i w którym żyjemy". Jaki stan powietrza, taki i nasz stan ducha; a jaki stan ducha, taka postać humorów. Przeszkadza nam, gdy atmosfera jest zbyt ciepła i sucha, gęsta, zadymiona, zamglona, wietrzna i burzowa. Bodin w piątej księdze swojego dzieła *Methodus ad facilem historiarum cognitionem* dowodzi, że ciepłe kraje są ciężej dotknięte melancholią, jak to ma miejsce w Hiszpanii, Afryce, Azji Mniejszej, gdzie tylu jest szaleńców we wszystkich wielkich miastach, że trzeba budować specjalnie dla nich przeznaczone szpitale. Leo Africanus, Ortelis czy Zuinger to potwierdzają: ludzie są tam w swojej mowie tak impulsywni, że rzadko dwa słowa z rzędu obywają się bez pomstowań i przekleństw, a na ulicach ciągle dochodzi do kłótni. Bernard de Gordon tak nas napomina: „Zważcie" (mówi) „że zdarza się to o ile częściej w krajach gorących niż chłodnych". Ale mimo tych świadectw nie zawsze tak się zdarza, bo Acosta słusznie mówi, że poniżej równika, gdzie klimat jest bardziej umiarkowany, a powietrze zdrowsze, panują rajskie atrakcje: wiecznie zielone liście, orzeźwiające deszcze. Jednak powyższe stwierdzenia dotyczą krain o upalnym klimacie, za jakie Johannes à Meggen uważa Cypr, a inni Maltę, Apulię czy Ziemię Świętą, gdzie w niektórych porach roku wszędzie unosi się tylko kurz, wysychają rzeki, powietrze to piekący żar, a ziemie trawią pożary; tak że wielu pielgrzymów, którzy z Jaffy do Jerozolimy zdążają

boso po piasku, dopada szaleństwo, a znów innych do obłędu doprowadza piasek pustyń, *profundis arenis*, jak się dzieje w wielu regionach Afryki, Arabii, Baktrii, gdzie podczas podmuchów zachodniego wiatru *involuti arenis transeuntes necantur* [podróżnych grzebią zwały piachu]. Ercole Sassonia, wenecki uczony, znajduje przyczynę melancholii wielu wenecjanek w tym, że *quod diu sub sole degant*, zbyt długo przebywają na słońcu. [...]

Jednak z drugiej zupełnie strony zimne powietrze jest tak samo szkodliwe jak gorące, jeśli, jak twierdzi de Montalto, jest przy tym suche. W północnych krainach, gdzie ludzie są na ogół osępiali i ociężali, spotkać można wiele wiedźm, co (jak już wcześniej przytaczałem) Saxo Gramatyk, Olaus i Baptista Porta wiążą z melancholią. W owych krajach chłodnego klimatu mieszkańców dotyka częściej naturalna (a nie ta nabyta) melancholia, która jest zimna i sucha: najpewniej z tego powodu Mercurius Britannicus każe mieszkać melancholikom w strefie podbiegunowej. Najgorszym spośród typów atmosfery jest owa gęsta, chmurna, mgielna albo taka, która swoje źródło ma w mokradłach, wrzosowiskach, jeziorach, także śmietniskach, ściekach, rynsztokach, gdzie leży porzucona padlina albo skądkolwiek dochodzi nieznośny smród: Galen, Awicenna i Mercuriale, ci dawni i nowsi medycy, uważają takie powietrze za niezdrowe i grożące wystąpieniem melancholii, zarazy czy czego tam jeszcze.

2.4.6

Nic nie jest tak dobroczynne, by nie można tego zepsuć nadużyciem: nic się nie może równać ćwiczeniom (o ile są odpowiednio wykonywane) zachowującym kondycję ciała; nic nie jest tak szkodliwe jak one, gdy je uprawiać w nieodpowiednim czasie, ze zbytnią gwałtownością i w nadmiarze. Fernel za Galenem powtarza: „Zbyt dużo ćwiczeń i trudów zużywa ducha i materię oraz schładza ciało; przez to wiele humorów, z którymi w innym wypadku Natura poradziłaby sobie i je usunęła z ciała, miesza się i uzłośliwia: a tak zjadowione szkodzą

zarówno ciału, jak i duszy". Dzieje się tak, gdy wykonuje się te aktywności bez zachowania rozsądku, przy pełnym żołądku albo gdy ciało jest zastałe, co zdecydowanie odradza Fuchs, który wspiera się przykładem chłopców w Niemczech, którzy cierpią z powodu świerzbu na skutek ćwiczeń, które wykonują bezpośrednio po spożyciu mięsnych pokarmów. Bayerus także odradza takie ćwiczenia, gdyż „powodują one psucie mięsa w żołądku, którego surowy, niestrawiony produkt przenika do żył" (jak mówi Lemmens) „co prowadzi do rozprzężenia i rozstroju życiowych sił". Craton von Kraftheim również świadczy przeciwko wykonywaniu ćwiczeń po zjedzeniu mięsa, bo ma to najgorszy z możliwych wpływ na mieszanie się płynów ustrojowych i powoduje zepsucie humorów, które wywołuje tak melancholię, jak i wiele innych chorób. Nie bez powodu więc wśród wielu medyków także Salwian, Giachini, Mercuriale czy Arcubanus uważają nieumiarkowane ćwiczenia fizyczne za najbardziej sprzyjający melancholii czynnik.

Przeciwieństwem ćwiczeń jest próżniactwo (atrybut szlachty) albo niedostatek ćwiczeń fizycznych, ta zmora dla ciała i duszy, żywicielka nieposłuszeństwa, macocha dyscypliny, inspirator wszelkich wybryków, jeden z siedmiu grzechów głównych i wyłączny winowajca wielu przypadłości, diabla poduszka, jak to nazywa Gualter, szatański wezgłówek i odpoczynek. „Umysł bowiem nigdy nie zaznaje odpoczynku, ale wciąż rozmyśla o tym albo owym; o ile nie jest wciąż zajęty jakimś uczciwym zajęciem, wówczas z własnego wyboru rzuca się w objęcia melancholii". „Jeśli szkody przynoszą nadmierne i zbyt intensywne ćwiczenia, to samo powoduje gnuśny tryb życia" (powiada Craton von Kraftheim) „napełnia bowiem ciało flegmą, złymi humorami, a jeszcze wywołuje obstrukcje, nieżyty, ropotoki itd.". De Montalto mu wtóruje i na podstawie własnych doświadczeń twierdzi, że „gnuśni dalece bardziej podatni są na melancholijne przypadłości niż ci, którzy są zajęci swoim urzędem albo prowadzą jakieś interesy". [...]

Tak jak paprocie i rozmaite chwasty plenią się na leżącej odłogiem ziemi, tak też humory wypełniają bezczynne ciało: *Ignavum corrumpunt otia corpus*. Koń, który nigdy nie opuszcza stajni, czy sokół, który rzadko wylatuje z woliery, są narażone na choroby; gdy natomiast pozostają na wolności, nie chorują. Leniwy pies nabawi się parchu, jak więc leniwy człowiek może myśleć, że tego uniknie? Gnuśność umysłu jest o wiele gorsza od bezczynności ciała; umysł bez zatrudnienia jest chorobliwym, *Aerugo animi, rubigo ingenii*: to śniedź duszy, zaraza, istne piekło; *maximum animi nocumentum*, jak to nazywa Galen. „Jak w stojącej wodzie lęgnie się wszelkie robactwo (*et vitium capiunt ni moveantur aquae*, woda gnije, a podobnie się dzieje z powietrzem, gdy nie jest wzruszane wiatrem), tak zło i paskudne myśli lęgną się w gnuśnym człowieku", a jego dusza jest skalana. W republice, której brak zewnętrznego wroga, łatwiej o wojnę domową i wystąpienia jednych przeciw drugim: tak samo nasze ciało, kiedy dopada je bezwład i nie potrafi się niczemu poświęcić, maceruje się i dręczy troskami, żalami, wyimaginowanymi lękami, niezadowoleniem i podejrzliwością; poddaje się torturom i samo się zżera, a nigdy nie zaznaje ukojenia. Powiem to wyraźnie: ten czy owa dotknięci próżniactwem, niezależnie od swojej sytuacji, jak by nie byli bogaci i dobrze ustosunkowani, nigdy nie są ani ukontentowani, ani szczęśliwi, niechby i opływali w dostatek oraz mieli przystęp do wszystkiego, czego dusza zapragnie, to tak długo, jak ten, owa, tamci będą wieść próżniacze życie, nigdy nie będą zadowoleni, nigdy na ciele i umyśle zaspokojeni, lecz wiecznie znużeni, stale słabi, wiecznie poirytowani, wiecznie rozgoryczeni, rozżaleni, rzewliwi, zrozpaczeni, podejrzliwi, dotknięci przez sprawy świata, przez każdą zranieni, tęskniący za nieistnieniem albo śmiercią i obarczeni swoimi spaczonymi wyobrażeniami. [...]

Solitudo

Najbliższym kuzynostwem próżniactwa i współtowarzyszącą mu przyczyną choroby jest *nimia solitudo*, przesadna samotność, która według wszystkich lekarzy jest jednocześnie jej przyczyną i symptomem; jako przyczyna, a tak tu ją traktuję, może być albo współistniejąca, albo wymuszona, albo dobrowolna. Wymuszona samotność dotyczy najczęściej uczonych, mnichów, braci zakonnych, pustelników, których reguła życia zmusza do porzucenia wszelkiego towarzystwa, unikania ludzi i oddalenia się w zacisze własnej celi: *Otio superstitioso seclusi* [samotność powodowana zabobonem], jak to określają Bale i Hospinian, co mogłoby się odnosić do współczesnych nam kartuzów, którzy nie spożywają mięsa (wedle swej reguły zakonnej), zachowują stale milczenie oraz nigdy nie opuszczają kraju. Życie więźnia albo odludka pozbawionego towarzystwa innych ludzi wiedzie wielu z naszych ziemian zamkniętych w swoich oddalonych od świata domostwach, gdzie muszą albo obywać się bez kompanii, albo żyć ponad stan, zabawiać wszystkich sproszonych gości albo konwersować ze służbą i stajennymi, którzy nie dorównują im urodzeniem, pozycją czy usposobieniem: inni znów dla uniknięcia samotności trawią czas z wykolejeńcami w karczmach czy piwiarniach, przez co uzależniają się od nielegalnych rozrywek i nagannych używek. Na swojej samotnej skale przebywają powodowani bezsensem życia albo też z obawy przed niemocą czy pohańbieniem, albo znów w następstwie nieśmiałości, gburowatości czy prostactwa nie potrafią zabiegać o towarzystwo innych ludzi. *Nullum solum infelici gratius solitudine, ubi nullus sit qui miseriam exprobret* [dla nieszczęśliwca nie ma miejsca lepszego niż to, w którym nie znajdzie się nikt, kto mógłby podważyć jego nieszczęście]; ta wymuszona samotność najszybciej wywoła swe zgubne skutki w przypadku kogoś, kto wcześniej dobrze się bawił, zażywał rozrywek w doborowym towarzystwie, w gronie wspaniałej rodziny albo dużym mieście, a nagle został zesłany do odludnego miejsca, pozbawiony wolności, odseparowany od swoich ziomków; dla takich ludzi samotność jest męczącym i uciążliwym zrządzeniem, a także źródłem dokuczliwości.

2.4.7

To, co wcześniej powiedziałem o ćwiczeniach, mogę powtórzyć odnośnie do snu. Nic nie dorównuje umiarkowanemu wysypianiu się, nic nie jest bardziej szkodliwe niż brak i nadmiar snu albo też nierozsądne zeń korzystanie. Według powszechnej opinii melancholik nie może dosypiać; *somnus supra modum prodest* [dodatkowy sen jest dobroczynny], jest jedynym antidotum na bolączkę i nic nie szkodzi choremu bardziej i nie przyspiesza skuteczniej cierpienia niż brak snu, jednak niekiedy ten może wyrządzić więcej szkody niż pożytku, jak w przypadku tego flegmatycznego, grubiańskiego, zimnego i otumaniałego melancholika, o którym mówi Melanchton, że ciągnie go na morze, ciągle tylko wzdycha itd. Sen, gdy zażywany w nadmiarze, przytępia ducha i zmysły; napełnia głowę szkodliwymi humorami; wywołuje rektyfikację i wydzielanie śluzu oraz gromadzenie produktów ekskrecji w mózgu i innych partiach ciała tych, jak Fuchs o nich mówi, którzy śpią snem orzesznic. Sen zażywany w ciągu dnia, na pełny żołądek, przy ciele nieprawidłowo ułożonym do odpoczynku albo po spożyciu ciężkich mięs wywołuje złe sny, koszmary senne, lunatykowanie, spazmy i ogólny niepokój; „taki sen gotuje ciału", jak ktoś zauważył, „wiele niebezpiecznych chorób". Jednak, jak wspomniałem, bezsenność jest zarówno symptomem, jak i nierzadką przyczyną dolegliwości. „Powoduje ona suchość mózgu, gorączkę, pomylenie, a ciało czyni suchym, wychudłym, czerstwym, o przykrym wyglądzie", jak to ujął Lemmens. „Ciepłota mózgu jest wówczas zaburzona, przybywa humorów, oczy są głęboko zapadnięte, przybywa żółci, a ciało jest rozpłonione": można jeszcze dodać, co Awicenna twierdzi za Galenem, że brak snu „burzy naturalne ciepło, wywołuje surowość, boleść, zmieszanie" i co tam jeszcze. Dlatego Craton von Kraftheim, Hildesheim, Giachini, Arcolano na podstawie Al-Raziego, Guianerio i Mercuriale mają dobre powody, by uznawać niedobór snu za główną przyczynę melancholii.

2.4.8

Ludzie, widząc kogoś cierpiącego z powodu drżączki, splątania lub jakiejś strasznej choroby, zapadają na tę samą przypadłość na skutek swoich silnych obaw i lęków. Lub gdy od wróżbity, uczonego, jasnowidza albo lekarza usłyszą, że nabawią się jakiejś choroby, to ze strachu przed nią już się u nich pojawią jej objawy. Matteo Ricci twierdzi, że to znany w Chinach przypadek: „Gdy się ludziom powie, że w określonym czasie zachorują, to z nastaniem tego dnia z pewnością tak się stanie, a niektórych ta choroba doświadcza tak straszliwie, że zdarza się, iż umierają". [...] Niekiedy bowiem przyczyną śmierci jest siła imaginacji. Słyszałem o pewnym nieszczęśniku, który przypadkiem znalazłszy się w towarzystwie rzekomo zarażonego dżumą (co okazało się nieprawdą), padł trupem. Innego dotknęła zaraza za sprawą samego wyobrażenia. Pewien człowiek, widząc, jak jego kompan krwawi, padł bez czucia. Inny jeszcze (jak Cardano mówił za Arystotelesem) padł martwy (co jest znane w przypadku dam narażonych na jakiś potworny widok), gdy zobaczył wisielca. Pewien Żyd z Francji (wedle słów Juana Luisa Vivesa) przeszedł w ciemności bez żadnego uszczerbku po jakiejś kładce czy desce przerzuconej wysoko ponad potokiem, ale gdy rankiem zobaczył, jakiego uniknął niebezpieczeństwa, upadł nieżywy.

2.4.9

W katalogu owych namiętności, które tyle cierpienia wywołują w duszy człowieka i przyczyniają się do powstania melancholijnej przypadłości (każdą z nich krótko przedstawię osobno w odpowiedniej kolejności), o pierwsze miejsce pośród tych gwałtownych obsesji walczy skutecznie rozpacz; nieodłączna towarzyszka, „matka i córka melancholii, jej uosobienie, symptom i główna przyczyna"; bo, jak to ujął Hipokrates, zradzają się wzajemnie, splatają się ze sobą, skoro rozpacz jest jednocześnie przyczyną i symptomem tej choroby. O tym drugim aspekcie opowiem w odpowiednim czasie. Natomiast cały świat jest świadomy jej roli w wywoływaniu tej przypadłości; *Dolor nonnullis*

insaniae causa fuit, et aliorum morborum insanabilium, jak powiedział Plutarch Apoloniuszowi: przyczyna szaleństwa, przyczyna wielu innych chorób albo też wyłączny powód tego uszczerbku na zdrowiu, jak to nazwał Ludwig Lemmens. Podobnie uważali Al-Razi i Guinerius. I jeśli rozpacz raz już zapuści korzenie, jak to stwierdził Felix Platter, wzejdzie utrapieniem, które można z nią zestawić, jak to czynił Keles z Teb w swojej *Tablicy*. A Chryzostom w swoim siedemnastym liście do Olimpii opisuje ją jako „okrutną torturę duszy, niczym niewytłumaczalny żal, robaka zatrutego, który wgryza się w ciało i duszę, by dotrzeć aż do serca, niekończącą się kaźń, wiecznotrwałą noc, najgłębszą ciemność, trąbę powietrzną, nawałnicę, utajoną gorączkę palącą bardziej niż żywy ogień i nieustającą bitwę. W zadawaniu cierpień góruje nad każdym tyranem; żadne katusze, tortury czy cierpienia fizyczne nie mogą się z nią równać". Jest tym orłem, który wedle fantazji poetów przylatuje stale wyjadać serce Prometeuszowi, bowiem „smutek łamie siłę serca" (Mądrość Syracha 38:18). „Każdy rodzaj wzburzenia bywa cierpieniem, ale rozpacz jest straszliwą męką", despotyczną namiętnością; i jak w starożytnym Rzymie obejmujący władze dyktator umniejszał rolę innych urzędników, tak pojawienie się rozpaczy wszystkie inne temperamenty wyplenia. „Duch sfrasowany wysusza kości", jak mówi Salomon (Przypowieści Salomona 17:22), sprawia, że ludzi takich wyróżniają pusty wzrok, bladość skóry, wychudłe i pomarszczone oblicza, trupi wygląd, ściągnięte brwi, zapadłe policzki, wysuszone ciała, a ich zaburzona temperatura dokłada się do tego chorobliwego stanu.

2.4.10

Strach w ludziach wywołuje wiele opłakanych skutków, rumienią się bądź bledną, drżą i pocą się, raz chłód, raz żar ogarnia całe ciało, serce kołacze, omdlewają itd. Gdy mają wystąpić przed większym gronem albo chociaż pojawić się na prześwietnym zgromadzeniu, dopada ich zakłopotanie, i to nawet wyznawał Cyceron, że drży, rozpoczynając

wygłaszanie swojej mowy, podobnie jak Demostenes, ten wielki grecki mówca, gdy miał wystąpić przed Filipem. Zaburza pamięć i osłabia głos, jak to przenikliwie przedstawił Lukian w swojej parodii *Jupiter Tragoedus*, gdy Jowisz, mający zabrać głos na spotkaniu wszystkich bogów, nie potrafił wyrzec słowa i musiał się wspierać podpowiedziami Merkurego. Wielu jest tak zakłopotanych i sparaliżowanych strachem, że nie wiedzą, gdzie się znajdują, co mówią i robią, a także, co najgorsze, przez szereg dni przed zapowiedzianym wystąpieniem dręczy ich nieustanne przerażenie i wahania. Strach podkopuje najbardziej nawet chwalebne inicjatywy, ludzkim sercom przydając bólu, smutku i ciężaru. Ci, którzy żyją w strachu, nigdy nie są nieskrępowani, stanowczy, pewni siebie ani weseli, ale doświadczają nieprzerwanego bólu, bo, jak to Vives słusznie powiedział, *Nulla est miseria major quam metus*, nie ma większej niedoli ani większej udręki, ani tortury ponad tę, gdy ludzi zatruwa podejrzliwość, niepokój, troska, że aż dziecinnie słabną bez powodu i bez żadnej refleksji, „szczególnie gdy im zaprezentować jakąś straszną rzecz", jak to było u Plutarcha. Strach potrafi też wywołać nagły atak szaleństwa, jak i wiele innych chorób, jak to wykazałem w dygresji o sile imaginacji.

2.4.11

To powszechna i zwyczajna u ludzi, jak utrzymuje Tacyt, przypadłość, by zazdrościć drugim powodzenia. U większości ludzi choroba ta jest nieuleczalna. „Przeczytałem", jak mówi Marek Aureliusz, „autorów greckich, hebrajskich i chaldejskich, szukając u nich i u wielu innych mędrców lekarstwa na zawiść; ale nie znalazłem żadnego, jak tylko odrzucić wszelkie szczęście i pogrążyć się na wieki w nędzy i żałości". Zazdrościć to gotować sobie za życia piekło i ulegać namiętności, dla której nie ma przebaczenia. „Każdemu innemu grzechowi przydana jest jakaś przyjemność albo możliwość odpuszczenia; natomiast jedyna zazdrość pozbawiona jest obu. Inne grzechy są przemijalne: kałdun można zaspokoić, gniew zanika, nienawiść dobiega kresu, ale zawiść

nigdy nie przemija" (Girolamo Cardano). Znane są powszechnie przykłady ze świętych i świeckich dziejów, kto chce, może sobie przeczytać o Saulu i Dawidzie, o Ablu i Kainie, którego, jak pisze Teodoret, *angebat illum non proprium peccatum, sed fratris prosperitas*, rozsierdziło szczęście brata. Bezpłodna Rachela zazdrościła swojej siostrze (Księga Rodzaju 30:1); Józefowi zazdrościli bracia (Księga Rodzaju 37:11); i Dawid wyznawał, że nieobca mu jest ta przypadłość (Psalm 73:3); Jeremiasz z Habakukiem wzajemnie spoglądali na swoje dobra, ale ostatecznie porzucili tę ułomność. Dawid mówi (Psalm 37:1): „Nie obruszaj się na złośliwców" itd.

2.4.12

Ambicję, ową pyszną pożądliwość, gorzkie łaknienie zaszczytów, wielką udrękę umysłu będącą splotem zawiści, dumy i łapczywości, owo pyszne szaleństwo określa się mianem słodkiej trucizny; Ambroży mówił: „to rak duszy, podstępna zaraza"; a Bernard znów twierdził, że to „utajona trucizna, ojciec złośliwości i matka hipokryzji, żarłoczna larwa tocząca pobożność, jak i przyczyna pomylenia, która wywołuje cierpienie i niepokój u każdego, kogo opęta". Seneka nazywa ją *rem solicitam, timidam, vanam, ventosam*, rzeczą niespokojną, daremną, wywołującą popędliwość i trwogę. Bo zwykle ci, którzy wzorem Syzyfa toczą swój głaz ambicji, trwają w nieustannej męczarni, wiecznym frasunku, *semper taciti, tritesque recedunt* [zawsze wycofani, milczący i przygnębieni] (Lukrecjusz), niezdecydowani, bojaźliwi, podejrzliwi, uodpornieni na obrazę słowem bądź czynem, wiecznie wasalni i zależni od czyjejś opinii, ulegli, czapkujący, płaszczący się przed kimś, przyklaskujący czemuś, lizusowscy, umizgliwi, tak namolni, że uwieszają się czyjejś klamki, lokajscy, fałszywi, pokorni. A gdy tym nic nie wskórają, gdy już raz ta dyspozycja (jak to określa Cyprian) zawładnie ich złaknioną duszą, *ambitionis salsugo ubi bibulam animam possidet*, to każdym możliwym sposobem i tak to osiągną, „i ze swojej nory wypełzną, by doczołgać się do honorów i stanowisk, jeśli tylko uda

się im schlebić komuś, przekupić go, nie cofną się przed niczym, by dopiąć swego". Niezwykły to widok, gdy zachowują się tak uniżenie, gotowi służyć nawet ludziom o niskiej pozycji; jakie męki są gotowi zaakceptować, krzątać się, rzucać na każdy kęs, kombinować, spiskować, protestować i wyklinać, przysięgać i obiecywać, każdą możliwą harówkę podejmować od bladego świtu do późnej nocy; a jacy są służalczy i przymilni, swoją uprzejmością chcąc zadowolić wszystkich, jak się mizdrzą i uśmiechają do każdego, jak wystawnie są gościnni, trwoniąc siebie i swoje fortuny na to, czym mogliby wzgardzić z pożytkiem dla siebie; jak Pyrrusowi powiedział jego dworzanin Kineas: kosztem nieprzespanych nocy, godzin pełnych męki, niepokojów i zgorzknienia, *inter spemque metumque* [w rozdarciu pomiędzy nadzieją a lękiem], strapieni i zmęczeni zużywają ten krótki wyznaczony im tutaj czas. Współczesność nie zna większej plagi. A gdy już zdobędą to, o co takim wysiłkiem i kosztem walczyli, nadal nie są zaspokojeni, od nowa dopada ich lęk, bo nigdy nie są nasyceni, a *nihil aliud nisi imperium spirant*, wszelkie ich myśli, uczynki i wysiłki poświęcają władzy i pozycji, jak Ludwik Sforza, bombastyczny książę Mediolanu, „człowiek wyjątkowego rozumu, ale i wielkiej ambicji, zrodzony dla zniszczenia własnego oraz całej Italii", tak i oni mimo własnej ruiny i zguby swoich przyjaciół nie cofną się przed niczym, będą wedle porównania Guillaume'a Budégo jak pies biegający w kołowrotku, ptak w klatce, wiewiórka w sieci; z wielkim wysiłkiem ponawiają swoją wspinaczkę na szczyt, którego nigdy nie osiągną.

2.4.13

Edukacja jest według Jasona van der Veldego jedną z głównych przyczyn melancholii; źli rodzice, nieczułe macochy, marni nauczyciele i mistrzowie przez swój rygoryzm i surowość z jednej strony, a z drugiej przez zaniedbania i pobłażliwość prowadzą do wybuchu tej choroby bądź jej rozwoju. Zarówno rodzice, jak i opiekunowie dzieci swoimi postępkami, które charakteryzuje srogość, zastraszanie, besztanie,

wyzwiska, chłosta i bicie, sprawiają, że dzieci są tak zniechęcone i zastraszone, iż nigdy nie nabędą pewności siebie, nie zaznają w życiu wesołości, nie zakosztują żadnej przyjemności. W takiej wyjątkowej chwili, gdy waży się los dzieci, które można wychować lub popsuć, należy zachować szczególny umiar. Bywa, że dzieci, gdy te tylko zapłaczą albo są niesforne, straszy się żebrakami, strachami i gnomami, co trzeba zdecydowanie potępić, jako że dzieci skutkiem tego, jak mówi Lavater, *ex metu in morbos graves incidunt et noctu dormientes clamant*, często chorują, płaczą przez sen i odczuwają skutki strachu przez całe życie; należy to zupełnie porzucić lub ewentualnie dopuszczać w wyjątkowych przypadkach. Okrutni, gwałtowni i tępi nauczyciele, *aridi magistri* [oschli mistrzowie], jak nazywa ich Fabiusz, *Ajaces flagelliferi* [stosujący chłostę dręczyciele], nie są w tym przypadku lepsi od katów, którzy dzieci przychodzące po naukę poddają katuszom, także za sprawą nędznej diety, gdy te mieszkają w bursie, jak i surowości oraz złego traktowania, czym wypaczają temperaturę ich ciała i umysłu: poprzez nieustanne besztanie, wyrzuty, uwagi, bicie, przygany, ciągły dozór, dzieci są często *fracti animis*, zmartwione i pozbawione radości życia, *nimia severitate deficiunt et desperant* [za sprawą surowego traktowania stają się otępiałe i przygnębione] i nabierają przekonania (jak ja w swoim czasie), że nie ma na świecie zniewolenia większego niż szkoła.

2.4.14

Ubóstwo i niedostatek są tak brutalnymi przeciwnikami, tak nieproszonymi gośćmi, tak przez ludzi pogardzanymi, że nie mógłbym im nie poświęcić uwagi. Ubóstwo wszak (gdy je właściwie rozważać jako przypadłość ludzi mądrych, świadomych i zdolnych do zadowolenia) jest *donum Dei* [darem Bożym], stanem błogosławionym, drogą prowadzącą do nieba, jak to określa Chryzostom, dopustem Bożym, matką skromności, powinno więc być stawiane przed bogactwem (co tu dowodnie pokażę), a jednak jest tak potępiane,

wstrętne ludziom, potworne i poniżające jak najstraszliwsza tortura, *summum scelus*, nieznośne brzemię; uciekamy od niego, jest dla nas *cane pejus et angue* [gorsze niż wściekły pies albo wąż], przeklinamy jego imię, *Paupertas fugitur, totoque arcessitur orbe* [cały świat stroni od ubóstwa i pogardza nim], niby źródłem wszystkich innych nieszczęść, trosk, niedoli, trudów czy rozpaczy. Każdy wysiłek jesteśmy w stanie podjąć, by go uniknąć, *extremos currit mercator ad Indos* [kupcy wyprawiają się do kresów Indii], przeczeszemy w jego poszukiwaniu każdą przystań, wybrzeże i zatokę świata, nawet gdybyśmy mieli przy tym stracić życie, zanurkujemy na samo dno morza, dokopiemy się do trzewi ziemi, pięćset, sześćset, siedemset, osiemset, a nawet dziewięćset stóp w głąb, staniemy na każdym z pięciu lądów, w krainach będących biegunami zimna i gorąca: gotowi jesteśmy oddać się w niewolę i zależność, prostytuować się, wyklinać i łgać, skazywać na zmarnowanie ciała i dusze, wyrzekać się Boga, porzucać wiarę, kraść, rabować, mordować, byle tylko uniknąć tego nieznośnego jarzma ubóstwa, które nas tyranizuje, dręczy i wpędza w depresję.

Część trzecia

Utopia na całe zło

3.0

Utopia Burtona to przedziwne państwo. Wiele jego fantazji brzmi jak spełnienie marzeń o współczesnej opiekuńczej demokracji, ale część przypomina najlepsze (czyli: najstraszniejsze) wzorce totalitarnych reżimów. Oczywiście zaskakujące jest to, że jego rozpoznania wad ustroju brzmią często jak złośliwa krytyka współczesnych państw (także naszego, niestety). Burton nie potrzebuje co prawda żadnej obrony, ale nie można nie zauważyć, że te jego najbardziej nieszczęsne pomysły są pochodną czasów, w których żył: być może jeśli je czytać w perspektywie historycznej, ujawniają nawet solidny rewolucyjny potencjał. Jednak od pierwszych zdań tego utopijnego fragmentu widać, że to filuterna gra, bo – jak na figlarza przystało – Burton rozbrajająco wyznaje: „Czemu miałbym sobie tego odmówić? Poetom przecież wolno więcej". Historia zna jednak te krwawe eksperymenty, którym poddawane były kraje i narody rządzone przez poetów (jeden przykład dramaturga na urzędzie prezydenckim niewiele tu zmienia). Poetom wolno więcej, ale tylko na papierze, to wiadomo. Jednak Burton nie tworzy tej utopii po to, żeby ją wcielać w życie. Jego projektu nie sposób czytać inaczej, jak przez pryzmat głównego tematu dzieła. Po to przecież zdecydował się go nakreślić, żeby dać odpowiedź na depresję świata – ta wymyślona kraina ma być w końcu kolejnym lekarstwem na melancholię. Tym razem tę, którą wywołuje społeczna i państwowa opresja.

Jest to sprawa trudna, niemożliwa prawie, przekraczająca znacznie Herkulesowe wysiłki; niech sobie ludzie będą grubiańscy, głupi, niedouczeni, ordynarni, *lapis super lapidem sedeat* [niech kamień spoczywa na kamieniu], jak to pisał autor apologii, *Resp. tussi, et graveolentia laboret, mundus vitio* [niech kraj krztusi się i dławi, niech świat tkwi w nieprawości], zostawmy ich w tej barbarii, niech pozostają we wzajemnym ucisku, rozpasaniu, jarzmie, nieumiarkowaniu, niech trawią ich spory, przesądy, wzajemne roszczenia, wojny i kłótnie, niech

żyją w nadmiarze, biedzie, braku, pognębieniu; niech sobie żyją w rozpuście, niech się taplają jak świnie we własnym gównie w towarzystwie druhów Ulissesa, *stultos jubeo esse libenter* [daję im pełne prawo do bycia głupcami]. Ja natomiast, żeby siebie tylko zadowolić, stworzę sobie własną Utopię, nową Atlantydę, osobistą, wyimaginowaną republikę, której będę udzielnym władcą, lokującym miasta, ustanawiającym prawa, wznoszącym pomniki wedle własnego uznania. Czemu miałbym sobie tego odmówić? *Pictoribus atque poetis* [artystom i poetom wolno] itd., poeci zawsze cieszyli się wolnością, a na dodatek mój poprzednik Demokryt był przecież politykiem, archiwariuszem w Abderze, a zdaniem niektórych: jednym ze stanowiących prawo; czemu nie miałbym się ośmielić na coś podobnego? Tak właśnie zrobię. Gdy idzie o jej lokalizację, umiejscowię tę krainę na obszarze Terra Australis Incognita, gdzie powinno wystarczyć przestrzeni (o ile wiem, ani ten nienasycony Hiszpan, ani Mercurius Britannicus nie odkryli nawet połowy tego lądu), ewentualnie na jednej z wysp pływających gdzieś na Mare del Zur, które jak Wyspy Cyanejskie u wejścia na Morze Euksyńskie[1] zmieniają swoje położenie, przez co są dostępne tylko w określonych porach i tylko nielicznym przybyszom; a może na jednej z tych wysp szczęśliwych, o których położeniu mało kto wie; dość jest też miejsca w głębi kontynentu amerykańskiego i na północnych wybrzeżach Azji. Ulokuję ją jednak około czterdziestego i piątego stopnia szerokości geograficznej (nie chodzi o dokładność co do minut) pośrodku strefy umiarkowanej, ewentualnie poniżej równika, tam gdzie mieści się ziemski raj, *ubi semper virens laurus, &c.*, gdzie panuje wieczna wiosna: długości geograficznej natomiast z pewnych względów nie wyjawię. Jednak „niech to wszyscy przyjmą do wiadomości", że każdego uczciwego człowieka, który wniesie opłatę w tej wysokości, jaką Girolamo Cardano dopuszcza w przypadku stawiania horoskopu przez astrologa, zapoznam chętnie z moim projektem lub jeśli jakiś czcigodny mąż będzie zainteresowany objęciem ziemskiego albo duchownego urzędu (jak o swoim arcybiskupstwie Utopii powiedział jej twórca, to

sanctus ambitus [święte powołanie], którego wypełnienie nie przynosi ujmy), udzielę mu go bez potrzeby protekcji, łapówek, listów polecających itd., bo wyłącznie wartość, jaką sobą prezentuje, będzie za niego świadczyć; jako że nie przewiduje się powołania żadnych zastępców czy kościelnych pełnomocników, to takiemu człowiekowi, jeśli tylko okaże się odpowiednio wykwalifikowany oraz zdeterminowany, taka funkcja zostanie powierzona. Kraj podzielony zostanie na dwanaście bądź trzynaście prowincji, których granice wytyczą wzniesienia, rzeki, drogi i inne wyraźne naturalne przeszkody. W każdej prowincji znajdzie się metropolia, która położona będzie w jej geometrycznym centrum, a wszystkie inne w podobnej odległości równej mniej więcej dwunastu milom włoskim, a w każdym mieście będzie istnieć możliwość zakupu wszystkich towarów niezbędnych człowiekowi, *statis horis et diebus* [w wyznaczonych godzinach i dniach]; nie będzie wyodrębnionych miast kupieckich, rynków i targów, bo sprowadzają one na miasta wyłącznie upadek (żadna zaś wioska nie powinna znajdować się dalej niż sześć, siedem czy najwyżej osiem mil od miasta), z wyjątkiem centrów handlu położonych nad morzem, ośrodków przemysłu czy hal targowych, jak to jest w przypadku Antwerpii, Wenecji, dawnego Bergen, Londynu itd., a miasta w większości powinny się znajdować nad spławnymi rzekami lub w sąsiedztwie jezior i zatok; zbudowane będą na planie regularnych figur, koła, kwadratu bądź prostokąta, z ulicami czystymi, szerokimi i prostymi, zabudową ujednoliconą, równą, ceglaną i kamienną, jak to jest w Brugii, Brukseli, Reggio Emilia, szwajcarskim Bernie, Mediolanie, Mantui, Cremie, Khanbaliq opisanym przez Marco Polo, a także w weneckiej Palmie. Nie pozwolę na zabudowę przedmieść ani dzielnic podlejszymi budynkami, mury miejskie powstaną wyłącznie dla ochrony przed piechurami i konnicą, a wyjątek stanowić będą jedynie miasta graniczne lub nadmorskie, które zostaną ufortyfikowane zgodnie z najnowszą wiedzą inżynieryjną i będą usytuowane w najdogodniejszych do tego miejscach. W każdym tak zbudowanym mieście rozlokuję świątynie i wyznaczę miejsca na

cmentarze, które nie będą się już mieściły w bliskości kościołów; będzie także *citadella* (choć nie w każdym mieście) jako centrum zarządzania, więzienia dla przestępców, dogodne miejsca do handlu zbożem, mięsem, bydłem, materiałami na opał, rybami, przestronne budynki sądów, budynki użyteczności publicznej dla całej społeczności, giełda, miejsca spotkań, arsenały, w których będą w pogotowiu pojazdy gaśnicze, poligony artyleryjskie, deptaki, teatry oraz rozległe błonia przeznaczone do uprawiania gimnastyki i rekreacji, wszelkiego rodzaju szpitale i domy opieki dla dzieci, sierot, starców, niedołężnych i chorych psychicznie, żołnierzy i zakaźnie chorych itd., te zaś nie będą stawiane *precario* [z łaski] przez jakichś dobroczyńców, którzy nachapawszy się dzięki oszustwom i grabieżom oraz ciemiężeniu całych krain, społeczności itd., przekazują grosik na zbożny cel, fundują jakiś przytułek, szkołę albo most itp., czyli jakby oddawali piórko z ukradzionej wcześniej gęsi, odpłacali dziesięciorgu ludziom, gdy okradli ich tysiące; i w takich szpitalach, które (inaczej niż nasze obecne) nie są zbudowane dzięki zbiórkom i donacjom dla określonej tylko liczby potrzebujących, znajdzie pomoc każdy, niezależnie, ilu ich będzie, wszystko *ex publico aerario* [na koszt publiczny]; tak będą one utrzymywane, bo *non nobis solum nati sumus, &c.* [nie dla siebie tylko się urodziliśmy]. Zadbam o odpowiednio rozlokowane ujęcia czystej słodkiej wody i wspólne spichlerze, jakie spotyka się w miśnieńskim Dreźnie, pomorskim Szczecinie, w Norymberdze itd.; znajdą się kolegia dla matematyków, muzyków i aktorów, jak to miało miejsce w jońskim Lebedos, ale też alchemików, lekarzy, artystów i filozofów: by wszystkie te dziedziny nauki i sztuki szybciej się rozwijały i były lepiej wykładane; zatrudnię publicznych historiografów, jak czynili starożytni Persowie, *qui in commentarios referebant quae memoratu digna gerebantur*, by ich, zatrudnionych przez państwo ekspertów, domeną było spisywanie wszelkich informacji i aktów, w przeciwieństwie do obecnych czasów, gdy zajmują się tym niedouczone pisarzyny i pasożytniczy pedanci. Utworzę publiczne szkoły różnych typów, w których będzie się uczyło śpiewu, tańca, szermierki itd., a szczególnie gramatyki i języków, ale

nie, jak to ma najczęściej miejsce, poprzez nużące ćwiczenia i nakazy, ale dzięki praktyce, doświadczeniu i konwersacji, podobnie jak zdobywają wiedzę podróżnicy albo dzieci uczone przez piastunki: dla każdej z tych placówek wyznaczę społecznych nadzorców i urzędników, skarbników, inspektorów, kwestorów, wizytatorów, którzy by dbali o uczniów, wdowy, wszystkie miejsca publiczne itd., i którzy raz do roku mieliby kontrolować i sprawozdawać wydatki, by uniknąć niejasności, *et sic fiet ut non absumant* (jak to Pliniusz pisał do Trajana) *quad pudeat dicere* [co, wybacz, że poruszam ten temat, zapobiegnie marnotrawstwu]. Będą oni podlegać wyższym urzędnikom i gubernatorom prowincji, którymi nie mogą zostać biedni kupcy czy zwykli rzemieślnicy, ale szlachta i arystokracja, do której obowiązków należy przebywanie na terenie miasta, którym zawiadują: trudno o powód, dla którego (na co skarżył się też Hipolit) „większym dyshonorem dla wysoko urodzonego miałoby być zarządzanie miastem niż państwem albo też mieszkanie w tym miejscu miałoby przynosić ujmę w tych czasach większą niż dawniej". W kraju nie będzie bagien, mokradeł, puszcz, pustyń, jałowej ani wspólnej ziemi, która by nie była ogrodzona (lecz nie bezludna, na co zważ, żebyś mnie źle nie zrozumiał), bo to, co jest wspólne, co należy do każdego, nie należy do nikogo; najbogatsze kraje są wciąż ogrodzone, jak nasze Essex czy Kent, Hiszpania, Włochy; a gdzie tych grodzeń prawie się nie stosuje, jak we włoskiej Florencji czy syryjskim Damaszku itd., częściej spotyka się ogrody niż pola. Żaden akr ziemi na moim terytorium nie będzie leżeć odłogiem, nawet na szczytach gór: gdzie zawodzi natura, tam powinna zadziałać ludzka inwencja; zaś rzeki i jeziora nie powinny pozostawać niezagospodarowane. Wszelkie publiczne drogi, mosty, nabrzeża, zbiorniki wody, akwedukty, kanały, projekty publiczne, budynki itd. będą pieczołowicie utrzymywane i remontowane z publicznych środków; na obszarach krainy nie będą następować procesy depopulacji ani przeludnienia, nie dojdzie do wycinki lasów ani zmiany kwalifikacji gruntów bez zgody kuratorów, którzy będą w tej kwestii władni decydować na podstawie oceny potrzeb takiej zmiany, będą znali

problemy i potrafili im zaradzić, stwierdzając, *Et quid quaeque ferat regio, et quid quaeque recuset* [co każdy region może i powinien wytwarzać], jaka ziemia nada się na zalesienie, jaka na uprawę zbóż, na hodowlę bydła, jaka znów pod ogrody, sady, hodowle ryb itp., zważając też na sprawiedliwy podział pomiędzy wszystkie wsie (by nie dopuścić do tego, że jedno gospodarstwo zachłannie zagarniało będzie zysk dla siebie, co jest u nas powszechne) oraz pomiędzy właścicieli ziemskich i najemców gruntów; by tym ostatnim dać impuls do dbałości o ziemię, jej uprawę, nawożenie, obsadzanie drzewami, drenaż, grodzenie itp., powinni oni móc liczyć na długoterminowy najem o ustalonym czynszu, a także znać kwotę odstępną za opuszczenie dzierżawy z powodu nadmiernych egzekucji ze strony bezwzględnych właścicieli. Ci kuratorzy powinni także określić, jaka powierzchnia gruntu odpowiada potrzebom danego właściciela, a jaka ma być przeznaczona pod najem, co należy hodować, *Ut Magnetes equis, Minyae gens cognita remis* [gdy Magnezjanie są znani z hodowli koni, to Argonauci z żeglugi], czym nawozić, co uprawiać, jak glebę oczyszczać, gdyż

Hic segetes veniunt, illic felicius uvae,
Arborei foetus alibi, atque injussa virescunt
Gramina

[Gdy tu zboża, to tam winorośl lepiej się przyjmie; tu drzewu
Obradzają bez miary owoce, a tam trawa wschodzi bez siewu],

i jakim miarom potrzeb podporządkować tę produkcję, bo prywatni zarządcy często są durniami, złymi gospodarzami, ciemiężycielami, chciwcami, którzy myślą wyłącznie o własnym zysku, a nie o dobru wspólnym. Do władzy opartej na utopijnej równości należy raczej dążyć, niż ją rzeczywiście uskutecznić, bo Respublica Christianopolitana i Miasto Słońca Campanelli czy Nowa Atlantyda były zmyślnymi imaginacjami, ale i zwykłymi mrzonkami; natomiast Platońska idea społeczeństwa jest w wielu wymiarach niegodziwa,

absurdalna i groteskowa, jako że pozbawia je świetności i znaczenia. Ustanowiłbym kilka szczebli w hierarchii szlachectwa, także tego dziedzicznego, w którym jednak nie zapomniano by o młodszych braciach dziedziców, których albo należy też zabezpieczyć godziwą pensją, albo, jeśli mieliby umiejętności, powołać na stanowisko, dzięki któremu mogliby się sami utrzymywać. Ziemię należałoby proporcjonalnie rozdzielić pomiędzy baronów: kto kupi ziemię, kupuje też godność, a kiedy by przez zaniedbanie stracił swój majątek, zostanie też pozbawiony posiadanej godności. Część tytułów miałaby być dziedziczna, część nabywana drogą wyboru lub nadania (oprócz społecznych funkcji, emerytur i rent), jak to ma miejsce w przypadku naszych biskupstw i probostw, tureckich pałaców baszów czy weneckich prokuratorskich domów i kancelarii, które są złotym jabłkiem darowanym obywatelom najbardziej tego godnym i zasłużonym czy to w czasie wojny, czy pokoju, jako nagroda za ich autorytet i służbę: dla jednych stanowi to cel (*honos alit artes* [honory to zachęta do uprawiania sztuki]), a dla innych znów dodatkowy bodziec. Bo mam w pogardzie te sprzeczne z naturą i surowe dekrety obowiązujące w Niemczech, Francji czy Republice Weneckiej, które wykluczają możliwość zdobywania godności przez plebejuszy: niezależnie od tego, jak by nie byli mądrzy, bogaci, odważni, bohaterscy i wysoko wykwalifikowani, to nie zostaną przyjęci do arystokracji, a będą zmuszeni trwać w obrębie swojej grupy, podczas gdy jest to *naturae bellum inferre* [wojna wydana naturalnemu porządkowi], wstrętna i Bogu, i człowiekowi, i ja do niej także czuję odrazę. Moja władza będzie miała charakter monarchii;

Nunquam libertas gratior extat,
Quam sub Rege pio, &c.

[Wolność nigdy nie jest ta słodka jak wtedy,
Gdy gwarantuje ją prawy książę itd.]

Hippocondriacus.

Niewiele ustanowię praw, a te, które będą obowiązywać, spiszę jasno i w języku ojczystym, by każdy je mógł zrozumieć. Każde z miast ma mieć swoją własną specjalizację i monopole, dzięki którym będzie się utrzymywać: wszyscy rodzice musieliby uczyć swoje dzieci, a przynajmniej jedno z trojga, oraz wprowadzać je w tajniki tego szczególnego fachu. Poszczególni fachowcy będą stosownie rozmieszczeni w każdym z miast, by nie stanowili dla reszty zagrożenia ani dyskomfortu: ci, których praca wymaga otwartego ognia, jak kowale, piwowarzy, piekarze, wytapiacze metali itd., swoje warsztaty usytuują z dala od siebie; farbiarze, wyprawiacze skór i garbarze, więc ci, których warsztaty potrzebują do pracy wody, osiądą w miejscach, gdzie jest do niej dostęp; zakłady, które powodują hałas i smród, jak ubojnie, wytwórnie świec, garbarnie, mają być zlokalizowane w miejscach odludnych i na przedmieściach. Jestem zwolennikiem związków kupieckich i stowarzyszeń naukowych grupujących farmaceutów, lekarzy, muzyków itp., ale wszystkie one będą podlegać kontroli, jak to się dzieje w przypadku piekarzy czy browarników, pod względem ustalania cen produktów i usług, by w razie niedostatku jakiegoś produktu nie podnosili cen. W przypadku produktów, które muszą być importowane, a są ludziom niezbędne do przeżycia, jak zboże, drewno czy węgiel itp., zaopatrzenie, bez którego nie można się obyć, będzie obciążone niewielkim albo żadnym podatkiem; a na towary sprowadzane dla zaspokojenia próżności czy dla czystej przyjemności, jak wino, przyprawy, tytoń, jedwab i aksamit, złote tkaniny, koronki, biżuteria, będą nałożone znaczniejsze cła. Każdego roku z portów wyjdą statki, by dokonywać nowych odkryć, a zaufani ludzie będą się udawać lądem do sąsiednich królestw, by przyglądać się ich nowym wynalazkom i dobrym rozwiązaniom prawnym, zwyczajom i reformom, wszystkiemu, co przydaje się i w czasie wojny, i pokoju, a co może służyć wspólnemu dobru. Władza kościelna, *penes Episcopos* [w rękach biskupów], jest podległa zwierzchności jak wszystkie inne. Nie będzie dozwolone przekazywanie kościelnych beneficjów osobom świeckim (ani nie będą oni mieli pieczy nad majątkiem Kościoła), ale

wspólnotom, stowarzyszeniom itd., a proboszczowie będą wybierani spośród akademików i przechodzili egzaminy, i otrzymywali glejt jak skrybowie w Chinach. Żadna parafia nie może przekraczać tysiąca parafian. Wybrałbym, jeśli to możliwe, takich księży, którzy naśladują Chrystusa, prawników, którzy by miłowali bliźnich jak siebie samych, powściągliwych i skromnych lekarzy, polityków lekceważących świat, filozofów, którzy wpierw poznali samych siebie, etycznych arystokratów, kupców stroniących od kłamstw i oszustw, a sędziów, którym obce przekupstwo itd., co jest, oczywiście, niemożliwe, stąd pozostanie mi zebrać tylu takich, ilu się da. Konieczne więc będzie określenie liczby prawników, sędziów, adwokatów, lekarzy, chirurgów, itd., więc każdy człowiek będzie, jeśli zaistnieje taka możliwość, stawał przed sądem sam i zdawał sprawę tak, jak czyniłby to jego adwokat, gdyż tak się dzieje w afrykańskim Fezie, Bantamie, Aleppo czy Ragusie, *suam quisque causam dicere tenetur* [każdy ma zeznawać sam w swojej sprawie]. Ci zaś adwokaci, chirurdzy czy lekarze, którym zostanie nadana pensja ze wspólnej kasy, nie będą pobierali żadnych opłat pod groźbą utraty posady; a gdyby jednak mieli je pobierać, byłyby bardzo małe i płatne dopiero po wykonaniu pracy. Kto będzie przed sądem oskarżał innego mieszkańca, powinien wnieść zastaw, który przepadnie, gdyby się okazało, że sprawę zgłaszał mylnie, pochopnie lub w złej woli. Albo jeszcze nawet przed rozpoczęciem procesu wnoszący sprawę miałby ją najpierw przedstawić gronu specjalnie wyznaczonych delegatów, a gdy ci uznaliby, że pozew ma podstawy, rozpatrywałby go sąd, jeśli zaś nie, sprawa zostałaby zamknięta. Wszelkie sprawy winny być składane *supresso nomine*, z zatajeniem imion stron, o ile szczególne okoliczności nie wymagałyby ich ujawnienia. Sędziowie i inni urzędnicy powinni być stosownie do potrzeb rozlokowani w każdej prowincji, mieście, wiosce w roli arbitrów, którzy wysłuchiwaliby skarg i rozstrzygali spory, i to nie w pojedynkę, ale w grupie składającej się z przynajmniej trzech osób wydających wyrok, które będą się zmieniać, by stale nie obradował ten sam skład. Żadna sprawa nie powinna być rozstrzygana dłużej niż rok,

lecz bez zwłoki i odraczania rozpatrzona i zamknięta w wyznaczonym terminie. Wymienieni powyżej, ale i wszyscy pozostali urzędnicy będą wybierani albo jak ci chińscy skrybowie, albo jak u wenecjan w głosowaniu, by ich wybór nie był zależny od honorów i stanowisk, ale wyłącznie od wykształcenia i reprezentowanego poziomu, które ocenią wyznaczeni egzaminatorzy: wśród nich najpierw uczeni, a dopiero w drugiej kolejności żołnierze, bo sam podzielam opinię Wegecjusza, że szkolarz zasługuje na większą atencję niż żołnierz, bo *unius aetatis sunt quae fortiter fiunt, quae vero pro utilitate reipub. scribuntur, aeterna*, dzieła żołnierzy przetrwają stulecie, a dzieła uczonych będą trwać wiecznie. Gdy czemuś uchybią, mają być zdjęci ze stanowiska i odpowiednio ukarani, a niezależnie od tego, czy obejmują je na rok, czy na dłużej, raz do roku powinni zostać wezwani do złożenia sprawozdania; ludzie przecież mają swoje słabości, namiętności, bywają bezwzględni, chciwi, zdeprawowani, podlegli miłościom, nienawiściom, własnym lękom, dowodom wdzięczności itp., *omne sub regno graviore regnum* [każdy tron jest wasalem większego tronu]: na wzór areopagitów Solona czy rzymskich cenzorów powinni odwiedzać innych urzędników i sami *invicem* [wzajemnie] ich gościć, a także nadzorować strażników, by ci pod osłoną swojej władzy nie mogli znieważać stojących niżej w hierarchii albo też, jak dzikie zwierzęta czynią, nie śmieli innych tyranizować, zmuszać do czegoś, besztać, wykorzystywać czy lekceważyć, ale by *aequabile jus*, sprawiedliwość dotyczyła wszystkich jednakowo, którzy żyją jak przyjaciele w braterstwie; panowałaby, czego Sesellius pragnął dla swojej Francji, „zgoda i słodka harmonia królów, książąt, arystokratów i plebejuszy, których tak wiązałaby wzajemna miłość na równi z prawami i władzą, że nigdy nie popadaliby w konflikty, nie ubliżali sobie ani nie naruszali swoich dóbr". Gdy ktoś zasłuży się na swoim urzędzie, powinien zostać za to nagrodzony,

Quis enim virtutem amplectitur ipsam,
Proemia si tollas?

[Gdy zniesie się nagrody, kto wybierze cnotę dla niej samej?]

Każdy, kto się może pochwalić dokonaniem w sztuce bądź nauce służącym dobru wspólnemu, napisze jakiś uczony traktat czy urzeczywistni cnotliwy postępek, powinien zostać odpowiednio wynagrodzony, doceniony i awansowany. Jak u Enniusza mówi Hannibal: *Hostem qui feriet erit mihi Carthaginensis* [kto pokona wroga, będzie w moich oczach Kartagińczykiem], więc niech otrzyma to, na co zasłużył pracą i uczynkami.

Tilianus u Philoniusa miał sobie życzyć, kierowany niewątpliwie wyższym odruchem, by jego książki były zdobione złotem, srebrem i drogocennymi kamieniami, by za ich sprawą zakładnicy mogli odzyskiwać wolność, a biedacy wybawieni byli ze swojej niedoli; nie przeczę, że to postawa bardzo etyczna, ale do czego by to doprowadziło? Podejrzewam, że nawet gdyby mieć do dyspozycji bogactwa Krezusa, to po krótkim czasie biednych znów byłoby tyle samo. Nie dopuszczę więc, żeby wiedli tam żywot żebracy, wykolejeńcy, włóczędzy czy ludzie pozbawieni zajęcia, którzy nie potrafią wyjaśnić, z czego się utrzymują. Jeśli będą niezdolni do pracy, chromi, niewidomi i samotni, znajdą pomoc w specjalnych placówkach powołanych do tego celu; gdyby mieli rodziny, lecz byli niezdolni do pracy z racji wieku czy choroby albo innej poniesionej szkody czy ruiny, wówczas będą mogli liczyć na darmowy przydział zboża lub mieszkania, lub też wyznaczoną roczną pensję, która będzie odpłatą za ich wcześniejszą służbę; gdy będą zdolni do pracy, będzie im ona nakazana. „Nie ma bowiem powodu" (twierdzi autor *Utopii*) „by rozpustny czy leniwy darmozjad, bogaty żarłok albo lichwiarz mieli żyć w dostatku i bezczynności, cieszyć się honorami i wszelkiego rodzaju przyjemnościami, a jednocześnie uciskać innych, gdy w tym samym czasie biedny robotnik, kowal, cieśla czy rolnik oddają się ciągłej harówce, jak juczne osły, zapewniając republice dobra niezbędne wszystkim do życia, a na starość muszą żebrać czy głodować, wiodąc życie gorsze od pociągowych zwierząt". Zadania powinny być określane przy uwzględnieniu warunków, żeby nikt nie był

eksploatowany ponad siły, ale miał czas na odpoczynek i wakacje, *indulgere genio* [by móc się realizować], czas na zabawę i życie towarzyskie, i żeby każdy, nawet zwykły wyrobnik czy służący, mógł, jak jego zwierzchnik, raz w tygodniu oddać się śpiewom czy tańcom (oby tylko nie wszyscy na raz), czy czemukolwiek, co go uszczęśliwia; jak *Saccarum festum* w Persji, Saturnalia w Rzymie. Jeśli ktoś się nieprzyzwoicie spije, dotknie go zakaz spożycia wina i mocnego alkoholu przez następne dwanaście miesięcy. Bankrut powinien być *Catademiatus in Amphitheatro*, publicznie napiętnowany, a jeśli nie jest w stanie spłacić swojego długu, bo roztrwonił majątek, ma być osadzony w więzieniu na dwanaście miesięcy, a w przypadku, gdy jego wierzyciele nie zostaną w tym czasie zaspokojeni, powinien zostać powieszony. Kto popełni świętokradztwo, straci dłonie; temu, kto świadczy nieprawdę i winien jest krzywoprzysięstwa, zostanie odjęty język, o ile nie zdecyduje się zapłacić za to głową. Morderstwo i cudzołóstwo będą karane śmiercią, inaczej w przypadku grabieży, o ile nie będzie stanowiła wielkiego uszczerbku dla pokrzywdzonego i nie będzie notorycznym deliktem: wówczas winny będzie skazany na galery lub pracę w kopalni lub też odda się w niewolę temu, kogo skrzywdził. Jest mi wstrętne dziedziczone przez następne pokolenie niewolnictwo, owo, jak to określa Brisonius, *duram Persarum legem* [drakońskie perskie prawo]; czy, jak mówi Ammianus, *impendio formidatas et abominandas leges, per quas ob noxam unius, omnis propinquitas perit,* niemiłosierne prawo, wedle którego żona i dzieci winowajcy, a także jego przyjaciele i towarzysze mają cierpieć za jego przewiny.

Żaden mężczyzna nie może zawierać związku małżeńskiego przed 25. rokiem życia, a kobieta przed 20., *nisi alitur dispensatum fuerit* [bez szczególnego przyzwolenia]. Gdy jedno z małżonków umrze, drugie nie może ponownie brać ślubu przez co najmniej pół roku; jako że wiele rodzin zmuszonych jest do skromnego życia przez konieczność zapłacenia wyniszczającego ich posagu, zostanie on zniesiony albo ograniczony do kwoty ustalonej przez urzędnika, przy czym większą kwotę otrzyma strona biedniejsza, jeżeli zaś są zamożni, nie otrzymają

go wcale lub w niewielkiej wysokości: w żadnym wypadku nie wolno jednak przekroczyć kwoty ustalonej przez kontrolera. Tego, kto osiągnie wyznaczony wiek, ani ubóstwo, ani żadna inna przyczyna nie powinna powstrzymać przed małżeństwem, a każdy powinien się spotykać z zachętą raczej niż komplikacjami, chyba że dotyczy to osoby kalekiej, poważnie zdeformowanej, niedołężnej albo też będącej nosicielem poważnej choroby dziedzicznej ciała lub umysłu; w takim przypadku zawieranie małżeństw będzie pod groźbą kary wzbronione zarówno mężczyznom, jak i kobietom, a w zamian należy zaproponować im stan dla nich zadowalający. Gdy dojdzie do przeludnienia, sytuację poprawić powinny kolonie.

W żadnym mieście nie będzie dozwolone noszenie broni. Stroje powinny być w obrębie każdej grupy zawodowej dostosowane do jej potrzeb i ujednolicone, dzięki czemu będzie można rozpoznać jej członków. *Luxus funerum* [wystawne pogrzeby] powinny być zakazane, bo te nadmierne wydatki, jak i wiele innych należy ograniczyć. Nie przystanę na istnienie kantorów, lombardów, grabieżczej lichwy; ale że *hic cum hominibus non cum diis agitur*, mamy tu do czynienia z ludźmi, a nie bogami, więc dla zatwardziałych ludzkich serc dopuszczę jakiś rodzaj lichwiarstwa. Powiedziałbym, że gdybyśmy wszyscy byli uczciwi, *si probi essemus*, lichwa nie byłaby nam potrzebna, ale skoro nie jesteśmy, trzeba ją zaakceptować. I jakkolwiek większość duchownych ją potępia (*dicimus inficias, sed vox ea sola reperta est* [nasze usta mówią „nie", lecz to nic dla nas nie znaczy]), politycy przymykają na to oko. Lichwę pochwalają też niektóre wielkie umysły, jak Kalwin, Bucer, Zanchi, Piotr Męczennik, a jako że dopuszczają ją też wielcy prawnicy, cesarskie dekrety, książęce statuty, zwyczaje krajowe czy kościelne przyzwolenia itp., ja także na nią się zgodzę. Ale nie będzie ona dostępna ani wszystkim osobom wedle ich zachcianki, ani sierotom, kobietom stanu wolnego czy wdowom, ani tym, którzy z racji wieku, płci, niewiedzy bądź nieznajomości prawideł ekonomii nie znają jej reguł; a ci, którym zostanie pozwolenie udzielone, nie będą mogli dowolnie dysponować pieniędzmi, ale oddadzą je do państwowej kasy bankowej, która działać

będzie w każdym mieście, jak to ma miejsce w Genui, Genewie, Norymberdze czy Wenecji, a odsetki ustali się na 5, 6, 7, a nie więcej niż 8 procent, co wyznaczą kontrolerzy albo *aerarii praefecti* zgodnie ze swoim rozpoznaniem. I skoro nie każdy będzie mógł udzielać pożyczek, to również nie każdemu ona zostanie dana: nie otrzymają jej rozrzutnicy i marnotrawcy, ale kupcy, młodzi przedsiębiorcy, ci, którym pieniądze są potrzebne i umieją z nich zrobić właściwy użytek, co potwierdzą powołani do tego urzędnicy.

Nie dopuszczę do powstania prywatnych monopoli, dzięki którym bogaci się jeden człowiek, a wielu popada w ruinę, ani do rozplenienia się urzędów i nadmiaru zastępców; ustalę jeden obowiązujący wzorzec miar i wag, które będą oparte na zasadzie *Primum mobile* i ruchu słońca, więc na podstawie obserwacji jeden stopień geograficzny będzie równy sześćdziesięciu milom, mila zaś tysiącu krokom, krok natomiast pięciu stopom, stopa dwunastu calom itd., a od tych ustaleń wiedzie prosta droga do określenia wag, zliczania ich oraz określania za pomocą algebry i stereometrii. Wojny są mi nienawistne, gdy nie są prowadzone *ad populi salutem* [dla dobra ludzi], z powodu krytycznych zagrożeń. *Odimus accipitrim, quia semper vivit in armis* [nienawidzimy sokoła, bo jest zawsze gotowy do walki]. Wojen najeźdźczych, chyba że ich powód byłby słuszny, nie dopuszczę. Bo zdecydowanie popieram to, co Hannibal powiedział Scypionowi: „Byłoby to błogosławieństwem dla obu stron, gdyby Bóg dał naszym przodkom przekonanie, że wasza jest Italia, a nasza Afryka. Bowiem ani Sycylia, ani Sardynia nie jest warta tych kosztów i trudów, zaangażowania flot i armii, a wreszcie poświęcenia życia tylu wielkich dowódców". *Omnia prius tentanda*, najpierw należy wykorzystać wszystkie inne dostępne środki. *Eragit tranquilla potestas, Quod violenta nequit* [pokojowa presja potrafi zdziałać więcej niż wojna]. I będę używał siły z wielkim umiarem: uświadomcie sobie, że moim generałem jest Fabiusz, a nie Minucjusz[2], stąd uważam, że *nam qui consilio nititur plus hostibus nocet, quam qui sine animi ratione, viribus* [strategia może większe uczynić szkody przeciwnikowi

niż bezmyślna siła]. A i w takich wojnach moją główną zasadą będzie unikanie depopulacji, zniszczenia miast, ochrona dzieci itd. Gdy idzie o wojny obronne, to moje siły będą nieustannie w niskim stanie gotowości, czy to na lądzie, czy na morzu, sprawna flota i żołnierze *in procinctu, et quam Bonfinius apud Hungaros suos vult, virgam ferream* [gotowi do boju i, tak Bonfini wyobrażał sobie swoich Madziarów, jako żelazny pręt], a wyznaczony budżet, który jest *nervus belli* [ścięgnem wojny], zawsze w rezerwie, dzięki trzeciej części budżetu przeznaczonej, jak to bywało w Rzymie i Egipcie, na rzecz wspólnoty; tym sposobem można będzie uniknąć wysokich podatków i danin, a także pokryć wydatki wojenne, ale także inne straty wynikające ze sprzeniewierzeń, wydatków, opłat, pensji, reparacji, nobliwych rozrywek, uroczystości, donacji, nagród i publicznych rozrywek. A wszystkie te inicjatywy będą przedsiębrane racjonalnie i z wielką rozwagą: *ne quid temere, ne quid remisse ac timide fiat* [bez pośpiechu, za to z odwagą i determinacją]; *Sid quo feror hospes?* [czyżbym się trochę zagalopował?]. Opisanie reszty spraw zajęłoby cały tom. *Manum de tabella* [trzeba mi się zatrzymać], bo chyba już dawno wyczerpałem ten temat; chętnie bym kontynuował, ale narzucone ograniczenia na to nie pozwalają.

Część czwarta

Odzyskane zachody miłości

4.0

Na koniec Burton w przebraniu Demokryta wstępuje znów, jak się zdaje, na scenę, o której wspominał na samym wstępie swojej przedmowy. Stroi miny, podskakuje, gra kilka postaci równocześnie: mędrca i głupka; onieśmielonego, to znów pewnego siebie i swoich racji; skruszonego i butnego, czułego i brutalnego. To jego aktorski popis. Zagrywa się, gra – można powiedzieć – po bandzie, jego wielki monolog zjeżdża w najściślejszą komedię. To szlocha, to się zarykuje ze śmiechu. Raz czytelnika beszta, raz go ugłaskuje. Mizdrzy się, żeby za chwilę kpić. Nigdzie w całym tekście nie będzie już sobie pozwalał na taką swawolę, ale tu – jak i w całej tej ogromnej przedmowie – widać pełnię jego dowcipu, potęgę jego retorycznych zdolności.

Można by powiedzieć, że te retoryczne sztuczki, pozy, miny, które stroi – wszystko to jest (może i niezamierzoną, ale jednak) parodią zakochanego, *inamorato*, zalotnika, takiego, jakim go już przedstawiał w otwierającym księgę wierszu. Zaczyna więc tę ostatnią część przedmowy do *Anatomii* od miłości: skoro wszyscy jesteśmy szaleni, to tym bardziej nikt nie zaprzeczy, że szaleni w stopniu wyższym jeszcze są zakochani. I ten początek daje temat ostatniej już części wyboru – miłosna melancholia przyjdzie po nim.

Temu, że wszyscy zakochani są szaleni, nikt chyba nie zaprzeczy. *Amare simul et sapere* [kochać i zachować mądrość], *ipsi Jovi non datur*, to nawet Jowiszowi nie zostało udzielone.

Non bene conveniunt, nec in una sede morantur
Majestas et amor.

[Powaga i miłość – każda na swoją stronę przyzywa.
Gdzie się usadowiła jedna, druga wcale nie bywa.]

Gdy Tulliuszowi zasugerowano ponowny ożenek, odparł, że niepodobna *simul amare et sapere*, być jednocześnie rozsądnym i zakochanym. *Est orcus ille, vis est immedicabilis, est rabies insana*, miłość jest szaleństwem, samym piekłem, nieuleczalną chorobą; *inpotentem et insanam libidinem*, obezwładniającą i dziką namiętnością, jak to mówi Seneka. Na rozszerzenie tego wątku jeszcze przyjdzie czas; na razie niech kochankowie poświęcą się wzajemnym umizgom.

Prawnik Nevisanus przyjmuje za aksjomat twierdzenie, że „większość kobiet jest nierozumna", a Seneka, że tyczy to mężczyzn, niezależnie od wieku; czy ktoś w to wątpi? Młodość jest pomylona, jak twierdzi u Tulliusza Elius, *stulti adolescentuli, deliri senes*, ze starością jest może trochę lepiej, itd. Teofrast w 107. roku życia stwierdził, że zaczyna zyskiwać mądrość, *tum sapere coepit*, dlatego też tak lamentował nad swoim odchodzeniem. Skoro mądrość przychodzi tak późno, gdzie znajdziemy mędrca? Nasi nestorzy dziwaczeją już po siedemdziesiątce. Mógłbym podać więcej przykładów z lepszego może autora, ale na razie niech starczy ten głupiec przyganiający innym głupcom. Nevisanusa opinia o ludziach majętnych była równie bezwzględna: „bogactwo i mądrość nie idą w parze", *stultitiam patiuntur opes* [w parze idą zamożność i głupota], które razem *infatuare cor hominis*, ogłupiają ludzi; to „głupcy są posiadaczami fortun": *Sapientia non invenitur in terra suaviter viventium* [mądrości nie uświadczy się w dostatnim kraju]. Bo oprócz naturalnej u tych ludzi pogardy dla nauki charakteryzuje ich próżniactwo (a to przez brak trosk), ponieważ, jak zauważa Arystoteles, *ubi mens plurima, ibi minima fortuna* [gdzie najwięcej rozumu, tam najmniej dóbr materialnych], *ubi plurima fortuna, ibi mens perexigua*, a wielkie bogactwo towarzyszy niewielkiej zmyślności: w głowach tyle rozumu mają, ile w piętach; oprócz wrodzonej pogardy dla nauk wyzwolonych i wszelkiej sztuki, które mogą *excolere mentem*, oszlifować umysł, rządzą też nimi głupie ciągoty: ten jest epikurejczykiem, ten zaś ateistą, ów hazardzistą, a kolejny kurwiarzem (każda z tych przywar zasługuje na uwagę satyryka);

Hic nuptarum insanit amoribus, hic puerorum;

[Ten dla mężatek wciąż traci zdrowie,
Innemu znów chłopcy tylko w głowie;]

jeden zatraca się w sokolnictwie, łowiectwie, walkach kogutów; inny natomiast w hulankach, jeździectwie, rozrzutności; jeszcze inni stawiają sobie posiadłości albo oddają się awanturom itd. *Insanit veteres statuas Damasippus emendo* [Damasippusa opętała słabość do gromadzenia starych pomników], miał on tę szczególną naturę, o której trzeba wspomnieć; Heliodor z Emesy wyróżniał się czym innym. Mówiąc wprost, wszyscy oni są, zdaniem Scaligera, *statuae erectae stultitia*, posągami czy też filarami głupoty. Gdybyście ze wszystkich znanych historii wybrali tego, kto był darzony największym podziwem, to i tak odkryjecie, że *multa ad laudem, multa ad vituperationem magnifica* [wiele jest powodów do podziwu, ale i wiele do zarzucenia], jak o Semiramidzie pisał Berossos; *omnes mortales militia triumphis, divitiis, &c., tum et luxu, caede, caeterisque vitiis antecessit* [ona wszystkich ludzi przewyższała w sztuce wojennej i bogactwie, ale też w rozwiązłości, okrucieństwie i innych przywarach], i jak miała zalety, tak miała też wady.

Aleksander był człowiekiem szlachetnym, w złości jednak miewał napady szału, szczególnie gdy się upił; Cezar i Scypion, chociaż dzielni i mądrzy, byli również pyszałkowaci i żądni chwały; Wespazjan był władcą zacnym, ale chciwym; Hannibal równo był obdarzony cnotami, jak i przywarami; *unam virtutem mille vitia comitantur* [jednej cnocie towarzyszy tysiąc przywar], co pisał Machiavelli o Kosmie Medyceuszu, jakby mieścił on w sobie dwie różne osoby. Wszystkich ich bym porównał do tych podwójnych czy też obrotowych obrazów, przed którymi gdy staniesz, widzisz na wprost piękną damę, a spojrzawszy z jednego boku, dostrzegasz małpę, a z drugiego znów sowę; gdy pierwszy raz skierujecie na nich wzrok, to wszystko się zgadza, ale

przyjrzyjcie się dokładniej, a zobaczycie z jednej strony mędrca, a z drugiej głupka; niektóre czyny będą godne pochwały, jednak cała reszta niepomiernie ułomna. Nie wspomnę już nawet o ich chorobach, zmaganiach, zgorzknieniu, niedostatkach i innych boleściach; całą resztę niech dopowie Bieda w komedii Arystofanesa *Plutos*.

Chciwcy są, pośród wielu ludzi, najbardziej szaleni, bo wszystkich ich naznaczają symptomy w postaci melancholii, lęku, smutku, podejrzliwości itd., co gdzie indziej zostaje dowiedzione.

Danda est Hellebori multo pars maxima avaris.

[Gdyby skąpcy wzięli całą Antikyrę w posiadanie,
Nie byłoby pewne, czy też ciemiernika dla nich stanie.]

A jednak zdaje mi się, że marnotrawcy są jeszcze bardziej szaleni, niezależnie od tego, czy własny, czy publiczny grosz trwonią; holenderski pisarz potępiał bogatego księcia Kornwalii z królewskimi aspiracjami za jego nieumiarkowanie w wydatkach, że *qui effudit pecuniam, ante pedes principium Electorum sicut aquam*, trwonił pieniądze jak wodę; i ja go za to ganię. *Stulta Anglia* (tak mówił) *quae, tot denariis sponte est privata, stulti principes Alemaniae, qui nobile jus suum pro pecunia vendiderunt* [głupia Brytania, że wyrzuca w błoto tyle pieniędzy bez potrzeby; głupi książęta Germanii, którzy swój honor oddają za mamonę]; rozrzutnicy, wręczający łapówki i łapówkarze są głupcami, podobnie jak ci, którzy nie potrafią oszczędzać pieniędzy ani ich wydawać rozsądnie.

Podobnie myślę o złośliwych, gniewnych, zazdrosnych i ambitnych; *Anticyras melior sorbere meracas* [lepiej byście stężoną Antikyrę spożywali]; o epikurejczykach, ateistach, schizmatykach, heretykach; o tych, co *hi omnes habent imaginationem laesam* [ich wyobraźnia jest chora], jak mówi Nymannus, „a głupstwo ich jawne będzie wszystkim" (2 List do Tymoteusza 3:9). Rzymianin Fabatus w wyprawiających się za morza widział szaleńców; „statek jest szaleństwem, bo nigdy nie stoi

w miejscu; żeglarze są szaleni, wystawiając się na nieuchronne niebezpieczeństwo: wody w nieustannym ruchu są rozszalałe: rozszalałe są wiatry, stąd płynący nigdy nie wiedzą, skąd one przybędą ani dokąd ich zaniosą: spośród wszystkich ludzi ci, co wypływają w morze, są najbardziej szaleni; na jednego głupca w domu przypada czterdziestu, których spotkają za morzem". Sam był szaleńcem, że to pisał, a wy równie szaleni, że to czytacie. Felix Platter uważa, że wszyscy alchemicy z racji swojej inwencji są szaleni; Atenajos to samo powiedział o skrzypkach, *et musarum luscinias* [owych słowikach muz], muzykach, *omnes tibicines insaniunt* [wszyscy fleciści są pomyleni], *ubi semel efflant, avolat illico mens,* bo gdy jednym uchem wpada muzyka, drugim wypada rozum. Ludzie pyszni i chełpliwi są bez wątpienia szaleni; takoż lubieżnicy; wyczuwam ich przyspieszony puls; spośród nich niektórzy zupełnie są obłąkani, którzy nie reagują, gdy inni sypiają z ich żonami.

Żeby wszystko to zważyć w szczegółach, byłoby to zadanie godne Herkulesa, *insanas substructiones, insanos labores, insanum luxum,* szaleńcze prace, szaleńcze książki, dążenia, manierę, rażącą ignorancję, osobliwe działania, absurdalne gesty; *insanam gulam, insana jurgia* [obłędne obżarstwo, szaleńcze spory], *insaniam villarum,* jak to mówił Tulliusz, szaleństwo wiejskich posiadłości z tymi okazałymi budowlami, egipskimi piramidami, labiryntami i sfinksami, które ciżba dworskich osłów, *ad ostentationem opum* [by pokazać swoje bogactwo], wystawia tak nieskromnie, że nie wiadomo, jaki architekt albo jaki król to pobudował i dla jakiego pożytku; żeby zważyć ich hipokryzję, zaślepienie, nieodpowiedzialność, *dementem temeritatem* [bezmyślną niefrasobliwość], oszustwa, kombinacje, złośliwość, gniewność, bezczelność, niewdzięczność, wybujałe ambicje, bezmierną zabobonność, *tempora infecta et adulatione sordida* [czasy zepsute i skalane pochlebstwem], jak za Tyberiusza, czasy podłego wazeliniarstwa, okazałego i pasożytniczego komplemenciarstwa, przymilności itd., awantur, konfliktów, żądz, sporów, żeby wszystko to ocenić, trzeba by fachowej wiedzy Wesaliusza, który przeprowadziłby ich anatomiczny

rozbiór. Miałbym i szalonymi nazwać Jowisza, Apolla i Marsa, i in.? Nawet Herkules, który stawał przeciw potworom i władał światem, nie mógł sam siebie uleczyć i uległ w końcu szaleństwu. Gdzieby pójść, z kim rozmawiać, w jakich prowincjach i miastach, żeby się nie natknąć na Signora Deliro[1], Herkulesa w szale[2], menady czy korybantów? Ich mowa wszystko potwierdza. *E fungis nati homines* [byli to ludzie zrodzeni przez grzyby] albo swój rodowód wywodzili z tych, których Samson rozgromił przy pomocy oślej szczęki[3]; albo z kamieni rzuconych przez Deukaliona i Pyrrę, bo *durum genus sumus, marmorei sumus,* mamy kamienne serca i zbyt wyraźnie znać w nas to kamienne pochodzenie: jakby wszyscy dali się omamić przez ten zaklęty róg Astolpha, angielskiego księcia u Ariosta, który nigdy się nie odezwał, ale wszystkich, których dobiegł jego dźwięk, czynił szalonymi i skłaniał do samobójstwa; albo jakby wyszli na brzeg w znanej z *Daphnis insana* przystani nad Morzem Czarnym, której dziwna właściwość prowadziła przybyszów do obłędu; wpadają w pomieszanie ci mieszkańcy wieczoru[4], którym bez przerwy świeci świętojański księżyc i psie dni trwają przez cały rok, wszyscy oni pomyleni. Kogo spośród nich wyłączyć? Ulrich von Hutten pisze: *Nemo; nam, nemo omnibus horis sapit, Nemo nascitur sine vitiis, Crimine Nemo caret, Nemo sorte sua vivit contentus, Nemo in amore sapit, Nemo bonus, Nemo sapiens, Nemo, est ex omni parti beatus* [Nikogo; Nikt bowiem cały czas nie jest rozsądny; Nikt nie rodzi się bez wad; Nikt nie jest wolny od winy; Nikt nie żyje w ciągłym zadowoleniu; Nikt nie zachowuje rozsądku w miłości; Nikt nie jest prawy; Nikt mądry; Nikt nie jest całkowicie szczęśliwy] itd.; stąd tylko Nicholas Nemo, ów Pan Nikt, może ujść cało. *Quid valeat nemo, Nemo referre potest* [Nikt nie może powiedzieć, do czego Nikt jest zdolny]. A kogo mógłbym wyłączyć w drugiej kolejności? Tych, którzy zachowują milczenie, *vir sapit qui pauca loquitur* [ten jest mądrym, kto niewiele mówi]; brak lepszych sposobów na uniknięcie głupstwa niż praktykowanie małomówności. Kogo w trzeciej kolejności? Senatorów i urzędników, jako że wszyscy, którym sprzyja szczęście, są mądrzy, tak

jak tryumfatorzy są dzielni, a podobnie jest z resztą wielkich ludzi, *non est bonum ludere cum diis* [nie jest dobrym czynienie bogom figli], którzy są mądrzy z mocy swojej władzy, urzędu i pozycji, *his licet impune pessimos esse* [ich przywileje pozwalają im być złymi ludźmi], że (jak niektórzy twierdzą) nie powinniśmy nawet o tym wspominać, ani nam to nie przystoi; *per me sint omnia protinus alba* [dla mnie to, o czym wspominam, musi być niesplamione], nie będę myśleć więc o nich źle. Kogo jeszcze? Stoików? *Sapiens Stoicus* [stoik to jest mądry] i jako jedyny nie podlega żadnym niepokojom, jak to z niego kpił Plutarch, „nie znosi męczarni, nie pali go wewnętrzny ogień, przeciwnik go nie powstrzyma, a wróg nie zniewoli: nawet pomarszczony, częściowo oślepły, bezzębny i pokrzywiony jest najpiękniejszym z ludzi, równy bogom, ten król mądrości niewarty złamanego grosza". „Nigdy nie dopada go pomylenie ani szaleństwo, nigdy smutek czy pijaństwo, ponieważ nie da się odebrać mu cnoty", jak twierdzi Zenon, „ze względu na jego silne przekonania", ale i on sam musiał być szalony, skoro tak uważał. *Anticyrae caelo huic est opus aut dolabra* [ani mu nie potrzeba klimatu Antikyry, ani motyki], ale potrzeba mu poczucia odrętwienia, podobnie jak jego pobratymcom, za jak mądrych by oni nie uchodzili. Chryzyp w swojej pobłażliwości uważał ich za głupców równych niekiedy pozostałym, *amitti virtutem ait per ebrietatem, aut atribilarium morbum*, których cnota może przegrać z pijaństwem bądź melancholią, bo i także im grozi szaleństwo jak każdemu innemu człowiekowi: *ad summum sapiens nisi quum pituita molesta* [mądrość wyczerpuje swą moc pod wpływem nadmiaru flegmy]. Wykluczyć z tego grona powinienem też niektórych cyników, Menipposa, Diogenesa, Kratesa z Teb; a gdyby teraz powrócić do naszych czasów, dotyczyłoby to tych rozumnych członków ruchu różokrzyżowców, jak i wielkich teologów, polityków, filozofów, lekarzy, gramatyków, artystów itd., których św. Brygida, Joachim da Fiore czy Leicenbergius i inne święte umysły przewidziały i zapowiedziały światu, o ile ci rzeczywiście się pojawią (w co Neuhusius, Valentinus Andreas i inni jeszcze powątpiewają), a dalej Eliasa Artifexa, ich teofrastycznego nauczyciela, wyśmiewanego

i wyszydzanego przez Libaviusa i wielu innych, za to przez innych określanego mianem „odnowiciela wszelkich sztuk i nauk", wielkiego reformatora świata, wciąż nam współczesnego, którego wielki opiekun Paracelsusa, Giovanni Battista Monte, nazywał „najświętszym z ludzi" i uosobieniem mądrości niezależnie od tego, w jakich kręgach się obraca; on bowiem, ale i jego towarzysze, i przyjaciele, itd., wszyscy są „zaręczeni z mądrością", o ile możemy wierzyć słowom ich uczniów i naśladowców. I muszę też z tego grona wyłączyć Joosta Lipsa i papieża, których imiona należy wykreślić z katalogu głupców, bo prócz tej pasożytniczej opinii Janusa Dousy, jakoby

A Sole exoriente Maeotidas usque paludes,
Nemo est qui Justo se aequiparare queat,

[Od miejsca, gdzie wschodzi słońce, aż do Meockiego Morza[5]
Nikt nie mógł się równać z Justusem,]

Lips sam o sobie powiedział, że jest *humani generis quidem paedagogus voce et stylo* [pedagogiem, który korzysta z głosu i rylca]; wielki to człowiek, nauczyciel nas wszystkich, który chwalił się, że przez trzynaście lat niósł wiedzę w Niderlandach, jak to filozof Amoniusz czynił w Aleksandrii, *cum humanitate literas et sapientiam cum prudentia* [naukę kultury i praktyczną filozofię]: *antistes sapientiae* [preceptor mądrości], jakby był *sapientum octavus* [ósmym mędrcem]. Papież natomiast jest kimś więcej niż człowiekiem, jak o nim mówią ślepi wyznawcy, półbogiem, jest Jego Świątobliwość nieomylna *in Cathedra*: ale i wśród nich byli magicy, heretycy, ateiści, dzieci, jak to Platina powiedział o Janie XXII, że *Et si vir literatus, multa stoliditatem et laevitatem prae se ferentia egit, stolidi et socordis vir ingenii,* choć był dobrze wykształconym szkolarzem, wiele rzeczy czynił głupio i niefrasobliwie. O całej reszcie mogę nie tyle w odniesieniu do poszczególnych przypadków, ale najogólniej tylko rzec, że wszyscy są szaleni, ich rozum

uleciał i, jak to sobie przedstawiał Ariosto, składowany jest w dzbanach gdzieś za Księżycem.

> Niektórzy tracą rozum z miłości, niektórych ambicja mami,
> Niektórym w głowie mąci kontakt z wyższymi sferami.
> Niektórzy tracą go dla błyskotek od jubilera,
> Innym natomiast to poezja rozum odbiera.
> Innym jeszcze marzy się kariera alchemika,
> Do czasu aż cała ich fortuna we mgle znika.

Są to głupcy ze stosownym wyrokiem, notowani szaleńcy; i obawiam się, że dla wielu z nich nie ma już lekarstwa, *crepunt inguina* [męskość skrzypi], jawne są tego symptomy, a oni wszyscy są tymi przysłowiowymi „panami z Gotham”[6]:

> *Quum furor haud dubius, quum sit manifesta phrenesis.*
>
> [Jako że ich szaleństwo jest bezdyskusyjne, jego objawy oczywiste.]

Nie pozostaje nic innego, jak tylko posłać po *lorarios*, owych przedstawicieli władzy, którzy ich wszystkich odstawią do Bedlam[7], a Rabelais'go uczynią ich lekarzem.

Jeśliby znalazł się w międzyczasie ktoś, kto spyta, kim niby jestem, by tak surowe sądy wydawać o innych: *tu nullane habes vitia?*, czy jestem bez win? Oczywiście, mam ich więcej niż wy, niezależnie od tego, kim jesteście. *Nos numerus sumus* [jest nas wielu], wyznaję po raz kolejny, nie jestem mniej pomylony i szalony od was.

> *Insanus vobis videor, non deprecor ipse,*
> *Quo minus insanus,*
>
> [Twierdzisz, że jestem szalony, nie będę temu przeczył,]

nie zapieram się więc, *demens de populo dematur* [usuńcie szaleńca ze społeczeństwa]. Pocieszam się, że jestem tu w całkiem wybitnym gronie. I choć pewnie nie jestem tak taktowny i stonowany, jak być powinienem, nie jestem również tak pomylony ani tak zepsuty, za jakiego mnie być może uważasz.

Jest to na koniec oczywiste, że cały świat jest melancholijny, szalony, obłąkany, jak i każdy jego mieszkaniec, czego dowodząc, zakończyłem moje zadanie i wykazałem bezspornie to, co sobie założyłem. I nie mam nic więcej do powiedzenia. *His sanam mentem Democritus* [Demokryt życzy im zdrowia], a ja życzę i sobie, i im dobrego lekarza, a wszystkim nam przytomności umysłu.

A mając na uwadze powyższe względy, czułem się w prawie podjąć ten temat i wskazać poszczególne rodzaje pomylenia, żeby ludzie mogli rozpoznać swoje ułomności oraz podjąć się naprawy niedomagań; ale tym razem mam też poważniejszy powód: zostawiając więc na boku wszystkie zuchwałe dygresje, zostawiając w spokoju wszystkich tych błędnych melancholików czy też, metaforycznie mówiąc, szaleńców, pomyleńców, głupców, jak i gwałtowników, pijaków, postrzeleńców, opilców, ponuraków, chełpliwców, pyszałków, blagierów, podleców, gwałtowników, fanatyków, zuchwalców, rozrzutników, dogmatyków, dziwaków, desperatów, idiotów itd., szaleńców, wariatów, durniów i odmieńców, którym ani żaden z nowych szpitali pomóc nie potrafi, ani żaden medyk ich nie uleczy, chciałbym raczej podjąć się przeprowadzenia anatomicznej sekcji tej melancholijnej dyspozycji, wszystkich jej rodzajów, czy to gdy występuje w postaci nawyku, czy zwykłej choroby, i za pomocą narzędzi filozoficznych i medycznych pokazać jej przyczyny, symptomy i niektóre remedia, żeby można było dzięki temu skuteczniej jej unikać. Skłoniony do tego jestem przez jej powszechność, kierowany dobrymi pobudkami, skoro ta choroba jest tak rozpanoszona, jak pisał Mercuriale, „tak często się przytrafia to w naszych czasach", które André du Laurens określał jako „nasze nieszczęsne czasy", w których niewielu tylko nie pada jej ofiarą.

Podobnie uważają Elião de Montalto, Melanchton i inni; Giulio-Cesare Chiodini nazywał ją „źródłem wszystkich innych chorób, a przypadłością tak powszechną, że ledwie jeden na tysiąc ludzi jest wolny od niej", od tej żółci i hipochondrycznej pneumy, które swój początek mają w śledzionie i pod żebrami. Skoro więc ta choroba jest tak groźna i tak powszechna, nie wiem, jak mógłbym lepiej się przysłużyć, w jaki sposób lepiej poświęcić swój czas, niż opisując, co czynić, by zapobiec lub przeciwdziałać bolączce tak upowszechnionej, owej zarazie, która tak często dręczy ciało i duszę.

Jeśli w tym, co tu powiedziałem, minąłem się z prawdą bądź jeśli to się wyda komuś, a zapewne znajdą się tacy, zbyt fantastyczne, „zbyt niefrasobliwe i komiczne w wykonaniu duchownego, nazbyt satyryczne jak na osobę mojej profesji", ośmielę się powiedzieć za Erazmem, że to nie ja rzekłem, ale Demokryt, *Democritus dixit*: trzeba ci oddzielić to, co mówi się w swoim imieniu, od tego, co twierdzi się pod przyjętym imieniem, pod przywdzianą maską; trzeba dostrzec różnicę pomiędzy tym, kto przybiera postać księcia, filozofa, radcy, głupca, a tym, kto nim w istocie jest, dzięki czemu starożytni satyrycy zyskiwali tyle swobody; oto jest centon złożony ze słów innych autorów, które nie ja wypowiadam, lecz oni.

Dixero si quid forte jocosius, hoc mihi juris
Cum venia, dabis.

[Gdy coś z żartobliwą ciętością prawię,
Możesz chyba na mnie spojrzeć łaskawie.]

Uważaj tylko, żebyś mnie dobrze zrozumiał. A gdybym się nieco zapędził w słowach, ufam, że mi wybaczysz. A tak po prawdzie, czemu by ktokolwiek miał się poczuć tym urażony lub dotknięty?

Licuit, semperque licebit,
Parcere personis, dicere de vitiis.

Od zawsze tak było, że tej słabości powody
Nazywać trzeba, korzystając z pełnej swobody.

Potępiam przywary ludzi, a nie ich samych. Jeśli ktoś poczuł się oburzony albo też wziął to do siebie, niech nie spiera się z tym, kto mówi, niech się go nie czepia; jak Erazm się bronił przed atakiem van Dorpa, *si parva licet componere magnis* [nie godzi się zrównywać małości z wielkością], tak robię i ja; „niech raczej na siebie się gniewa, kto zdradził się tym, że przytyki odniósł do siebie: jeśli jest winien i zasługuje na taką krytykę, kimkolwiek jest, niech się lepiej poprawi zamiast obruszać". „Kto nienawidzi przygany, głupim jest" (Księga Przypowieści 12:1). Jeśli jest bez winy, nijak go to nie dotyczy; bo to nie moja krytyczna swoboda, ale jego nieczyste sumienie i nadmiar żółci wywołują w nim to wzburzenie.

Suspicione si quis errabit sua,
Et rapiet ad se, quod erit commune omnium,
Stulte nudabit animi conscientiam.

[Jeśli ktoś stwierdzi, że jego dotyczy to,
Co stanowi najogólniejszą krytykę,
Okaże się tym większym głupcem, bo cały świat
Dostrzeże wówczas jego skalane sumienie.]

Nie wypieram się w tym, co tu powiedziałem, niejakiego podobieństwa do Demokryta; *quamvis ridentem dicere verum quid velat*, można żartować, a przy tym mówić prawdę. Owszem, przyznaję, bywam zgryźliwy; *acriora orexim excitant embammata*, ostry sos pobudza apetyt, a *nec cibus ipse juvat morsu fraudatus aceti* [potrawa nie smakuje, gdy nie dodać odrobiny octu]. Protestuj więc i psiocz, ile chcesz, ja będę odpierał te ataki Demokrytową tarczą, jego lekarstwem będę się leczył; uderzaj sobie, gdzie wola, bo wtedy: *Democritus dixit*, Demokryt ci odpowie.

Wszystko to napisał gnuśny człowiek w gnuśnych czasach o naszych Saturnaliach i Dionizjach, gdy to, jak mówił, *nullum libertati periculum est* [nic nie zagraża wolności], w starożytnym Rzymie i niewolnik miał prawo mówić i robić, co tylko chciał. Kiedyś nasi rodacy czcili boginię Vacunę i pili, siedząc przy ogniskach. Ja to napisałem, ja to wydałem. *Houtis helegen* [powiedział to nikt], czyli *neminis nihil* [to nic powiedziane przez nikogo]. Czas, miejsce, protagoniści i wszystkie okoliczności świadczą za mną, więc czemu nie mogę pogrążyć się w bezczynności wraz z innymi? Jeśli mi odmawiasz tej wolności, to sam sobie ją zagwarantuję na podstawie powyższych przesłanek: powtarzam, sam ją sobie przyznam.

Si quis est qui dictum in se inclementius
Existimavit esse, sic existimet.

[Ktokolwiek uważa, że został obrażony, niech mu będzie.]

Kto się czuje dotknięty, niech mnie pozywa, mało mnie to obchodzi. Nic ci (czytelniku) nie jestem dłużny, nie chcę od ciebie niczego, a będąc niezależnym, niczego się nie boję.

Nie, odwołuję to: zależy mi na tobie, obawiam się, wyznaję swoją winę, przyznaję się do własnego wykroczenia, lecz

Motos praestat componere fluctus.

[Uciszmy najpierw rozhukane fale.]

Rozminąłem się z prawdą, wypowiadałem się bezmyślnie, pochopnie, nierozważnie, idiotycznie, przeprowadzałem anatomiczną sekcję własnej głupoty. I nagle mi się zdaje, że wybudziłem się z głębokiego snu; wcześniej majaczyłem, fantazjowałem, błądziłem we wszystkich kierunkach, poobrażałem chyba większość ludzi, na jednych rzucałem przekleństwa, innym ubliżałem, krzywdząc tym samego siebie; i gdy

teraz doszedłem do siebie i zrozumiałem własne błędy, płaczę wraz z Orlandem, *Solvite me*, wybaczcie mi, *O boni* [dobrzy przyjaciele], to, co się zdarzyło, a w tym, co nastąpi, znajdziecie rekompensatę; obiecuję, że w mojej rozprawie zachowam odtąd więcej umiaru.

Jeżeli w słabości, głupocie, szale, gniewie czy nieświadomości powiedziałem coś niewłaściwego, niech mi to będzie wybaczone i zapomniane. Przyjmuję za prawdę to, co napisał Tacyt: *Asperae facetiae, ubi nimis ex vero traxere, acrem sui memoriam relinquunt*, gorzki żart ma w sobie ukryte żądło; a jak prawy człowiek kiedyś powiedział: „Oni się lękają dowcipu satyryka, a on się boi ich długiej pamięci". Mogę się więc spodziewać wszystkiego, co najgorsze, ufając jednak, że nie zwiodłem nikogo, stąd błagam o wybaczenie słowami Medei:

Illud jam voce extrema peto,
Ne si qua noster dubius effudit dolor,
Maneant in animo verba, sed melior tibi
Memoria nostri subeat, haec irae data
Obliterentur.

Tę nadzieję niosą moje ostatnie słowa:
Niech te najlepsze wspomnienia o mnie zachowa
Wasza pamięć, by to, co w gniewie albo w szale
Powiedziałam, nie gościło odtąd w niej wcale.

Do każdego człowieka kieruję szczerą prośbę, jak Scaliger do Cardana, żeby nie żywił do mnie urazy. Na koniec powtórzę jego słowa: *Si me cognitum haberes, non solum donares nobis has facetias nostras, sed etiam indignum duceres, tam humanum aninum, lene ingenium, vel minimam suspicionem deprecari oportere*. Gdyby była ci znana moja skromność i bezpośredniość, wybaczyłbyś mi i darował to, co ja tu poplątałem, a co tyś opacznie zrozumiał. Jeśli więc podczas anatomicznej sekcji prowadzonej w poszukiwaniu tego podłego humoru moja ręka zadrży, a niewprawnie prowadzony skalpel ześlizgnie się zbyt głęboko i zbłądzi,

zagłębiając się boleśnie w tkankę, wybaczcie dłoni i temu ostrzu brak delikatności, bo najtrudniej tu utrzymać czystość tonu i wymowy oraz powstrzymać się przed ostrą krytyką; *difficile est Satyram non scribere* [tak trudno jest uniknąć satyry], gdy tyle jest do obśmiania, tak wiele skrytych bolączek do zaatakowania, że nawet najlepszemu trudno czasem nie zbłądzić; *aliquando bonus dormitat Homerus* [i temu wspaniałemu Homerowi zdarza się czasem przysnąć], niemożliwym jest niekiedy nie przesadzić, *opere in longo fas est obrepere, summum* [w trakcie pisania tak obszernego dzieła można się na chwilę zdrzemnąć]. Na co to wszystko? Ufam, że nie znajdzie tu nikt powodu do obrazy; a jeśli nawet, to *Nemo aliquid recognoscat, nos mentimur omnia* [niech nikt nie bierze tego do siebie, bo wszystko to fikcja]. Wszystkiemu przeczę (oto moja ostatnia już obrona), wszystkiego się wypieram, odwołuję to, co tu powiedziałem, jeżeli ktoś mi chce coś wytknąć, a przepraszam z równą łatwością, jak ten czy ów rzucał oskarżenie; liczę jednak (wyrozumiały czytelniku) na twoją łaskawość i pobłażliwość.

4.1

Skoro cały świat jest melancholijny, a każdy człowiek pomylony, to też i miłość (wielka przyczyna melancholii) jest udzielona wszystkim. Wszyscy jesteśmy szaleni, bo wszyscy kochamy. A dokładniej: wszystko (a nie tylko: wszyscy) jest chore, więc wszystkiemu – czy to człowiek, czy to zwierzę, czy w końcu materia nieożywiona – można przypisać zdolność kochania. Kto posiada tę zdolność – jest podatny na melancholijną przypadłość. Koło się zamyka…

Skoro *Anatomia melancholii* jest wielką encyklopedią, nie może tu zabraknąć tych wpisów o miłości, która, owszem, jest przyczyną melancholii, ale i zjawiskiem samym w sobie zasługującym na uwagę: tym bardziej hasło poświęcone miłości (finezyjne, pomysłowe, zaskakujące) musi się w tej encyklopedii znaleźć.

4.1.1

Nie zabraknie, jak zakładam, takich, którzy niechętnie odniosą się do jakiegoś fragmentu tego traktatu o melancholii miłosnej, wymawiając (jak czynił Erazm w swojej przedmowie do Tomasza More'a), „że temat taki ze względu na swawolność nie przystoi teologowi, bo nazbyt jest komiczne" oraz fantastyczne rozprawianie o miłosnych symptomach i że uchodzi to wyłącznie figlarnym poetom, oczadziałym z miłości fircykom, trzpiotowatym dworzanom i innym próżniakom. W tym mają rację, że przez ludzką nieobyczajność, jak to ujmuje Nicolas Caussin, *ut castis auribus vox amoris suspecta sit, et invisa*, sam tylko dźwięk słowa miłość pobrzmiewa ohydnie dla ich cnotliwych uszu; inni jeszcze z fałszywą powagą potępią dzieło ze względu na sam tytuł, zanim jeszcze przeczytają choć jedno słowo, co przypomina pewne postaci z Petroniusza, które udawały, że wściekają się na docierającą do ich uszu figlarną mowę, byle tylko wyglądać na poważnych filozofów o słusznych zapatrywaniach. Nie mogą wprost znieść rozmów

o miłosnych akcesoriach czy intymnych flirtach, protestują przeciw nim *vultu, gestu, oculis* [słowem, gestem i karcącym spojrzeniem], chociaż ich myśli są w stosunku do reszty ludzi równie nieczyste, o ile nie bardziej nawet sprośne.

Erubuit, posuitque meum Lucretia librum,
Sed coram Bruto, Brute recede, legit.

[Spłoniona schowa moją książkę, gdy Brutus wkroczy,
Lecz ją znów otworzy, gdy Brutus odwróci oczy.]

Niech ci nadgorliwcy i fałszywi Katonowie pamiętają, co Lord John odrzekł królowej w tym dziełku Stefana Guazza: dojrzały i stateczny mąż ma najwięcej do powiedzenia o miłosnych sprawach, bo doświadczył więcej, więcej widział, jego poglądy nabrały stateczności, potrafi więcej dostrzec, rozważyć, przedyskutować, doradzić, skuteczniej napomnieć, podpowiedzieć coś i zasugerować w tym zakresie, a z racji swojego wieku prędzej nas pocieszy. Na dodatek, *nihil in hac amoris voce subtimendum*, niczego tu nie mogę pominąć; miłosna przypadłość jest jednym z rodzajów melancholii i tym samym mojego traktatu niezbędnym elementem, z którego nie wolno mi zrezygnować; *operi suscepto inserviendum fuit*, biorę to usprawiedliwienie Jacobusa Mysilliusa (zawarte w przedmowie do jego przekładu *Dialogów* Lukiana) za własne: muszę podjąć się tego zadania i zrobię to. [...]

Podzielam opinię Katullusa i we własnym imieniu podobnie wyrażam skruchę: *Hoc etiam quod scribo, pendet plerumque ex aliorum sententia et auctoritate; nec ipse forsan insanio, sed insanientes sequor. Atqui detur hoc insanire me; semel insanivimus omnes, et tute ipse opinor insanis aliquando, et is, et ille, et ego, scilicet* [piszę głównie po to, by zadowolić gusta i poglądy innych ludzi; sam nie będąc szalonym, idę w ślady tych, którzy tacy są. Uznaję więc, że i mnie zalicza się do tego grona; każdy bowiem chociaż raz postradał rozum i wam też się to zdarza, i temu, i tamtemu, i mnie, rzecz jasna, również].

4.1.2

W uniwersalnym ujęciu miłość definiuje się jako pragnienie, które to słowo ma o wiele szersze pole znaczeniowe; i chociaż w swoim trzecim dialogu Juda Abravanel, najpłodniejszy pisarz tego tematu, nie rozróżnia tych dwu terminów, to w dialogu pierwszym takie rozgraniczenie występuje, jako że definiuje on tam miłość przez odniesienie do pragnienia. „Miłość to niewymuszony afekt i pragnienie wyzyskania przyjemności z tego, co dobre. Gdy pragnienie żąda, miłość zażywa przyjemności; koniec tego pierwszego jest początkiem tej drugiej; to, co kochamy, jest nam dostępne; to, czego pragniemy, jest nieobecne". „Warte każdego zachodu", mówi Plotyn, „jest rozpoznanie natury miłości: czy jest boska, diabelska, czy też stanowi pożądliwość umysłu, a może jest pomieszaniem wszystkich trzech". Ostatecznie stwierdza, że miłość zawiera w sobie wszystkie te trzy elementy, a swój początek bierze z pożądania tego, co piękne i prawe, a w końcu uściśla, że miłość jest „działaniem umysłu, który pragnie tego, co dobre". Platon nazywa ją wielkim demonem z uwagi na gwałtowność i udzielną władzę miłości nad wszystkimi innymi żądzami i definiuje ją jako łaknienie, „które sprawia, że pożądamy uobecnienia się dobra". Ficino do tej definicji dodaje jeszcze prawość: „Miłość to pragnienie napawania się tym, co dobre i prawe". Augustyn rozszerza tę definicję, stąd u niego miłość jest rozkoszą serca wynikającą z „tego, co staramy się zdobyć, w czym chcemy znaleźć upodobanie, pragnąc tego albo się tym radując". Scaliger rewiduje te wcześniejsze definicje, odrzucając odniesienie do pragnienia czy łaknienia, twierdząc, że „gdy rozkoszujemy się tym, czego pragnęliśmy, wtedy owo pragnienie zanika"; mówi natomiast: „Miłość jest afektem, za sprawą którego łączymy się z jej obiektem albo też utrwalamy nasze złączenie", co po części zgadza się z definicją Abravanela.

4.1.3

Przyrodzona miłość czy też nienawiść to sympatia lub antypatia, którą da się zaobserwować u elementów ożywionej i nieożywionej przyrody, wśród czterech żywiołów, metali, kamieni, *gravia tendunt deorsum* [masywne ciała ciążą ku dołowi] jak choćby kamień ku swemu wnętrzu, a ogień się wznosi, zaś rzeki prą do morza. Słońce, księżyc i gwiazdy pozostają w ciągłym ruchu, *amantes naturae, debita exercere,* właśnie z umiłowania doskonałości. Miłość taka objawia się w nieożywionym stworzeniu. Co, jeśli nie ona, sprawia, że magnetyt przyciąga ku sobie żelazo, gagat plewy, a ziemia pragnie deszczu? Nie znajdziesz żadnego stworzenia, jak twierdzi Hieronim, które *quod non aliquid amat* [nie darzy czegoś miłością], ani zwierzęcia, ani kamienia, które nie miałyby w sobie tego uczucia. Najwyraźniej to widać po roślinach, ziołach, a już szczególnie warzywach; sympatia rozkwita pomiędzy winoroślą a wiązem, między winoroślą a kapustą, pomiędzy winoroślą a drzewkiem oliwnym, (*Virgo fugit Bromium* [dziewiczo przystrojony jest Bachus]), a znów między winoroślą a drzewkiem laurowym znać wielką antypatię, winorośl nie znosi wawrzynu „ani jego zapachu i uśmierca go, gdy ten rośnie w pobliżu"; rzep i soczewica nie mogą znieść swojego towarzystwa, a za to oliwka i mirt splatają ze sobą swoje korzenie i gałązki, gdy rosną blisko siebie. Więcej o tym piszą Picolomineus, Pietro de Crescenzi, Baptista Porta, Fracastoro. A o miłości i nienawiści między planetami opowie wam każdy astrolog: Abravanel przytacza mnóstwo fantastycznych przykładów, jak również z każdego wyciąga jakiś morał.

Dzikim zwierzętom jest natomiast udzielona miłość zmysłowa, której tenże Abravenel przypisuje poniżej opisane źródła. Po pierwsze, samce i samice pałają do siebie miłością z powodu przyjemności, którą czerpią z rozmnażania. A po drugie, przez wzgląd na przedłużenie gatunku i posiadania potomstwa. Po trzecie zaś, z powodu wzajemnej zgodności, jako że należą do tego samego rodzaju: *Sus sui, canis cani, bos bovi, et asinus asino pulcherrimus videtur* [knurowi najbardziej podoba się locha, osłu oślica, byczkowi krowa, a psu suka], jak utrzymuje Epicharm, a znów według przysłowia ukutego przez Diogenianosa:

Adsidet usque graculus apud graculum [kawka siada obok innej kawki] i dobrze im w swoim towarzystwie, a *Formicae grata est formica, cicada cicadae* [mrówka obdarza sympatią mrówkę, a konik polny innego konika polnego]. Po czwarte, zwierzęta darzą się miłością za sprawą przyzwyczajenia, obyczaju i zażyłości, jak wtedy, gdy psa wychowuje się wśród lwów i niedźwiedzi, to będą one kochać się wzajemnie wbrew swojej naturze. Jastrzębie, psy i konie kochają swoich właścicieli i opiekunów: na dowód tego wiele mógłbym przytoczyć opowieści, ale może warto zajrzeć do Pierre'a Gilles'a albo dwóch listów Lipsa o psach i koniach, albo i Gelliusza. A wreszcie po piąte, źródłem miłości jest rodzicielstwo, gdy suka troszczy się o swoje szczenię, kaczka o kacząt ka, sowa o swoje pisklę itd.

Trzecim rodzajem miłości jest *amor cognitionis*, jak to nazywa Juda Abravanel, miłość rozumowa, *intellectivus amor*, która, co trzeba podkreślić, jest właściwa człowiekowi. Bogu, aniołom i ludziom. Bóg sam jest miłością, krynicą miłości, jej stronnikiem, jak wyobraża go sobie Platon; sługa miłości, bóg miłości i pokoju; gdy dochowasz pokoju z ludźmi, Bóg będzie z tobą.

Quisquis veneratur Olympum,
Ipse sibi mundum subjicit atque Deum.

[Kto szanuje niebiosa, obłaskawia świat i Boga.]

4.1.4

„Ryby chudną i marnieją z miłości", o ile można zaufać autorytetowi Gomesiusa, jak również popadają w szaleństwo, przynajmniej niektóre: Pierre Gilles opowiada taką oto historię o trytonie z Epiru: nieopodal brzegu znajdowała się studnia, z której wodę czerpały wieśniaczki; tryton zaś, *stupri causa* [powodowany lubieżnością], porywał je do morza i, jeżeli mu się nie oddały, topił je; tak tak miłość udręcza bezrozumne stworzenie. Naturalnym jest, że jeden stwór pożąda innego ze swojego rodzaju; jakaż jednak opętuje bestię dzikość, gdy ta pożąda człowieka?

Saxo Gramatyk podaje historię niedźwiedzia, który zakochał się w kobiecie, trzymał ją w swojej gawrze przez długi czas oraz spłodził z nią syna, którego potomkami byli liczni królowie Północy: z tej historii wywodzą się podobne opowieści, jak ta o Walentynie i Orsonie. U Aeliana, Pliniusza i Pierre'a Gilles'a pełno jest takich podań. Paw zamieszkujący Leukadię pokochał kobietę, a gdy ona zmarła, on usychał z rozpaczy. „Delfin zakochał się w chłopcu o imieniu Hernias, po którego śmierci wydostał się na ląd, by też skonać". Podobną historię przytacza Gilles za Apionem: delfin z włoskiej Puteoli pokochał chłopca, często do niego przypływał, pozwalał mu wsiadać na swój grzbiet i tak z nim pływał; „a gdy choroba zabrała chłopca, delfin również zmarł".

4.2

Miłość może być, przyznaje gdzieś Burton, impulsem pozytywnym, skłaniającym ludzi ku dobru i mądrości. Ale to rzadkość, zdarzenie wyjątkowe, chociaż przecież tak pożądane. Jednak najczęściej oblicze miłości jest naznaczone okrucieństwem. Tortura, agonia, męczarnia, zaraza – oto metonimie miłości (nie można nie zauważyć, że to także metonimie depresji).

Ale też jest świadomy tego, co po 400 latach stało się wiedzą powszechną i niepodważalną: że psychiczne zaburzenie objawia się z całą mocą w naszej cielesności, że depresyjne usposobienie wpływa na naszą fizjologię. Mówi o tym często, ale tu po raz kolejny to podkreśla – miłość, ta melancholia *per se*, ukazuje się w reakcjach organizmu. Zmienia puls, rządzi organizmem.

4.2.1

Usłyszeliście właśnie, jak ta despotyczna miłość objawia się szaleństwem u dzikich bestii i duchów; teraz zobaczmy, jaki żar rozpala w ludziach.

Fnamorato .

Improbe amor quid non mortalia pectora cogis? [Okrutna miłości, do jakich to czynów nie jesteś zdolna przymusić człowieczego serca?] Siła, z jaką kąsa ona serca śmiertelników, *Horresco referens* [aż drżę, gdy o tym mówię], wprawia mnie w popłoch, zadziwia i zawstydza, jak ogromnych i dotkliwych dokonuje spustoszeń, jak paskudne są jej ataki. Prawdą jest (nie mogę zaprzeczyć), że to z przyczyny miłości łączyły się prowincje, powstawały miasta, a kolejne generacje płodziły i zachowywały ludzki ród, upowszechniały religie; jednak gdy górę brał szał, kończyła się miłość, a rozpalała żądza, czyhały choroba, szaleństwo, pomylenie, piekło. *Est orcus ille, vis est immedicabilis, est rabies insana,* nie jest ona cnotliwą skłonnością, ale fermentem umysłu, wynaturzeniem natury, rozumu, sztuki, jak to Aleksis w komedii *Athenaeus* wyraził, *viriliter audax, muliebriter timidium, furore praeceps, labore infractum, mel felleum, blanda percussio* [zaćmiewa odwagę mężczyzn i kobiecą nieśmiałość, czyniąc ich krnąbrnymi i nieposkromionymi, ten gorzki miód, rozkoszna kara] itd. To ona obala królestwa, niszczy miasta i rodziny, ludzi natomiast okalecza, deprawuje i prowadzi na rzeź; ani grzmoty z błyskawicami, ani wojny, pożary czy epidemie nie uczyniły ludzkości takich szkód, jakich dokonała ta płomienna żądza, zwyrodniała namiętność. Weźcie choćby Sodomę i Gomorę czy Troję (o czym pisali Dares Frygijczyk i Diktys Kreteńczyk), i sam nie wiem ile jeszcze miast, które stanowią świadectwo, *et fuit ante Helenam* [nawet z czasów przed Heleną], itd.; kolejne wieki to potwierdzą: przypadki Joanny[8], królowej Neapolu, czy Frankijek Fredegundy i Brunhildy[9], wszystkie podania pełne są podobnych gadzin. Prócz tych codziennych walk, morderstw, rozlewu krwi, gwałtów, rozruchów, rozbuchanych wydatków mających zaspokoić ludzkie żądze, nędzy, wstydu, szkód, tortur i cierpień, hańby, wstrętnych chorób, które wywołuje, a gorszych niż tropikalna czy morowa gorączka, podagra, ospa, artretyzm, drżączka, kurcz, rwa kulszowa, drgawki, bóle, oparzelina itd., które dręczą ciało, jest jeszcze ta nieszczęsna melancholia, która gnębi duszę za życia i będzie nieprzerwanie ją umartwiać w przyszłym świecie.

4.2.2

Wiele jest cielesnych oznak zdradzających zakochanych, bo *quis enim bene celet amorem?* [kto potrafi zataić miłość?] „Czy ktoś może", jak powiedział Salomon (Księga Przysłów 6:27), „wziąć ogień w zanadrze, a jego szaty się nie spalą?"; trudno to ukryć, a jednak chociaż ludzie robią, co w ich mocy, żeby nie było po nich poznać zakochania, i tak wychodzi ono na jaw, jako że *plus quam mille notis* [więcej niż tysiąc oznak] to pokazuje, *quoque magis tegitur, tectus magis aestuat ignis* [a im głębiej skrywają ten ogień, tym większym płomieniem wybucha]. Jak zauważył dawny komediopisarz Antyfanes, ani stanu zakochania, ani upojenia nie sposób ukryć, *Celare alia possis, haec praeter duo, vini potum* itd., zdradza tych ludzi wszystko: słowa, spojrzenia, gesty; jednak najwyraźniej zaświadczają o tym puls i wyraz twarzy. Gdy Antioch, syn Seleukosa, darzył chorobliwą miłością swoją macochę Stratonike[10] i nie chciał źródła trawiącego go żalu czy też powodu swojej choroby wyznać, wtedy nadworny lekarz Erasistratos za pomocą badania pulsu i obserwacji oblicza odkrył jego uczucie, „bo gdy tylko ona pojawiała się osobiście albo tylko w rozmowie, rytm jego pulsu się zmieniał, a na twarz występował rumieniec".

4.2.3

Gdyby zdarzyło się tak, że nie mieliby sposobności do flirtu lub ich swobodnej rozmowie przeszkadzałaby nieznajomość czy brak poufałości, a jednak znaleźliby się w swoim towarzystwie, zdradziłyby ich oczy: *Ubi amor ibi oculus* [spoglądam na to, co cieszy oko], jak powiada znane przysłowie: „Patrzę na to, co mnie pociąga, a pociąga mnie to, co kocham"; w tym spojrzeniu się zatracą.

Alter in alterius jactantes lumina vultus,
Quaerebant taciti noster ubi esset amor.

[Oczy wpatrzone w inne oczy pytają cicho,

Gdzie też jest ta wasza miłość.]

„Od swojej miłości nie potrafią oderwać wzroku", że aż *impregnare eam, ipsis oculis,* penetrują ją oczami, świdrują spojrzeniem, wbijają w nią wzrok, stroją miny, wdzięczą się, zerkają jak Apollo na Leukotoe, jak Selene na Endymiona, gdy zatrzymuje swój rydwan przy górze Latmos w Karii. Wszyscy oni przystają w podziwie, a gdy ona akurat przechodzi, wiodą za nią wzrokiem do momentu, aż zniknie im z oczu; jest ona bowiem *animae auriga* [tą, która powozi rydwanem ich duszy], jak mówi o niej Anakreont, i nie mogą przejść obok jej drzwi czy okna, żeby nie udało jej się przyciągnąć ich spojrzeń; a nawet jeżeli nie ma jej akurat w domu, muszą choć zerknąć w tę stronę, by po chwili znów zwrócić tam wzrok.

4.2.4

U każdego poety znajdziemy całe katalogi miłosnych symptomów, wśród których to lęk i smutek najpewniej biorą górę nad resztą. I chociaż Ercole Sassonia wyłącza lęk z grupy symptomów melancholii miłosnej, ja upieram się przy poglądzie przeciwnym. *Res est solliciti plena timoris amor,* miłość to rzecz pełna strachu i niepokoju, wątpliwości, trosk, nerwowości, podejrzliwości; mężczyznę przemienia w kobietę, co skłoniło Hezjoda do nazwania Strachu i Bladości córkami Wenus:

Marti clypeos atque arma secanti
Alma Venus peperit Pallorem, unaque Timorem[11],

jako że obawa i miłość są nierozdzielne. A na dodatek jeszcze zakochani mają szczególną skłonność do błędów, przesady, a niekiedy i naiwności, charakteryzuje ich zbytni optymizm i pewność siebie, a kiedy indziej znów opanowuje ich zazdrość i taki sceptycyzm, że nie potrafią cieszyć się żadną dobrą nowiną. Komediopisarz[12] tak uroczo odmalował to w tym fragmencie dialogu pomiędzy Micjonem i Eschinem,

szlachetnym ojcem i rozkochanym beznadziejnie synem: „*M*: Rozchmurz się, synu, ożenisz się z nią. *E*: Ojcze, czemu sobie ze mnie kpisz? *M*: A dlaczego miałbym? *E*: Bo tak tego pragnę, że wzmaga to moją podejrzliwość i lęk. *M*: Idź do domu i poślij po nią, by przybyła do ciebie jako żona. *E*: Żona? Tak od razu, ojcze?" itd. Wszystkie te wątpliwości, podejrzenia i lęki stanowią nieodłączny element męczarni zakochanych; wielokrotnie uwalniają się ze swoich namiętności, by przejść do czynów, a wtedy mowa ich zyskuje wdzięk, stają się pochlebczy, służalczy i pełni zapału, jednak z biegiem czasu zmieniają się w kłótliwych i swarliwych, którzy a to wyklinają czy toczą spory, to śmieją się, to znów łkają; tych natomiast, którzy tego nie doznali, jak twierdzi Lukian, nigdy nie przyciągnął do siebie magnes miłości. Ich działaniami kierują najróżniejsze namiętności, ale spośród nich to smutek ma największy udział; dla wielu miłość jest samą goryczą; *rem amaram*, jak to nazywa Platon, gorzkim napojem, agonią, zarazą.

4.3

Miłość rozumiana jako odruch serca albo – jak kto woli – dyspozycja umysłu jest oczywistą przyczyną melancholii (już wcześniej Burton mówi: że wszyscy zakochani są szaleni, temu nikt nie zaprzeczy). Ale nie tylko ta miłość ponosi odpowiedzialność, bowiem istnieje ona, jak to u Burtona często bywa pokazane, w całej sieci zależności: historycznych, społecznych, kulturowych. Nie tylko ona jest winna depresyjnej przypadłości, ale i świat, który ją tak, a nie inaczej postrzega, wykorzystuje i dzięki niej znów ma szansę niewolić jednostki, wtrącać je w otchłań choroby. Jak? Najbanalniej. Choćby poprzez przymus kojarzonego małżeństwa, opresję mezaliansu czy wycenę partnera. Nie dość, że sama miłość starczy za przyczynę melancholii, jeszcze dokładają swoje chciwość i konwenans, rodzicielska przemoc i nacisk tradycji.

To jest powszechna wada w postępowaniu większości rodziców względem dzieci; ojciec poważa wyłącznie bogactwo; gdy za sprawą własnej głupoty, rozpusty czy nieroztropności stracił swój majątek, wówczas decyduje się dla jego odzyskania poświęcić i sprostytuować miłość i uczucia swojego pierworodnego, a robi to z powodu jakiegoś głupiego, dziedzicznego czy zwyrodniałego grosza, dla pieniędzy:

> *Phanaretae ducet filiam, rufam, illam virginem,*
> *Caesiam, sparso ore, adunco naso*;
>
> [Musi poślubić córkę Phanocratesa, rudą pannę
> o kaprawym spojrzeniu, wielkiej gębie i haczykowatym nosie]

i mimo że, jak to w komedii [*Sam siebie karzący* Terencjusza] było z Clitiphem, syn czuje do niej jedynie niechęć i oznajmia: *Non possum,*

pater [Ojcze, nie mogę], to jeśli tylko jest majętna, ojciec odpowie: *Eia ut elegans est, credas animum ibi esse*? [Zobacz, taka jest zwiewna, wierzysz, że będzie ci oddaną duszą[13]?]; musi ją poślubić i zrobi to, jako że jest wystarczająco ładna i odpowiednio młoda, a jeśli chce kiedyś odziedziczyć dobra po ojcu, to weźmie ślub nie z tą, którą kocha, *Arconidis hujus filiam* [w tym przypadku: córką Archonidisa], ale z tą, którą wybierze mu ojciec, oraz kiedy i gdzie ten zdecyduje, a synowskie uczucia muszą ustąpić ojcowej woli. Córka jest w równie kłopotliwym położeniu: jak pusta łódź zmuszona jest transportować fracht, dokąd, kiedy i komu zdecyduje się go dostarczyć jej ojciec. W tych przedsięwzięciach największe korzyści przypadają ojcu; matka bowiem poważa dobre pochodzenie i musi synowi znaleźć właściwą partię. Liwiusz pokazuje, że tak patrycjusz, jak i drobny posiadacz zalecali się do jednej rzymskiej dziewki (wbrew prawu stanowiącemu, że szlachta i pospólstwo nie mogą się łączyć); stało się to przedmiotem sporu: patrycjusza wybrała matka, która *quae quam splendissimis nuptiis jungi puellam volebat* [dla swojej córki pożądała partii najwyższego stanu], opiekunowie zaś stawiali na tego, który więcej był warty itd. Ale rodzice nie powinni być w tej sprawie zbyt zasadniczy, uroda jest sama w sobie wystarczającym posagiem, *Virgo formosa, etsi oppido pauper, abunde dotata est* [urodziwe dziewczę, nawet jeśli ubogie, posiada odpowiednie wiano]. Rachela na tej zasadzie poślubiła Jakuba, a Bonawentura „zaprzecza, by ten tak niewybaczalnie grzeszył, biorąc żonę dla jej powabu". Żydzi (jak mówi Księga Powtórzonego Prawa 21:11), gdy pośród jeńców zobaczyli kobietę o pięknym wyglądzie, co się zdarzało, mogli ją wziąć za żonę. Nie powinni być w swym postępowaniu zbyt niewzruszeni, szczególnie gdy nie ma ku temu okazji czy poważnych przeciwskazań. Dobre jest dla państwa, jak utrzymuje Platon, „gdy młodzieńcy nie stronią od sympatii biednych panien i nie szukają majętnych". Ubóstwo czy też niskie pochodzenie mogą być rekompensowane innymi przymiotami: skromnością, cnotą, pobożnością, opiekuńczością. „Jestem biedna, przyznaję, ale czy zasługuję przez to na pogardę i odrzucenie? Miłość jest naga, jak Gracje,

gwiazdy czy Herkules obleczony tylko w lwią skórę". Doceńcie cnoty, miłość, mądrość, przychylność, piękno, osobowość, a nie tylko majętność. Nadto pamiętajcie, że *Amor cogi non potest*, miłość nie znosi przymusu, powinna wynikać z poruszenia: *Fatum est in partibus illis quas sinus abscondit* [o czyimś losie decyduje ta część ciała, którą skrywa górna plisa togi], a jak mówi przysłowie, małżeństwo i szafot są sprawą przeznaczenia, rozstrzygają się w niebie.

> Kochać czy nienawidzić nie jest w naszej mocy,
> Bo nasza wola musi ulec losu przemocy.

W opowieści Aristaenetusa służąca pokochała faworyta swej pani, a ta, dowiedziawszy się o tym, kierowana *furiosa aemulatione*, wściekłą zazdrością, wlokła ją po całym domu, trzymając za włosy, a później obiła. Dziewczyna żaliła się: „Pani, los uczynił tobie poddanym moje ciało, ale nie duszę". Uczucia są wolne, nie można nimi rządzić. Co więcej, dzięki nim można powstrzymać ambicje, dumę czy chciwość i w ten sposób naprawić dziedziczne przywary, jakimi obarczona jest dana rodzina, a Bóg w swojej sprawiedliwości pozwala na takie związki. Sam podzielam pogląd Platona i Bodina, że rody, tak jak królestwa, mają swoje granice, poza które ich rozciągłość i trwanie nie powinny wykraczać, oraz określony czas, jakieś sześćset czy siedemset lat, jak to ci autorzy obrazują wieloma przykładami, a co potwierdzają Peucer i Melanchton, i nieprzerwanie swoim torem (jak to widać po wielu rodach rycerskich, szlacheckich czy ziemiańskich) mają więc podążać od swych początków, niewielu z czasem podlegając zmianom. Jednakże, powiadam, zostawcie coś młodości, miłości; nie wolno im wpoić tego, że mogą pokochać, kogo się im wskaże; *Amor enim non imperatur, affectus liber si quis alius et vices exigens*, to wolna namiętność, jak to powiedział Pliniusz w swoim panegiryku, i nie może podlegać przymusom. Miłość łaknie sympatii, jak mówi przysłowie, wymaga obustronnego upodobania, wzajemności: *invito non datur nec aufertur* [ani jej nie można odebrać, ani nikomu darować bez jego woli], nie da się nikogo nauczyć

kochać, nawet sam Owidiusz nie może wyszkolić nas w miłości, Salomon w jej opisywaniu, Apelles w jej portretowaniu, a Helena w jej okazywaniu. Dlatego nie wolno nikogo przymuszać ani niczego mu narzucać, *quis enim* (jak wskazuje Fabius) *amare alieno animo potest?* [kto może kochać wbrew sobie?], lecz zważyć na wszystkie nieszczęścia spowodowane wymuszonymi małżeństwami i ulitować się nad młodością; a mając na wydaniu córkę, należy starannie i przezornie wybrać odpowiedni dla niej czas ślubu.

Lokalizacja fragmentów

(Skróty oznaczają: Pt. – *Partition,* Sec. – *Section,* Mem. – *Member,* Subs. – *Subsection*).

1.0: *Democritus Junior to the Reader*
1.1: *Democritus Junior to the Reader*
1.2: Pt. 1, Sec. 1, Mem. 1, Subs. 1
1.3.1: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 3, Subs. 15
1.3.2: Pt. 2, Sec. 2, Mem. 4
1.4: Pt. 2, Sec. 3, Mem. 7
1.5.1: Pt. 2, Sec. 3, Mem. 5
1.5.2: Pt. 2, Sec. 3, Mem. 5

2.0: *Democritus Junior to the Reader*
2.1: Pt. 1, Sec. 1, Mem. 2, Subs. 2
2.2: Pt. 1, Sec. 1, Mem. 1, Subs. 4
2.3.1: Pt. 1, Sec. 1, Mem. 3, Subs. 1
2.3.2: Pt. 1, Sec. 1, Mem. 3, Subs. 3
2.3.3: Pt. 1, Sec. 1, Mem. 3, Subs. 4
2.4.1: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 1, Subs. 4
2.4.2: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 1, Subs. 5
2.4.3: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 1, Subs. 6
2.4.4: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 2, Subs. 2
2.4.5: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 2, Subs. 5
2.4.6: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 2, Subs. 6
2.4.7: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 2, Subs. 7
2.4.8: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 3, Subs. 2

2.4.9: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 3, Subs. 4
2.4.10: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 3, Subs. 5
2.4.11: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 3, Subs. 7
2.4.12: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 3, Subs. 11
2.4.13: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 4, Subs. 2
2.4.14: Pt. 1, Sec. 2, Mem. 4, Subs. 6

3.0: *Democritus Junior to the Reader*

4.0: *Democritus Junior to the Reader*
4.1.1: Pt. 3, Sec. 1, Mem. 1, Subs. 1
4.1.2: Pt. 3, Sec. 1, Mem. 1, Subs. 2
4.1.3: Pt. 3, Sec. 1, Mem. 1, Subs. 2
4.1.4: Pt. 3, Sec. 2, Mem. 1, Subs. 1
4.2.1: Pt. 3, Sec. 2, Mem. 1, Subs. 2
4.2.2: Pt. 3, Sec. 2, Mem. 3
4.2.3: Pt. 3, Sec. 2, Mem. 3
4.2.4: Pt. 3, Sec. 2, Mem. 3
4.3: Pt. 3, Sec. 2, Mem. 5, Subs. 5

Przypisy

Wstęp

[1] *Seventeenth-Century Prose and Poetry*, red. Robert P. Tristram Coffin, Alexander M. Witherspoon, Harcourt, Brace and Company, New York 1946, s. 154. Wszystkie cytaty ze źródeł obcojęzycznych podaję we własnym tłumaczeniu.

[2] Jako że nie istnieje biografia Roberta Burtona, wszystkie przedstawione tu informacje pochodzą z opracowań naukowych dotyczących jego dzieła (głównie z monografii Michaela O'Connella). Stąd zdecydowałem się nie oznaczać źródeł poszczególnych informacji biograficznych, skoro na następnych stronach źródła te pojawiają się wystarczająco często (na dodatek wiadomości te często pokrywają się i dublują, a źródła późniejsze korzystają z informacji zawartych we wcześniejszych, niekiedy je rewidując, a innym razem uzupełniając). Wyjątek robię oczywiście wtedy, kiedy cytuję jakiś fragment – wówczas pojawia się przypis lokalizujący przytoczenie.

[3] Cytaty z *Anatomii melancholii* oznaczam w tym wstępie, podając w nawiasie (bezpośrednio po przytoczeniu) numer tomu oraz numer strony według wydania oryginalnego będącego podstawą tego tłumaczenia.

[4] Michael O'Connell, *Robert Burton*, Twayne Publishers, Boston 1986, s. 31–32. (Dalej w nawiasie po cytacie jako O'Connell z podaniem numeru strony).

[5] Mary Ann Lund, *Melancholy, Medicine and Religion in Early Modern England. Reading „The Anatomy of Melancholy"*, Cambridge University Press, Cambridge 2010, s. 126. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Lund z podaniem numeru strony).

[6] Ruth A. Fox, *The Tangled Chain. The Structure of Disorder in „The Anatomy of Melancholy"*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles 1976, s. 6. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Fox z podaniem numeru strony).

[7] Lawrence Babb, *Sanity in Bedlam. A Study of Robert Burton's „The Anatomy of Melancholy"*, Michigan State University Press, East Lansing 1959, s. 28. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Babb z podaniem numeru strony).

[8] Stephanie Shirilan, *Robert Burton and the Transformative Powers of Melancholy*, Routledge, London–New York 2016 [wydanie elektroniczne]. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Shirilan bez podania lokalizacji).

[9] Stanley Fish, *Self-Consuming Artifacts. The Experience of Seventeenth-Century Literature*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles–London 1972, s. 336. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Fish z podaniem numeru strony).

[10] Liliana Barczyk-Barakońska, *Melancholy Discourse in the Baroque. A Reading of Robert Burton's „The Anatomy of Melancholy"*, PARA, Katowice 2009, s. 176–177. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Barczyk-Barakońska z podaniem numeru strony).

[11] Evelyn M. Simpson, *Literary Value of Donne's Sermons*, [w:] *John Donne*, red. Helen Gardner, Prentice Hall, Inc., Englewood Cliffs 1962, s. 138.

[12] John Donne, *Meditations*, [w:] *Seventeenth-Century Prose and Poetry*, dz. cyt., s. 62.

[13] H.J.C. Grierson, *Metaphysical Poetry*, [w:] *Seventeenth Century English Poetry*, red. William R. Keast, Oxford University Press, New York 1962, s. 3, 9.

[14] John Donne, *To the Countess of Bedford* [„T'have written then…"], [w:] *The Works of John Donne*, Wordsworth Edition Ltd., Hertfordshire 1994, s. 140.

[15] Angus Gowland, *The Worlds of Renaissance Melancholy. Robert Burton in Context*, Cambridge University Press, New York 2006 [wersja elektroniczna]. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Gowland bez podania lokalizacji).

[16] Więcej informacji na ten temat (również tzw. *theatrum anatomicum*, czyli połączenia sal wykładowych dla studentów medycyny i teatrów ciała dla publiczności, które w czasach Burtona zaczęły powstawać – *Lekcja anatomii doktora Tulpa* Rembrandta z roku 1632 jest najbardziej znanym przedstawieniem tej tendencji) przynosi książka *Anatomies. A Cultural History of the Human Body* (W.W. Norton & Company, New York–London 2013) autorstwa Hugh Aldersley-Williamsa.

[17] Jennifer Radden, *Melancholic Habits. Burton's Anatomy & the Mind Sciences*, Oxford University Press, New York 2017, s. 22. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Radden z podaniem numeru strony).

[18] Stanley W. Jackson, *Robert Burton and Psychological Healing*, „Journal of the History of Medicine and Allied Sciences" 1989, Vol. 44, No. 2, s. 163–164. (Dalej w nawiasie po cytacie jako Jackson z podaniem numeru strony).

[19] Jonathan Lamb, *The Rhetoric of Suffering. Reading the Book of Job in the Eighteenth Century*, Oxford University Press, New York 1995, s. 35–37.

[20] Walter Benjamin, *Źródło dramatu żałobnego w Niemczech*, przeł. Andrzej Kopacki, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2013, s. 179.

[21] Christopher Marlowe, *Tragiczna Historia Doktora Fausta*, przeł. Juliusz Kydryński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 27–28.

[22] Jean Starobinski, *Atrament melancholii*, przeł. Krystyna Belaid, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2017, s. 141.

Anatomia melancholii

Część pierwsza

[1] Pada tu prawdziwe imię autora, ale i ono niewiele ujawnia, bo je także wpleciono w tę grę masek i zatajeń. Jest to bowiem łacińskie przysłowie, które spotkać można np. w *Eneidzie* (*experto credite quantus* – w przekładzie Zygmunta Kubiaka: „Temu, kto zaznał, wierzcie"), ale pojawiające się w tej wersji imię (Robert) nie jest wymysłem autora, a pojawiało się w szesnastowiecznych użyciach tego przysłowia.

[2] Dosłownie znaczy to: „ludzie trzech liter", co odnosi się do łacińskiego słowa określającego złodzieja czy oszusta: *fur*.

[3] Trudno się oprzeć takiej wersji tłumaczenia, chociaż redakcja daje tu: „sobie samym i własnym studiom", co w przypadku tego zagadnienia – nadmiaru nauki i książek – jest może istotne.

Część druga

[1] W czasach antycznych Antikyra sławna była dzięki uprawom ciemiernika, który grecka medycyna uważała za lek na obłęd, melancholię czy epilepsję (Antikyros miał uleczyć kiedyś Herkulesa ciemiernikiem pochodzącym z tych okolic, stąd nazwa miasta).

[2] Tytułowi bohaterowie dramatu Terencjusza *Adelphos* (*Bracia*).

[3] Terystes był garbatym, krzywonogim i łysawym wojownikiem achajskim uważanym powszechnie za najszpetniejszego uczestnika walk pod Troją.

[4] „Osieł u Kumanów uczynił się był lwem, włożywszy skórę lwią na się straszył ludzi, aż go poznano po uszu. Stąd przeto osłem kumańskim onego zową, gdy się kto głupi za mądrego popisuje" (Erasmus).

[5] Dwie krainy ziemi Moronia [dosł. Kraina Głupców]: Moronia Pia to „nabożny głupiec", a Moronia Felix to „szczęśliwy głupiec". Moronię – wśród wielu innych fantastycznych krain – odwiedza narrator na okręcie Fantazja. Autorem tej dystopijnej opowieści był Joseph Hall, a swoją imaginowaną podróż do Nieznanego Lądu Południowego (Terra Australis) opisał w *Mundus Alter Et Idem*.

[6] U Arystotelesa funkcje życiowe dzielą się na: wegetatywne, animalne i psychiczne. Galen, do którego Burton tak często się odwołuje, powiązał je z trzema duszami Platona, których siedliskiem były właśnie: wątroba, serce, mózg.

Część trzecia

[1] Zwane także Euksyńskim Pontem to dzisiejsze Morze Czarne.

[2] Dwaj rzymscy dyktatorzy czasów II wojny punickiej: Quintus Fabius Maximus (Kwintus Fabiusz Maksimus) zwany Kunktatorem (czyli: zwlekający, opóźniający) był zwolennikiem ostrożnej i niekonfrontacyjnej taktyki – nękania Kartagińczyków podjazdami i zwlekania, które powodowałoby wyczerpywanie zapasów wroga. Marcus Minucius Rufus (Marek Minucjusz Rufus), który najpierw był wodzem jazdy wojsk Fabiusza, a następnie został – po odniesionym zwycięstwie w bitwie – dyktatorem, wzmocnił stronnictwo prące do szybkiej i otwartej rozprawy z Hannibalem.

Część czwarta

[1] Signor Deliro (nazwisko jest znaczące – od łacińskiego *deliro*: mówić od rzeczy, pleść nonsensy) to bohater sztuki Bena Jonsona *Every Man Out of His Humor* – pantoflarz uległy swojej rozwiązłej żonie.

[2] Szalony – czy też: szalejący – Herkules (u Burtona: *Hercules Furens*) to także tytuł tragedii Seneki Młodszego.

[3] To ze strony Burtona kolejna wysublimowana obraza: „Potem Samson zawołał: Oślą szczęką zabiłem mnóstwo osłów; oślą szczęką zabiłem tysiąc ludzi!" (Księga Sędziów 15:16).

[4] W oryginale to *afternoon-men*, co wskazuje na ich tryb życia znamionujący szaleńcze rozpasanie; zdecydowałem się na przekład zawierający dość (zbyt?) dosłowne nawiązanie, choćby dlatego, że to sformułowanie weszło do historii literatury (za sprawą Anthony'ego Powella, który w 1931 roku wydał powieść *Afternoon Men*, której tytuł wziął właśnie z Burtona).

[5] Czyli dzisiejszego Morza Azowskiego.

[6] Nawiązanie do – pochodzącej najprawdopodobniej jeszcze z XV wieku – satyry, która w następnym wieku wydana została drukiem pod tytułem *Merrie Tales of the Mad Men of Gotham* [Wesołe opowiastki o szaleńcach z Gotham]. Gotham jest więc przysłowiową siedzibą pomylonych.

[7] Bedlam to Bethlem Royal Hospital w Londynie – to określenie weszło do potocznej angielszczyzny na określenie „domu wariatów".

[8] Joanna I Neapolitańska (1326–1382), domniemana mężobójczyni i sprytna manipulatorka, której rządy i wielokrotne małżeństwa miały doprowadzić do upadku Królestwo Neapolu.

[9] Fredegunda (zm. 597) była żoną frankijskiego króla Chliperyka I. Znana ze sprytu i okrucieństwa jako służąca na dworze króla dzięki swojej przebiegłości została jego żoną. Brunhilda była bratową jej męża (którego zabito na polecenie Fredegundy) i rywalką do tronu Neustrii (stanowiącej część państwa Franków, na terenie której leżały miasta Paryż i Reims).

[10] Stratonike była drugą żoną Seleukosa I Nikatora (króla imperium Seleucydów). Gdy Seleukos dowiedział się o uczuciu jego syna z pierwszego małżeństwa Antiocha I Sotera do macochy, oddał mu ją za żonę.

[11] Brak przekładu tego fragmentu nie jest redakcyjnym zaniechaniem: jego znaczenie daje bowiem fragment go poprzedzający i ten następujący po nim.

[12] Chodzi tu o Terencjusza – przytoczony poniżej dialog pochodzi z IV aktu komedii *Bracia*.

[13] Dla Burtona ta kalamburowa gra, o ile tu rzeczywiście występuje, była pewnie oczywista: uwierzysz, że jest duchem, wiatrem, duszą – *animum*, mówi ojciec, jednocześnie być może nawiązując do jej bogactwa czy raczej: swojego finansowego ocalenia. *Animam debet* znaczyło bowiem „zadłużony po uszy" (czyli jakby: ten, kto zastawił duszę), a dodatkowo owo *credo*, „wierzyć", jest ściśle związane ze słowem *creditor* – polszczyzna jest tu równie usłużna – „wierzyciel".